PRZEGLĄD

WARSZAWSKI.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj

PRZEGLĄD WARSZAWSKI

Literatury Historyi Statystyki

I

ROZMAITOŚCI.

TOM TRZECI.

WARSZAWA.

1842.

POEZYE.

USTĘP Z NIEWYDANEGO POEMATU

OBŁĄKANY.

. . . .
. . . . Był ranek majowy,
Pogodny, ciepły — dąbrowa wokoło,
W zielone sploty ozdobiła czoło,
Lekki wiaterek młode wstrząsał liście,
A słowiki po gajach nowéj wiosny przyjście
Wdzięcznym hymnem witały — Z kamiennego dworu,
Gdziem się urodził, z dziecięcia wychował,
Widać było zdaleka czarne drzewa boru
I drogę doń wiodącą — Dwór w sadzie się chował

Wkoło go kwiaty i drzewa cieniły —
Z drugiéj strony był widok rozkoszny i miły:
Wisła, jak modra wstęga na łonie dziewicy,
Lśniła oczy odbiciem słońca błyskawicy;
A była tak spokojna, tak cicha, tak lśniąca;
Jak młoda piękność uśpiona, marząca —
Zdrugiéj jéj strony, a od brzegu blisko
Sterczało stare, zburzone zamczysko. —
Daléj na prawo, wzniosłe rzeki brzegi
Białe i czarne, — stały jak szeregi
Pokonanych olbrzymów — na lewo zamczyska
Jaśniała droga spadzista i śliska —
Daléj miasteczko — tam kościół się wznosił
Którego dzwonek do nas wieść przynosił,
Ilekroć wiernych na modły przyzywał,
Lub kiedy piosnkę umarłym zaśpiéwał. —

Owego ranka, mój ojciec i matka
I Jakaś z Rzymu przybyła sąsiadka,
Co właśnie syna, młodego nieuka
Z tamtąd przywiozła — pod domu wystawą
Siedli, przy stole zastawionym kawą,
I rozprawiali — jako przynależy
Dziś wychowanie przystojne młodzieży —
Ojciec mój słuchał — w mowie nie leniwa
Przybyła, nad Włochami cała się rozpływa:
Chwali wszystko co obce, co swoje to łaje
Nie były w modnym guście nasze skromne gaje.
Mówiła: u nas drzewo pięknie nie wyrośnie,
Krzywiła się na modrzew, przyganiała sośnie,

Lipa była zaciemną, zajasną, topola
I w maju zazielone nadwiślańskie pola.
Zgoła, jak płoche nieuważne dzieci
Przyganiała i słońcu, że nie jaśnie świeci.
Ojciec milczał—nie we wszystkiem podzielał jéj zdanie,
Bo lubił swoją wioskę — swoją własną dłonią
Sadził drzewa i kwiaty, co dziś mile wonią —
Lecz gdy zaczęła chwalić wychowanie
Jakiem się obcy nadymają, szczycą
Ojciec mój powstał. — oczów błyskawicą
Rzucił na matkę. — a co nie mówiłem?
Że mojego Juljana wysłać gdzie potrzeba,
Boby to było nienajwięcéj miłém
Żeby był głupim i został bez chleba...

J. K.

MATKA.

Widziałem ją . . . nasamprzód jak w świątyni Boga
Z pięknem, wzniesionem błagająco okiem,
Gdy ufność w ślicznéj twarzy jaśniała jéj błoga,
Darzyła nas obecnych niebianki widokiem.
Za zdrowie dzieci i pomyślność domu,
Czyste serce niosło modły,
Oczy je w Niebo powiodły,
Z pociechą potem dążąc do poziomu. —

Widziałem ją, — jak czworgiem dziatek otoczona,
Sama w dwudziestéj piątéj życia wiośnie,
Piąte mniejsze z lubością tuliła do łona,
To na męża, na dzieci, tocząc wzrok radośnie;
A pod jej sercem jeszcze serce bije,
W czas przykre matek koleje
Słodząc, śle w duszę nadzieję,
Że szczęście wkrótce w blasku dnia ożyje.

Słyszałem nakoniec, jéj głos pocieszenia:
Znam, rzekła, teraz smutne twoje losy,
Nie zapomnę w modlitwie nieść codzień westchnienia
Za twą pomyślność, Panu Zastępów w Niebiosy.
O wróć więc do mnie, wróć myśli wesoła,
Ten już szczęsnym zwać się może,
Ty nie zapomnisz go Boże,
Kto zyskał za się modlitwę anioła.

Aleksander Borkowski.

TĘSKNOTA.

(*z Szyllera*)

Z tego padołu ciemności
Gdzie nas mrok uciska chłodny,
Niepojąłbym się z radości,
Gdybym wyleciał swobodny!
Tam gdzie ciągną wzgórzów czoła
Wiecznie młode i zielone;
Niechaj skrzydła mam sokoła,
A polecę w tamtą stronę.

Jakież cudne słyszę śpiewy!
Błogość raju z sobą niosą;
A lekkich wiatrów powiewy,
Balsamów pryskają rosą.
Złoty owoc miga ku mnie
Przez uploty ciemnych liści;
I kwiaty tam rosną dumnie
Niedoznając zim zawiści.

Jak dziś błogą każda chwila,
W wiecznem słońcu i błękitach,
A jak woni i posila
Powietrze na owych szczytach!
Ale wzdęty strumień broni
W utęsknioną bieżyć drogę;
Groza patrzy z czarnych toni,
W mojéj duszy rodzi trwogę.

Tam u brzegu czeka łódka,
Lecz sternika przy niéj nie ma.
Bez wahania — pora krótka —
Płyńmy wiatr żagle rozdyma.
Wierz gorąco, gardzij trudem;
Niebo rękojmi nie daje;
Człek śmiertelny tylko cudem
Może wzlecić w cudów kraje.

L. S.

POCZĄTEK ZIMY.

Kwiaty!
Dąbrowo!
Żegnajcie nam!
Anioł zatraty
Z północnych wyjrzał bram;
I rzekł zniszczenia słowo.
A na to słowo dokoła,
Więdną i trawki i zioła;
Twarz się przyrody mieni.
Jéj skroń obleka pleśń.
I nieskończona
Skowronka pieśń
W przestrzeni
Kona.

Hola!
Słyszycie
Widzicie — tam,
Przez nagie pola
Zbliża się tuman k'nam;
A za nim burzy wycie;
A wśród burzy w majestacie
W rozpuszczonéj — śnieżnéj szacie.
Idzie władczyni nowa;
I przez tumanu mgłę
Znaczy oczyma,
Dziedzictwo swe,
Królowa
Zima.

Biada,
Wam kwiatki
Majowych błoń!
Już mrok zapada,
Blednieje słońca skroń;
Biada wam światła dziatki!
W pośród nocy i chaosu,
Ostatek pulsu i głosu
U matki ziemi znika;
Grobowy bije dzwon;
A z nim gromada
Kruków i wron,
Wykrzyka:
»Biada!«

A my
Synowie
Wichru i burz!
Zkądże uszczkniemy
Na wieniec dla was róż,
Wielcy w grobach ojcowie?
Niech świszczą wichry — grom błyska!
My siądziem blisko ogniska,
Pójdzie czasza do koła,
Z nią ku czci przeszłych lat
Piosnka radosna;
Nim świeży kwiat
Wywoła
Wiosna.

Ł. *J. N. J.*

GOŚCINNOŚĆ.

Mnie uczczono bóstwa sławą,
W arkadyjskim wieku złotym;
Jam mieszkała pod namiotem,
Z patryarchą jako prawo;
Jam słowiańskich ludów wiano,
A gościnność moje miano.

Mnie potwierdził zakon nowy,
Zakon prawdy i prostoty;
Bom ja siostra wiary, cnoty,
Bo nadziei kwiat majowy
Na żywota sieję drodze;
Od miłości bo pochodzę.

Skromna — czysta jak dziewica.
Co dwuznaczna nie znam mowa;
Na pochlebne ludzi słowa
Wstydem płoną moje lica;
Bo nie ufam méj zasłudze,
A podnoszę czyny cudze.

Gdy egoizm świetne grody,
Pałace mi zamknie złote;
To z méj szaty pył ich zmiotę,
I uciekam do zagrody;
Gdzie jak powój przeciw burzy,
Do dzikiej się tulę róży.

O! w mej chacie, w każdą porę,
Otworzone stoją wrota;
Kiedy nocna wyje słota,
W oknie mojem lampa gore;
By wędrowiec, lub ubogi.
Zaszli do niej z błędnej drogi.

Ja na skromnej zbioru grzędzie,
Kłos z nienacka mijam zdrowy,
Dla sieroty i dla wdowy.
Ja gdy ziemię mróz osiędzie,
Rzucam zboża garść na lodzie,
By nie snęło ptastwo w głodzie.

Gdzie ja jestem — kwitnie praca;
Młode roje w lipach dzwonią;
Słowik kwili pod jabłonią;
Na topolę bocian wraca.
Tam Jaskółka, jak w kościele
U strzechy swe gniazdo ściele.

Gdzie mnie nie ma — w gorzkie zioła
Marmurowa rośnie ścieszka;

Na pałacach smutek mieszka;
Bogacz siada sam u stoła;
A dla czułéj matki sromu
Piękne córy więdną w domu.

Mnogie włości — żyzne łany,
Ogień spali — wojna zgniecie;
Lecz kto zemną żył na świecie,
Nie zapłacze — niepłakany.
Tam na gruzach i popiele
Jeszcze znajdzie się wesele.

O Słowiańskie rzewne plemie!
Szanuj cnoty twe rodzinne,
Serce mężne i gościnne;
A na twoję zstąpi ziemię
Gość, co ojcu królów rodu
Dał koronę — za plastr miodu.

J. N. J.

KASPER MIASKOWSKI.

Kasper albo Malcher (tak i tak bowiem podpisywał się na swoich dziełach) czyli raczéj Kasper Malcher, dwóch imion, Miaskowski, urodził się roku 1549, umarł 1622 roku, jak to widać z położonego mu nagrobku, który (jak mówią) dotąd istnieje w kościele parafialnym wsi Wielki-Strzelce zwanéj, a położonéj w powiecie Krobskim we Wielko-Polsce. Jestto ten sam nagrobek, który on sobie sam za życia ułożył. (1) Żył naprzód we Włoszczonowie pod Gąbinem, a więc w Kujawach, dla tego też Andrzéj Lechowicz chwalca jego, nazywa Miaskowskiego nowém światłem Kujawskiéj strony; późniéj mieszkał we Smogorzowie o kilka mil od Szląska, we wsi górzystego położenia. (2) Wydał następujące dzieła:

(1) Dz. I. str. 159.

(2) Gazeta codzienna Warszawska z dnia 5 Lutego 1838 r. w numerże 2040.

Łodź Opalińska, w Kaliszu u Gedeliusza, 1608. Ta oda wyszła po drugi raz z innemi poezyami Miaskowskiego w Krakowie 1612. (zbiór rythmów przez Malchra Miaskowskiego); a ten zbiór powtórnie pomnożony wydano w Poznaniu 1622. (Zbiór rythmów Kaspra Miaskowskiego we dwóch częściach.) Drugiego wydania pisząc ten artykuł, używałem, oznaczywszy obiedwie części, z których się rzeczony zbiór składa liczbą I. II.

Miaskowskiego łączyła ścisła przyjaźń z duchowieństwem rzymsko-katolickiém, jemu swe celniejsze poezye poświęcał, jego i dworu kierował się zdaniem, myślał i żył, jak ksiądz. Będąc za systematem konserwacyjnym powstawał na rokosz Zebrzydowskiego, (3) a sprzyjając wielce duchowieństwu, pisał wiersze przeciwko heretykom i przyjaciela swego, duchownego stanu osobę, łajał za to, że czytywał dzieła wydawane od protestantów. (4) Miał trzech braci, lecz tylko o dwóch, o Baltazarze, Suffraganie Włocławskim, tudzież o Macieju napomknął w swoich poezyach, wiersze im swe posyłając. Wspomniał i o Balcerze Miaskowskim snadź synowcu swoim, który w dziecinnym umarł wieku. Napisał mu nagrobek, tudzież Zofii ze Szczo-

(3) Dz. I. str. 149.
(4) Dz. I. str. 236. i następn. str. 172.

drowa swéj żonie, i swojemu synowi imieniem Jan. (5)

Był to poczciwy szlachcic, Boga i ojczyznę swą nader miłował. Pilnie uczęszczając do kościoła w Gąbinie (pomimo, że mu raził uszy krzykliwy śpiew tamecznego ludu i wrzaskliwe organy) nie przepominał wstępować do domku murowanego z cegły, mieszkania księdza Marka, który z prawdziwego powołania, a nie dla kopy (dla dziesięcin) obrał sobie stan duchowny i sprawował go wzorowo. Miaskowski żył w przyjaźni z całém miastem Gąbinem, szczególniéj też z mieszkającemi tamże (jak się wyraża) głowami szlacheckiemi, którym wyjeżdżając z Włoszczonowa zalecał zgodę i pokój. (6) Cnocie jedynie hołdując, położył sobie nade drzwiami napis, ażeby do domu jego nie wchodzili ci, którzy mają dotkliwy i gadatliwy język. (7) Najszczęśliwszy był, kiedy po ukończeniu gospodarskich prac, usiadł sobie odpocząć przy kominku, na który ten piękny napis ułożył (8):

Kiedy oblem (*) jaskółki połkną już jeziora,
A bydło z nagich lasów zawre w się obora,

(5) Dz. II. 122. 159. 160.
(6) Dz. II. str. 250. 253.
(7) Dz. II. str. 169.
(8) Dz. II. str. 168.
(*) Linde p.w. obły tłómaczy to wokoło, lecz fałszywie; znaczy bowiem jasność, białość (mróz) jak wi-

Kiedy pola okryją białe w koło śniegi,
A szron ostry pospina na brzegach komięgi,
Tu niźli zefir ciepły potarga zaś lody,
Niż gżegżołka ogłosi majowe pogody,
Tu suche, tu mi drzewka nieście do komina,
A na stół czarę piwa albo flaszę wina.

W kraju a nie zagranicą pobierał nauki Miaskowski. Języka greckiego nie umiał; z łacińskich poetów szczególniéj Wirgilego czytywać lubił, którego czwartą sielankę naśladował, zastósowawszy rzecz z niéj wziętą do narodzenia Chrystusa Pana. (9) Pomimo chrześciańskiéj pobożności nie wachał się dla religijnéj swojéj poezyi dobierać obrazów z pogańsko starożytnego świata, ustawicznie niemi sadząc. Chrystusa Pana wyżéj stawia nad mistrza z Cekropskiéj skały, i nad rozum Tarpejskiego koła. Powiada że Muzy, sprzykrzywszy sobie Helikon, udały się na brzeg Palestyny dla śpiewania chwały Jezusa. (10) W śmieszności wpada ilekroć razy uniża się głęboko przed tymi, których chce uczcić pracą swoją. Posyłając Łackiemu Suffraganowi Włocławskiemu wiersz swój pod napisem *Łotr Dy-*

dać z Górnickiego Dworzanina str. 91, który mówi: „Jako dobry malarz cieniem wysadzi rzecz y uczyni ją obłą, a jasnością poda na dalą,“ i t. d.

(9) Dz. I. str. 39.

(10) Dz. I. str. 55. 19.

zmas, tak się do tego odzywa prałata: „Łotr łotra ja posyłam cny biskupie tobie." (11) Przerabiał lub naśladował Jana Kochanowskiego, jak to widać z wiersza do Stanisława, (12) ale w zewnętrznym poezyi układzie jest oryginalnym. Jego rytm czworowierszowy tak jest ułożony, że pierwszy czwartemu a dwa środkowe wiersze wzajemnie odpowiadają sobie: niekiedy wiersz pierwszy drugiemu, trzeci czwartemu odpowiada. (13) Żale na śmierć Kochanowskiego ułożył w sposobie rozmowy z lutnią tego poety. Czyni do niéj zapytanie: „Powiedz córko spłodzona w czarnym lesie, gdzie się podział twój kochanek?" Nieodebrawszy żadnéj odpowiedzi tak daléj mówi: „to ja, a ona tak mi na to rzecze." (14) Wszakże szczególniéj w podziwienie wprawia nas, duch wzniosły lirycznéj poezyi Miaskowskiego, czém celuje nad wszystkich ówczesnych poetów polskich. W téj mierze podobniejszy jest raczéj do Pindara, niż do Horacego, z powodu, że jeden i tenże sam przedmiot rozmaicie a zawsze samodzielnie opisuje (co właśnie oryginalności jest cechą); gdy przeciwnie Horacy co chwila różne opiewa przed-

(11) Dz. I. str. 93.
(12) w Kochanowskiego fraszkach 96.
(12) Dz. I, str. 1. 32.
(14) Dz. II. str. 228.

mioty, nie wykazując przez to, jakby się też był znalazł, gdyby mu przyszło było myśl swą utkwić w jednym obrazie po kilka razy. Co tém bardziéj zadziwiać powinno, gdy Miaskowski, nie znając greckiego wieszcza, samego tylko Horacego czytywał, i jego ody (podług ks. Siarczyńskiego) na polski przekładał język. Talent poetyczny kujawianina tego wysoce ceniąc Andrzéj Lechowicz, tak o nim śpiewał: (15)

. . . Miaskowski kujawskiéj nowe światło strony,
Któryś Polski Amphion, (czyje zawsze żagle
Port, gdzie jeno zamierzał, dochodziły nagle:
Acz on ani wiosłami, ni wiatrem, lecz pióry
Dowcipu wierzch dochodził niedostępnéj góry.)

Piotr Grzegorzkowicz, czyli raczéj Dymitr Sulikowski (w przedmowie do Herkulesa Słowińskiego) przesadzając się w pochwałach jego powiada, że Miaskowski przeszedł w poezyi Jana Kochanowskiego, a zrównał Homerowi. Pod względem lirycznéj szczytności w yższym jest nad wszystkich polskich wieszczów; wszakże niższym od wielu okazał się być poetą w światowych, a szczególniéj też historycznych pieśniach (o Nalewajce, o Dymitrze Carze). Nowe wyrazy, którenii język nasz poetyczny zbogacił,

(15) W żałobie sowitéj.

lub stare, które znowu do życia przywrócił, na szczególniejszą nie zasługują uwagę, (16) ale zasługują na nią, wyrażenia się jego prawdziwie poetyczne. O myśliwym mówi: *zbiera ptactwo ołowiem okrągłym w siarczystym płomieniu.* (17) Obłoki Przezroczyste nazywa *kryształowemi kołami.* (18) O bracie swoim, zmarłym po długiéj chorobie, powiada (19), że dla tego śmierć wytrzymała go tak długo w bolach, ażeby

wnętrzne do nieba obróciwszy oko,
wzdychał tam jako więzień ściśniony głęboko.

Pisywał bez żadnego za to wynagrodzenia; za swoje wiersze, jak sam mówi, (20) ani biednych nie dostał piskorzy. W wydaniu drugiém odmieniał prace swoje. Mianowicie postąpił sobie tak z Herkulesem Słowińskim.

W. A. Maciejowski.

(16) O z o w i e, odezwie się; z d o b n y. ozdobny; o d o d z i a n y, obrany z odzienia; z g o n i ę, dogonię; p r y. prze, mówi; d z i w a k i e, dziwny, straszny; część I. str. 47. 53. 92. 119. 120. 248.

(17) Dz. I. str. 217.

(18) Dz. I. str. 234.

(19) Dz. II. str. 262.

(20) Dz. II. str. 248.

Życie Marszałków francuzkich z czasów Napoleona.

Dla dopełnienia dziejów z epoki Napoleona, wystawionych w jego życiorysie, w r. 1840 we 2 tomaah nakładem *P. Merzbacha* wydanym, przybyło równie interessujące i ważne dzieło „*Życiorysy Marszałków francuzkich.* W epoce tak płodnéj w dziwy wszelkiego rodzaju, oprócz niepospolitych w zawodzie nauk i sztuk talentów, więcéj nad innych zdumiewali i zwracali na siebie uwagę wielcy wojownicy: było to naturalnym rzeczy wypadkiem, że główne ognisko, potężny geniusz, rozsypał na około siebie świetne i błyszczące promienie. W obecnéj książce mamy skreślone czyny 46 wielkich mężów których życie należy do historyi wieku.

Nadto każdego z nich, dołączony portret, podług oryginalnych obrazów z galeryi wersal-

skiéj, bez wątpienia przyczynia się do powiększenia wartości dzieła. Jeżeli biografie te, nie we wszelkich szczegółach przedstawiają owe kolosalne postacie wieku, jeżeli rozwijanie się ich zdolności, postęp kształcenia się, usposobienie duchowe niezawsze dostatecznie są rozwinięte, to zaprzeczyć niemożna temu, że obejmuje staranne zebrane szczegóły historyczne ich czynów i wpływu jaki na polu walki w licznych bitwach wywarli. W każdym zaś razie dzieło to z korzyścią zapełnia panującą u nas tego przedmiotu próżnię i posłuży za przygotowany materyał do wzniesienia kiedy budowy historycznéj, dla odkrycia ducha co kierował światem myśli i zdarzeń, dla wyświetlenia znamienia wieku stanowiącego nową historyczną erę.

Stannica Hulajpolska

przez

Edwarda Tarszę.

Michała Grabowskiego

W pośród zielonych stepów bujnéj Ukrainy, leży wieś *Zielona Mogiła*, gniazdo domu *Mogilańskich*: ostatni domu tego potomek *Jerzy*, wyjeżdżając służyć wojskowo do miasta *Hulajpolu* nad granicą Polski leżącego, rzuca rodzinną wioskę, matkę, ojca i młodą narzeczoną sobie od dzieciństwa *Maryą Kopijowską*, która kocha go cichą, milczącą i łagodną miłością. W drodze do miejsca przeznaczenia, młody Jerzy poznaje *Hannę*, wiejską dziewczynę, wracającą z odbytéj do Kijowa pobożnéj pielgrzymki z ciotką *Makryną*. a podróżując z piękną dziewczyną przez czas długi w czarownych okolicach, pokochał ją na-

miętnie, nie bez wzajemności. Zaledwie stanął w Hulajpolu i wszedł jako towarzysz do Kawaleryi narodowéj, z własnéj ochoty przyłączył się do oddziału, wysłanego celem przecięcia drogi gromadzie kozackiéj, która uszedłszy po zniesieniu przez Rossyą Siczy, chciała się dostać do Turcyi. Zbyt wielka kozaków liczba, niepozwoliła ścigającemu ją, nie licznemu pocztowi Polaków wzbronić im przejścia na ziemię Ottomańskiéj Porty, ale Koszowy *Sydor-Biały*, przez nieroztropne zuchwalstwo, sam jeden dostał się w niewolę. Za powrotem z wyprawy do Hulajpolu, Jerzy miał sobie powierzoną straż nad tym jeńcem; ale w nocy do samotnego odwachu przybyły Hanna z Makryną, a po zdradzieckiém przez tę drugą oswobodzeniu Sydora, uszły wraz z nim, zostawiając na jego miejscu skrępowanego nieszczęśliwego Mogilańskiego. Sąd wojenny na głowę jego wydaje wyrok śmierci; wyrok ten boleśnie odbił się w duszy Maryi Kopijowskiéj, łzami swemi i prośbą u króla wyprasza ułaskawienie dla towarzysza lat dziecinnych, który też poznawszy przymioty i miłość swéj narzeczonéj, oddaje jéj serce i rękę. Hanna czarnobrewa w klasztorze zamyka dni młode.

Otóż jest treść *Stannicy Hulajpolskiéj*, Edwarda Tarszy, pod którym to pseudonymem jak do-

wiadujemy się z pism czasowych ukrywa się Michał Grabowski, autor *Literatury i Krytyki*. Dzieło noszące ten ostatni tytuł, lubo w głównych swoich zasadach, nieposunęło wyobrażeń o sztuce wyżéj nadto co zamyka książka o literaturze XIX wieku przeciw któremu niemało powiedziećby jeszcze można, znalazło jednak, bąć dla tego że wśród mnóstwa błędów i fałszów błyska częstokroć trafnym o sztuce sądem, bąć że sofizmatom jego niemożna odmówić zręczności, bąć z innych powodów, niemałą wziętość, która dziś dopiero (dzięki rozszerzającym się zdrowym pojęciom) upada, znalazło i znajduje chwalców, co w niém widzą samą genialność i prawdę, wbrew wszelkiéj rzeczywistości. Nie mniejsze pochwały spotkały także *Stannicę Hulajpolską*: ale jakiejkolwiek wziętości są imiona jéj chwalców, to przecież aby sumiennie postąpić, zaprzeczę im otwarcie — powiem że wspomniona książka żadnéj cechy wyższego talentu na sobie niema. A naprzód, powieści téj rażącą wadą jest *niedołężne naśladownictwo*. Wiem ja o téj prawdzie, że pod słońcem niema nic nowego; wiem że w utworach sztuki powtarzają się nieskończenie też same uczucia, myśli i obrazy, że umiejętność polega w sposobie wyrażenia uczuć, w stawieniu obok siebie i oświetleniu stosowném obrazów. Wiem także, że niedziw żaden w dwu sercach znaleść harmo-

nią tęż samą, że nieraz z dwu ust może wyjść ten sam wyraz, w dwu wyobraźniach podobne wykréślić się malowidło — ale kiedy znajduję w jakim utworze też same główne sprężyny działania, ten sam wątek główny co w innym, niemogę tego inaczej uważać, jak za naśladownictwo. Główną rzeczą, głowną sprężyną w powieści są charaktery celnie działających osób; one to tajemnym i niezerwanym węzłem spółczucia łączą z sobą ciągle naszę uwagę, ich to namiętności i żądze nadają kierunek, znaczenie, pęd, rozwiązanie zdarzeniom. Ponieważ zdanie to oczywiście ma za sobą prawdę, słusznie więc powiedzieć mi wolno, że autor *Stannicy Hulajpolskiéj* naśladował romans Walter Skotta *Wawerlej*. Tak, Jerzy Mogilański jest kopią Edwarda; również jak on wychowany w oddaleniu od świata i ludzi, równie wykarmiony staremi podaniami i książkami, również bez żadnéj stałéj zasady młodzieniec, marzyciel słaby i wielki rojący na jawie a obcy rzeczywistosci, porzuca dom wchodząc w obowiązki żołnierza. Wśród czarujących krajobrazów Ukrainy, Jerzy poznaje czarnobrewę Hannę, również jak Edward wśród dzikich i uroczych gór Szkocyi Florę Mac-Ivor. Pomimo różnicy ukształcenia i stanu, któż w fizognomii i charakterze Ukrainki nie pozna młodéj Szkotki? komuż podróż Mogilańskiego nie przypomni romantycznego pobytu

Wawerleja w Glennaquoich? komuż Hanna nucąca wśród zielonego lasu pieśń krajową, nie wywoła wspomnienia Flory, gdy na szczycie gór rodzinnych Gaelicką piosnkę śpiewa?... Idźmy daléj, Piękność proszczalnicy wsparta romantycznością położenia w jakiém się względem niego znajduje, zapala miłość namiętną w marzącym Jerzym, również jak uroda siostry naczelnika górali w podobnież usposobioném sercu Edwarda. Miłość ta również towarzysza Polskiéj chorągwi jak Angielskiego kapitana przywodzi do zapomnienia zaciągnionych obowiązków, na obu również ściąga niesławę i obu śmiercią zagraża. — Hanna, tak jak Flora chroni się w ciche mury klasztoru. Jerzy, zrzekłszy się w skutku gorzkich doświadczeń swoich namiętnych uczuć, w końcu przestaje na cichéj i bladéj miłości Maryi, i z nią się żeni; Edward, również po smutnych przygodach szuka szczęścia na łonie złotowłoséj, dobréj i nie namiętnéj Róży Bradwardine, która widocznie jest podobieństwem Kopijowskiéj. — Baczny czytelnik może wreście nie tak wielką znajdzie różnicę między panną Domicellą, co żegnając siostrzeńca przestrzega go o niebezpieczeństwie przestawania z ukrainkami, a ciotką Reginą czyniącą uwagi odjeżdżającemu Wawerlejowi o skromności kobiét góralskich; między Ewanem Dhu gdy w prostocie uczuć

swoich ofiaruje się sam z sześcią ziomków na śmierć poświęcić, byle sąd jego wodza Fergusa od niéj uwolnił, a starym sługą Jerzego gdy chce również prosić sędziów by jego krew miasto pańskiéj przeleli. — Jeżeli celniejsze charaktery w *Stannicy Hulajpolskiéj* są naśladowane, to naślodowanie jest jak powiedziałem niedołężne — żadna osoba główna nieprzywiązuje nas do siebie, za żadną nie idą nasze myśli i życzenia; zresztą żadna z nich nie nosi na sobie dostatecznéj rodowéj cechy. Ruch ich ciężki i niezgrabny, mowa obumarła, sztuczna niedopuszczają czytelnikowi ułudy i wcielenia się w ich istność. Na pociechę znaleźliśmy przecież między osobami drugiego rzędu dwie ciemne postacie śmiertelnych wrogów *Sydora-Białego* i *Strażnika Sieniuchy Kwietkiewicza*, zarysowane mocno i wyraźnie; one jedne noszą na sobie znamię istotnego życia i rodowego ducha, one też póki są na scenie, zajmują najmocniéj, a to zajęcie czytelników bardziéj postronnemi niż naczelnemi osobami, jest wielkim błędem powieści.

Jeżeli główne zadanie autora, widzieliśmy tak licho wykonane, nie lepiéj się ma i z drugim, to jest z oddaniem ducha i oblicza Ukrainy, co nawet zdaje się że w *Stannicy Hulajpolskiéj* pierwszym miało być celem, sądzac z godła na niéj umieszczonego:

Malarz kraj do widoku obrawszy wesoły,
Lub wirydarz pięknemi umajony zioły,
Uczyni z niego landszaft z uciesznėm wejrzeniem;
Tak ja, me kąty chciałem odmalować...

Zimorowicz.

Zaiste, godzi się zazdrościć pisarzowi, któremu wypadnie malować kraj rodzinny *Zamku Kaniowskiego*, *Maryi*, *Rusałek*. Geniuszu potrzeba na utworzenie poezyi którėj bądź krainy, bo potrzeba wyśledzić bystrėm wejrzeniem wszystko piękne, wszystko straszne, tkliwe i wzniosłe w jėj dziejach, obliczu, sercach jėj ludu, nastroić głos na dwięk srebrny potoków i gajów, lub na wycie ponure wiatrów i burz, a nad całėm malowidłem zawiesić jasne wiosenne słońce, czy mgłę grubą wieczorną, czy gwiaździste północne niebo: jakiegoż wzroku, jakiego czucia, jakiegoż to wymaga natchnienia! Ale poetycznego żywiołu Ukrainy dziś nie szukać; pieśni poetów obłały ją już tak uroczym blaskiem, żeśmy na nią nawykli patrzyć jak na świat cudów i czarów, świat namiętności i życia; to też dziś niewielki trud skréślić jéj obraz i zająć nim wyobraźnią wraz z duszą czytających.

Czy w dziele które mamy przed sobą odbiła się Ukraina? Nic. — Są tu wprawdzie mnogie,

może być najwierniejsze, opisy szczegółów, są tu nagromadzone nazwiska i słowa prowincyonalne, ale czyżto jest dosyć? — Michał Grabowski w *Literaturze i Krytyce*, słusznie (co mu się dość rzadko zdarza) mówi: „Niech Casanowa, niech Fischer, wystawią w głębi granatowéj doliny Marchfelda leżące duże miasto, a nadniém jakby wystąpioną naprzód z łańcucha Alp styryjskich olbrzymią piramidę, czarną, pływającą w burzliwych chmur powodzi, będzie to obraz wieży St. Stefańskiéj, dający jéj nierównie żywsze wyobrażenie, niżeli najdobitniejszy plan wszystkich szczegółów Wolterowskiéj budowy." i t. d.

Niemniéj sprawiedliwe zdanie jego w drugiem miejscu: „W czémże tai się urok, który Wilhelma Tella nad inne tragedye Szyllera wynosi? w tém, że w téj tragedyi, czujesz iż wieje po niéj wszędzie powietrze Szwajcarskie." Lecz gdzież w *Stannicy* wieje powietrze Ukraińskie? Czyż w téj pięciotomowéj nudnéj, bezbarwnéj gadaninie, uczuje kto tyle step samotny co w kilku wierszach *Maryi*?

„Włóczy się wzrok w przestrzeni; a gdzie tylko zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć gdzie znajdzie:
Na rozciągnięte niwy słońce skosa świeci —
Czasem kracząc i wrona, i cień jéj przeleci,

Czasem w bliskości burjanach świerszcz polny zaćwierka
I głucho— tylko jakaś w powietrzu rozterka."...

Czyż w tych długich, drobiazgowych bładych opisach, uczuje kto w części chociaż, co w tym krótkim rysie *Kaniowskiego Zamku*?

»Tu, pod nogami, na równi poziomej
Moszen, spojrzeniem policzone, domy;
Irdyń drzymiący w spleśniałéj głębinie,
Wiecznie z wiatrami sporne oczerety;
Jak rozsypane zielone bukiety,
Drzewa, i sady, i gaje w dolinie.
Tam błyskający jasnemi zwierciadły,
Tu w gardła jaru, jak w otchłań zapadły,
Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
A tu się znowu wylał z bioder góry.
Daléj, piasczyste pozłocone morze;
Daléj, bór spływa po spiczastym szczycie,
Podobny strzępnéj narodowca kicie.
A jeszcze daléj, i daléj, i bliżéj,
Góra po górze, bór idzie po borze;
Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży,
Plączą się, mącą, rozchodzą, zbiegają,
Niepoliczoną, nieobjętą zgrają,
Wioski i grody, pustynie i laski,
Jary, i góry, i łąki, i piaski.
A coraz daléj stepy piasku bledsze
A coraz daléj, lasy błękitnawsze,
A coraz daléj dymniejsze powietrze,
I nieba niższe, — a mgły, a mgły zawsze.

Ileż swobody, uniesień rozwinie
Jeden tu widok, w jednéj tu godzinie!
Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży,
Co tam za strony! gdzie, w tumany sinie
Wiecznie drzymiące, fala Dniepru płynie?«...

Cóż dopiéro powiedzieć o pojęciu przez Autora rodowego ducha ludu?— Jak to pojęcie niedołężne jest i fałszywe, dostatecznie dowodzi powieść włożona w usta *Makryny*, a następnie podania o Baszcie Mazura. W pierwszym razie zamiast powieści prawdziwie gminnéj i noszącéj cechy własnéj narodu fantazyi, czytamy utworzoną z myśli pierwotnéj, Rossyjskiego pisarza bajkę. Drugie podanie, wyraźniéj jeszcze zdradza błędne o rzeczy wyobrażenie; ze swoją erudycyą i rozumowaniem miasto fantazyi, ze swoim Polanem, Bogną, może ono być dobrém jako twór zupełnie nowy, ale podobniejszy dzień do nocy, niżeli ono do klechdy ludu. W całéj niniejszéj książce, jedno tylko znajduję miejsce, gdzie prawdziwie widać kozaka, prawdziwie czuć Ukrainę i życie: jestto opowiadanie Koszowego, któremu jako oddzielnéj całości nic zarzucić nie można.

Co do sztuki, ta nie jest wcale silną *Stannicy Hulajpolskiéj* stroną: jest ona owszem zupełnie słabą — sądzimy tu autora podług własnych jego zdań w *Literaturze i Krytyce* objawionych. Oto są jego słowa: „Jedność jest jedyną

rękojmią piękności, w utworze sztuki; bez niéj nie ma prostoty, nie ma spokojności, nie ma gruntu; ogólniéj powiem, bez niéj nie ma organicznego utworu"... A przecież nic nie masz, w rozbieranéj przez nas powieści, wyraźniejszego jak brak zupełny jedności. To nietylko czuć się daje w braku jednegoż ducha któryby ożywił i w harmonią splatał wszystkie rozpierzchnione części dzieła, ale daje się jeszcze dotykalnie postrzegać w posklejaniu nieforemnem nienależnych do niego ustępów. Tak *np.* cały niemal tom trzeci i czwarty zajmuje historya Koszowego i Kwietkiewicza, osób podrzędnych i krótko na scenie widzianych. — Gdyby nie sąd wyżéj przytoczony autora samego, my możebyśmy mniéj przywiązywali uwagi, możebyśmy mniéj surowo przyjęli ten niedostatek jedności — inaczéj się rzecz ma ze szkolarską nieumiejętnością z jaką tenże stara się w ciągu opowiadania zapoznawać czytelników z obyczajami Ukrainy, tudzież z innemi drobnemi szczegółami. Wszędzie w takim razie widać naciąganie niezgrabne, ciągnienie gwałtem uwagi na wskazany przedmiot, która przecież mimo to nie zwraca się do niego tyle, ileby się zwróciła, gdyby mniéj staranniej, a z większém odrysowany był życiem.

Dla przykładu, przytaczam miejsce gdzie Opat Bazyliański młodemu Mogilańskiemu po-

kazuje cerkiew swoją, opisując skład jéj ołtarza i t. p. — czyliż ten Jerzy dopytujący się po kolei to oto, to o owo, nie jest w pokrewieństwie z dziećmi w *Przypadkach Robinsona Kruzoe*, które dla tego jedynie pytają, aby w odpowiedzi ich ojca czytający znalazł nauczkę? Czy taki sposób pisania uchodzi w dziele mającém zająć pewne miejsce w literaturze krajowéj? Nie zdaje mi się.

Każdego utworu sztuki, koniecznym warunkiem jest pewien rodzaj oczarowania, urok, któryby spadłszy na serce tak je objął, tak otoczył żebyśmy zapomniawszy o sobie żyli życiem jego bohaterów, czuli, cierpieli wraz z nimi; w obecnym darmobyśmy doświadczyć szukali chwili takiego urzeczenia. Wszędzie tu widać książkę, wszędzie słychać autora, który bezustannie powtarzanemi wyjaśnieniami, przypiskami, rozumowaniami, obecność swoją przypomina; a który przecież pisząc o francuzkiéj nowéj Literaturze, powiedział: „Homer, Walter Scott, Szekspir rzucają swój utwór bez troski na widownią życia i zostawiają ażeby istoty raz przez nich powołane do bytu, same świadczyły o sobie, same siebie czynem i dziełem przejawiały i konały z sobą ten dramat, jakowych miliony milionów toczy się w każdéj

chwili, wszędzie gdzie tylko Bóg zasiał życie. Ten, który beznamaszczenia poetycznego bierze się za dzieło tworzenia, nie będzie tak bezpiecznym. Co chwila niespokojność go zdradza. Nie schodzi nigdy ze sceny: tłumaczy ciągle czyny i rzeczy,... podtrzymuje co siła starczy chwiejącą się swoją budowę, bo ona jest ciężka, waląca się, nie taka; która ze tchu natchnienia powstała"... Uznajemy całą słuszność i prawdę tego zdania, a ostatnie jego słowa za sprawiedliwy wyrok wydany o *Stannicy Hulajpolskiéj*.

Nim skończę moje uwagi nad tą powieścią, wspomnę jeszcze o całkiém niespodzianém zjawisku, o kilku myślach tchnących ludzkością lub prawdą w usta Rektora Bazylianów, Makryny, i t. d. włożonych. Myślećby można zrazu, że arystokratyczny krytyk zmienił z gruntu swe wyobrażenia na lepsze, ale nie, w innych miejscach, w ogólnéj myśli dzieła tkwią jego dawne ideje. Miałyżby te kilka zdań zwiastować, rozpoczynającą się w jego duszy przemianę? oby to było prawdą! korzystną byłoby ona nieskończenie dla autora. Ja wierzę w królowanie idei, wierzę, że ona niewidomie ale wszechwładnie działa na wszystkie ludzkie czyny i utwory, a tylko ideja wielka, ogarnia-

jąca promieniami miłości świat cały i wieki, czysta od błahych osobistych widoków i przesądów, może wydać dzieło wielkie — kiedy tymczasem drobna, czołgająca się w ciasnym okręgu wytkniętym od wieków, daleka od obszernych pojęć i uczuć rozległych, wiecznie karłowate, słabe, niekształtne wydawać będzie płody.

R. Z.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

JAKO SZTUKA OBRAZOWA.

Powieść historyczna nie jest nowém zjawiskiem w naszéj literaturze, oddawna ona jest znaną, objawiała się tylko w różnéj szacie i pod różnemi nazwiskami. Starożytne podania, co przechodziły z ust do ust, i ustrojone w różnobarwne zmyślenia uczyły i bawiły następne pokolenia; daléj uznanie jakiéj górującéj myśli w kole społeczeńskiego życia, zwyczaje i uczucia z przeszłych czasów, duch ożywiający sfery działań przodków, oto zwyczajne przedmioty do artystycznego obrazowania. Lubimy wpatrywać się w te malowidła ożywionych kiedyś obrazów, i przenosić się myślą w minione czasy, zwyczaje, uczucia, a równając czas

miniony z obecném miejscem, szukamy nowych złudzeń dla duszy w przyszłości. Doskonała powieść historyczna, powinna naturalnie sprawić wrażenia na czytelniku lub słuchaczu, jeżeli autor dopełnił wszystkich warunków wymaganych od artysty-pisarza: powinna mu wystawić zarazem tło czasu i miejsca, rysunek myśli i figur, a wszystko ozdobione kolorytem życia i działania. — Wszystko tu musi być zgodne w celu i dążeniu, wszędzie jedna myśl wybitna przewodniczyć ma całemu dziełu, co właśnie stanowi artystyczną *jedność* każdego wykonania; w doskonałem zaś rozporządzeniu części składających obraz, w nadaniu im przyzwoitego miejsca w większém świetle lub cieniu, dla sprawienia ogólnego effektu polega obrazowa *całość*. Z tego cośmy dotąd powiedzieli wypada, że powieść, będzie rzeczywistém obrazowaniem ludzi, działań, uczuć i myśli, a więc będzie sztuką, artyzmem, i jako taką uważać ją tu będziemy.

Społeczność, lud, naród jak tylko przyjdzie do uznania się w czynach i myślach swoich, ma zaraz historyczną przeszłość, bo ma pamięć tego jak się rozumiał i pojmował w pewnym czasie, a summa takich pojęć z różnych wieków i lat, stanowi ogólną historyą. Powieść historyczna bierze za przedmiot jeden

zwykle moment z ogólnéj takiéj summy, i przedstawia w obrazie sztucznym zbiór pojęć i uczuć uznanych w instytucyach, obyczajach i działaniach danych osób, które stanowią dramatyczną część powieści. Jak historya służy pamięci, tak powieść historyczna obrazując, świat naturę i ludzi w danym czasie i miejscu, jest odbiciemi uosobieniem imaginacyi, téj siły wynalazkowéj artysty, od któréj w sztukach pięknych zależy wynalezienie (inventio). Wynalezienie osób, miejsca i czasu, na rysowaniu proporcyonalnych figur z wybitnemi obliczami, na którychby dostrzedz można kolór i tło epoki, jest zadaniem historyka, ale wprowadzić wszystko w akcyą życia i interessu, zbliżyć przed oczy obecnych jakby optyczném narzędziem cały świat uczuć i działań na tle oświetloném duchem czasu, oto jest zadanie artysty-pisarza. Powieść dziś nie jest pogardzonym pokarmem jakto było u Greków i Rzymian, bo téż różni się ona zupełnie od starożytnéj i formą obrobienia i celem i kolorytem, który już dziś naciąga się barwami nietylko historyi, ale filozofii i poezyi; przy takim jéj stanowisku niema potrzeby obawiać się, aby kiedy zabrakło wątku do osnowy tego rodzaju sztuki i dopóki wieki powtarzać będą, w swéj zwierciadlanéj powierzchni ludzi i myśli, do-

póty dla powieści znajdzie się nie wyczerpane źródło obrazowania tych przedmiotów. Powieść więc z natury swojéj dziś wymaga artysty-poety, a razem filozofa i historyka, bez tych warunków niemożna stać się kompozytorem w tym rodzaju artyzmu. Ale nie tu koniec aby zadosyć uczynić wymaganym potrzebom sztuki, wynalezienie samo jest dopiero materyałem, z którego trzeba utworzyć architektonikę z głosów, farb i ruchów, trzeba dokonać plastyczny effekt, który jest koroną dzieła. To niemała praca dla istotnego talentu, tém rozporządzeniem, tą dyspozycyą mass światła i cienia, wrażeń i namiętności, czynów i myśli, linij i figur, zyskuje się skutek względny do smaku i gustu z jakim jeszcze artysta umie rozprowadzić te wszystkie zasoby na kompozycyą swoją: boć wszelki skutek w jakimbądź systemie poetyckiego obrazowania, zależy od stosunku realizmu, materyi do idealizmu dumania. W obrazie *np.* flamandzkim nie wszystko będzie piękne, ale dla tego obraz nieprzestanie być pięknym, bo tam dumanie artysty w stosunku do realności jest wybitniejszą stroną i dla tego effekt pewny. Albo w charakterach osób Jana Pawła Rychtera mało znajdziemy tak ckliwych uczuć, tak zużytych żądz, a przecież tam tak przeważający jest stosunek sentymentalności do rzeczywistości, iż

dzieła podobne nie będą miały kopii. Od rozporządzenia więc części składowych dzieła i wydania zasadniczego pierwiastku górującego w stosunku realności do idealności leży gatunek powieści względnie do jéj wewnętrznego zakresu; z przewagi realności wyniknie powieść *obyczajowa*, z przewagi idealności otrzymamy powieść *uczuciową sentymentalną*, a artysta pisarz równie musi być dobrym alchemistą i fizyologiem czynów ludzkich, w stzuce jak znać psychologiją uczuć i namiętności. Inaczéj trudno odwzorować ten typ życia ludzkiego, który się w tak poetycznych kształtach pojawia, trudno oddać nieruchomą głoską tak ruchome zjawisko. Kto się nie obliczył z siłami rozpoczynając dzieło, kto talent chęcią, rozsądkiem chce zastąpić, w trudny puszcza się zawód, może zrobić dobre rysunki i kontury, może kolorować i rozporządzać przyzwoicie postaci, stawiać je w własnym cieniu lub świetle, ale niepodobna nadać wszystkim swą harmonią całości i jedności, ów effektowy kontrast objawiający się we wszystkich sytuacyach, charakterach, okolicznościach, co stanowi artystyczną *elokucyą* dzieła.

Przejdźmy teraz do form powieści historycznéj w stosunku do saméj historyi w ogólności prawda w najbardziéj rozległych stosunkach jest przedmiotem właściwéj historyi, a z tego sta-

nowiska nie może ona rozdrabiać się na interesa szczegółów, nie może dzielić swojéj jedności na drobnostki indiwiduów, bo właśnie spojenie ich w całość systematyczną w syntezę, stanowi treść, jądro historycznego wątku. Jak tylko historya rozdrabia się na szczegóły, jest już romansem historycznym nie historyą, bo jednostki są uroczą osłonione barwą, a w rozerwaniu swojém nie mają prawdy ale tylko pozór, barwę prawdy: w ogólnikach dopiero zbierają się te rozpostarte w przestrzeni czasów i miejsc duchy i z nich powstaje niezwalczona posada historyczna, prawda w całéj swojéj potędze i sile. Romans więc lub powieść historyczna jest tylko historya jednostek, historya ducha pewnego czasu; forma więc jéj dowolniejsza od historyi i dla tego w postaciowaniu szczegułów przezroczyściéj, jaśniéj dojrzeć tu można owego ducha, owe ideje wieku, jak w rozumowanych obrazach historyi. I niepodobna też nawet aby historya ze stanowiska syntetycznego lub analitycznego, mogła w tak mocnych i żywych farbach wystawić dla nas przeszłość; potrzeba wykrywania wszędzie nagiéj i widnéj prawdy, nie pogodzi się zawsze z artystyczném rozporządzeniem i poetycznemi złudzeniami. Romans więc lub powieść obejmując te pojedyncze fakta w stosowne ramy,

utworzy z nich obrazy do muzeów przeszłości. Dla tego też powieść historyczna jako dzieło talentu, artyzmu stała się dziś powszednim pokarmem wszystkich; jedni lubią się wpatrywać w ożywione rysy i myśli przodków, których oblicza nabyły nowéj dzielności przez bieg wieków postępując, inni w fantastyckich postaciach czasów minionych, dostrzegłszy uosobione rodzime fikcye, które ich zarząca imaginacya roztoczyła, znajdują razem pokarm dla umysłu i serca.

Każda przeszłość ma swoją powieść, bo jest jednostką wyjętą z większéj całości ogólnego potoku historyi, a życie indiwiduów téj przeszłóści, jest także cząstką życia narodu i narodów, które z zakresu ludzkości przebiegają znowu różne epoki, kształcenia się lub niszczenia: a więc który naród przyszedł do poznania siebie w swojém bycie i zatrudnieniu, życiu, taki już będzie miał wątek z niezliczonych szczegółów jednostek do artystycznego obrobienia powieści: powieść więc historyczna nigdy nieprzejdzie w upośledzone rzemiosło, w blady, bezkolorowy wyrób, jak się to dzieje z innemi rodzajami powieści, który aby zasilić farbą i ożywić interesem zaprawiają szkaradami i okropnościami. Powieść historyczna jako dzie-

ło sztuki, znajdzie zawsze przedmiot w historyi a barwy i kolory w poezyi.

Nietrudno nam teraz będzie ze stanowiska artystycznego przypatrywać się utworom naszych najnowszych zwłaszcza pisarzy powieści historycznych, a obejrzenie znakomitszych prac równie może być pożytecznćm tak dla sztuki jak dla artystów - autorów; zastosowanie zaś naszych uwag do ocenienia dzieł podobnych będzie skazówką jak dostrzegać w tych historycznych utworach rysy i zalety, które im nadają prawo do pomieszczenia w muzeach *naszéj przeszłości.*

W ostatnich czasach zjawiło się kilka historycznych powieści, które badając miejscowego ducha czasu, przedstawiały po mistrzowsku niektóre zarysy téj nikłéj fizyonomii, w którą się zlewają obyczaje przesądy, podania, pieśni taniec i dzieje narodu.

Mazowsze zaległo od strony Prusaków i Litwy, wystawione na ustawne walki z drapieżnym zakonem, mało przyjmowało w siebie szerzącą się po Polsce oświatę; ale zostało się tu dość prawości i prostoty, gościnności i swobody, dość wrzących uczuć przytém energii i mocy w czynach, potęgi woli. Tu i owdzie snują się oblicza męzkie i bohaterskie na tle szarawém mazowieckich podań, które już albo słabo tylko odbiją się jeszcze w pieśni, albo w gadce zabawią przy

ognisku zgromadzoną dziatwę. P. Anna Nakwaska w *Czarnéj marze* obrała bardzo interesujące i obfite w barwy tło do swojéj powieści. Można je zrobić bardzo wybitném i odznaczoném, ale to niełatwa praca; ten grunt, tę podstawę artystowskiego budynku nie można rzucić od razu za jedném pociągiem pióra na papier, jestto coś tak lotnego, ten duch czasu, to tło na którém się odbywa rysunek, że raczéj czuciem tylko niżeli głoską martwą da się pojąć, a cóż dopiero oddać w upostaciowanéj formie. I dla tego też ta część obrazowania może najtrudniéjsza. W *Czarnéj Marze* jedno tylko miejsce znajdujemy, gdzie warunkom sztuki pod tym względem zrobiono zadosyć. Jestto założenie Stanisławowa; lecz takie pojedyncze dokładności nie mogą wystarczyć na całe dzieło. I trudno wymagać od kobiety tego głęboko badawczego ducha, wszystko w niéj jest teraźniejsze, wszystko powszednie nawet historyczność i dlatego koloryt tła na którym ona osnuje powieść nie przejmie w siebie farb i cieni charakteryzujących wiek i miejsce. W powieści *Zofija Ololkiewiczówna* P. Józefy O. przedstawiającéj wypadki z XVI wieku, nieznajdujemy prawie żadnego gruntu, zarysu; coby nam ten wiek przypominało: całe tło jest zatarte, zamazane, kolory niewynikają z rozbitego pryzmem światła ale

są jakby zamalowane, bez połysku i właściwéj barwy. Mężczyzni szczęśliwsi są w oddaniu téj części misterstwa powieściowego, z większą precyzyą: w powieści np. *Trzy Sieroty* P. Laskowskiego dostrzedz można pod tym względem niejaką różnicę na korzyść autora. Umysł pisarza po części wdziera się tu w ciemnie wieku, rozjaśnia je i wynosi na widok publiczny. Ale wyznajmy z drugiéj strony, że co do delikatności rysunku i szczególnych niekiedy niedostrzeżonych pozycyi w grupowaniu figur, nadaniu im działalności i interesu, często kobiety artystki przewyższają mężczyzn. Im łatwiéj dojrzeć delikatne stosunki, powiązać intrygi, zręcznie pochwycić kontrasty. W *Czarnéj Marze* są niektóre bardzo dobre wzory w tym rodzaju jak równie i w *Zofii Ololkiewiczównie*. Jak postaci wojewodzianki Radziejowskiéj i Giżanki mamy niewiele równie naturalnych wzorów: wszystko w nich jest własne, swojskie, przyzwoite. Równe zalety posiadają wszystkie prawie osoby główne w powieści P. Józefy O. *Zofija Ololkiewiczówna* ze wszystkiemi słabościami i uczuciami, z całą mocą i niedostatkiem kobiecych usposobień jest arcydziełem rysnnku w sztuce. Ta część artyzmu nie jest tak wydatną w dwóch powieściach p. t. *Trzy Sieroty* i *Starosta Rabsztyński*. W pierwszéj bez potrzeby, autor prze-

nosi nas do Francyi, a przez to pozbawia dzieła zajęcia. Ukartowanie wypadków lubo niezłe, przecież niedowodzi zupełnéj oryginalności wielu szczegółów. Oto przyczyna, że mimo dokładnie wydatnego tła okresu i miejsca, mimo kilku dobrych konturów i ugrupowania dowodzącego talentu, effékt przecież nie odpowiedni prawie zniszczony zupełnie, z przyczyny powikłania intrygi i braku jedności w dążeniu do harmonii zgodnéj i określonéj, która sprawia i dopełnia przekonanie o piękném i doskonałém. *Starosta Rabsztyński* jeszcze mniéj wolny od podobnych zarzutów. Tło pod względem historyczności nie pojęte i nieoddane w obrazie, co tém gorszą jest rzeczą, że tu mają się wystawiać czasy dość bliskie. Na takiéj posadzie najlepszy rysunek nie zrobi wrażenia. Na cóż się zdały najpiękniejsze charaktery *np.* Starosty wykreślone stylem żywym i silnym przypominające w miły sposób bo bez przesady *Zemstę panny Urszuli*? Jeżeli brakuje przenikliwego dostrzegania gdzie postawić najkorzystniéj figurę, jakie jéj dać życie, jaki rzucić na nię cień, skąd światło; jeżeli nieumiemy utrzymać je ciągle w pewnym właściwym stopniu działalności i interessu, a we wszystkich akcyach nadać dramatyczne i uderzające sytuacye, na nic się nieprzyda indiwidualna rzeźbiar-

ska piękność osób i postaci; będą to zawsze tylko martwe posągi zdobiące portyk wspaniałego ale niestosownego gmachu, które mu nic przydadzą więcéj zajęcia i okazałości, gdy rozkład niebędzie odpowiadał założeniu i przewodniczącéj myśli budownika. Cóż dopiero, kiedy potrzeba wszystkim tym postaciom ożywionym pod piórem artysty nadać ruch i życie; pochwycić nie chwilę trwające namiętności, ale ustawicznie objawiające się we wszystkich sytuacyach i czynach; silną imaginacyą wyobrazić wypadki dalekie i odległe, owinięte niekiedy bajecznością, i odszkicować je jakby w świeżém życiu, jakby obecne, i w wiernym rysunku odczarować myśli przenikające wszelkie rzeczywistości odcienia. Niedosyć tego, jeżeli wyraz namiętności, nie będzie zgodny z naturą, jeżeli w każdym charakterze nie objawi się innym sposobem, jeżeli węzeł intrygi drammatycznéj nie obejmie w sobie wszystkich tych różnorodnych elementów do artystycznego obrobienia, dzieło choćby najlepiéj *wynalezione* i rozporządzone jego części, niezłoży doskonałéj piękności, ani obudzi żywego uczucia. Warunki które tu dopełnić potrzeba, nazwałbym *elokucyą* sztuki. Wszystko zależy na zebraniu tych drobnych i niby nieznaczących szczegółów w misterną całość, a całość taka ma być niejako dotykalna na wszy-

stkich punktach, miejscach powieści, tu pisarz ma korzyść przed malarzem, któremu zostaje tylko jedna chwila do wyboru, a obrazując przedmiot musi przedstawić nietylko co się dzieje, ale co się stało, albo co się stanie. Na to téż trzeba geniuszu. Pisarz - artysta nieograniczony tak ścisłemi warunkami sztuki, niech tylko dobrze rozporządzi to na co się historya, poezya i dowcip złożyły, niech rozsądkiem i dobrym gustem złączy w opowiadaniu fakta stanowiące treść i rozwiązujące założenie akcyi, a dzieło jego wykonane będzie według warunków sztuki. Co do téj części obrobienia niektóre powieści dosyć szczęśliwie wykończone zostały. Tragiczny koniec Xiążąt na Mazowszu i osób zbliżonych do nich jest wzorowy i rozwiązanie pod każdym szczegółem dokładne i mistrzowskie; te same warunki źle dopełnione widzę w powieści Trzy Sieroty, co tym mniéj dowodzi artyzmu, że przeniesienie akcyi do Francyi już poprzednio niekorzystnie uprzedza czytelnika. Mniéj téż szczęśliwe rozwiązanie widzę w powieści Zofija Ololkowiczówna; dla takiego wrażenia nie warto było kréślić trzy tomy akcyi niektórych po mistrzowsku oddanych jak *np.* Zdarzenie na balu opisane w Tomie II.

Zapatrując się na powieść ze stanowiska sztuki, miałem na celu poddać ją pod warunki

jakim ona ulega, i ocenić pod tym względem kilka nowszych utworów przynajmniéj co do niektórych szczegółów. Dotąd nieupatrywano w powieści téj strony postaciowéj, która ją zbliża do form wszelkiego obrazowania: może to dostrzeżenie w zastosowaniu podać nowe sposobności do udoskonalenia misterstwa w powieści historycznéj.

J. A. Czajkowski.

HISTORYA

O KARTCE WELINOWEGO PAPIERU.

I.

JAKO ZAPALAJĄC FAJKĘ ZNALAZŁEM PRZEDMIOT DO POWIEŚCI.

Siedziałem wieczorem sam, zadumany grzejąc się przed piecem, i rozmyślając nad nową powieścią, któréj właśnie plan układałem: chciałem koniecznie utworzyć coś romantycznego, coś nadzwyczajnego, coś zabijającego, coś z nowéj szkoły. Ale co? Już tyle przedmiotów wyczerpano. Tyle mamy powieści tak dowcipnie napisanych o ludziach, psach, djabłach, żół-

wiach, aniołach, a nawet niedawno wyszły z pod prassy Bruxelskiej romans stołów, krzeseł, i kanapy. Trudno w tym nawale rzeczy nowych coś zupełnie nowego napisać, zwłaszcza że teraz nielada co zadowolni czytelników zepsutych pięknościami literatury francuzkiéj, która u nas ze szkodą naszéj w tak wielkim jest poszanowaniu. A pisać na to żeby moja powieść nie przetrwała dłużéj jak te tysiące tegoczesnych dzienników, których prospekt tyle obiecuje, a które najwięcéj trzy miesiące życia swojego literackiego liczyć mogą lepiéj się w cale niebrać do pióra.

Siedziałem więc i myślałem. Napisać romans? Czy jak pan Bernard wyświecić tryumf męża nad kochankiem, czy jak pan Balzak kochanka nad mężem, czyli też jak pan Paul de Cocq i jednego i drugiego w śmieszność obrócić, (Nie mówię tu o polskich pisarzach bo jak już wspomniałem nie są u nas teraz w modzie) a w każdym razie zarzuconoby mi, że którego z tych panów powtarzam. Napisać starą gawędę? że nasi przodkowie pili i bili się, bili się i pili, w tém dla czytelników nic zajmującego, zwłaszcza że pan Wojcicki i tylu jego naśladowców postarali się żeby nam na gawędach nie zabrakło. Szkic fantastyczny? Jak mówiłem niepodobna w tym rodzaju nic nowego

wynaleźdź, a o poezyi ani myśleć bo nikt jéj czytać nie chce. Byłem więc w wielkich kłopotach i biedziłem się sam z sobą.

Wezmę fajkę i zapalę, może to mi doda myśli; kiedy dym idzie w górę a oko go śledzi w jego fantastycznych skrętach, roją się po głowie myśli nowe i dziwne. Może też jak pan D* zobaczę w dymku od fajki jakieś duchy, djabłów, przyjaciela, i kochankę i to mi nastręczy przedmiot do powieści.

Fajka już nałożona, trzeba tylko zapalić; zacząłem szukać między papierami leżącemi w nieładzie na mojém biórku niepotrzebnéj ćwiartki do zapalenia fajki. Uderzył mnie w oczy mały, pomięty, welinowy, bilecik.

Wziąłem go żeby przeczytać: było tam kilka wierszy nieortograficznie nabazgranych.

Bilecik bardzo przystojnéj dziewczyny, która mię swojemi łaskami obdarzać raczyła: może bezpiecznie służyć za zapałkę do fajki.

Wziąłem go więc i zbliżyłem do ognia.

W tém, nie wiem czy skutkiem złudzenia zmysłów, czy téż że moja wyobraźnia urzeczywistniła sobie wszystkie nadzwyczajności z *contes Bruns*. Balzaka, o których właśnie rozmyślałem jako o wzorze powieści nowéj szkoły, zdało mi się że słyszę głos z tego papierku wychodzący.

Zadziwiło mnie to, słucham:

Głos piskliwy ale wyraźny w te się do mnie odezwał słowa:

— Czego mnie palisz? Możesz mieć ze mnie lepszą korzyść słuchając co ci opowiem, bo to może ci nastręczyć przedmiot do nie jednéj powieści.

Któż ty jesteś? zawołałem.

— Kto? ten papier co trzymasz w ręku. Czyż dla tego że nie jestem człowiekiem ani istotą żyjącą podług ciebie, nie mam mieć daru mówienia, słyszenia, rozumowania? A przecież kamienie same wstawały na głos Amfiona lutni a posąg Mnemnona wydawał dźwięczną muzykę gdy go oświetlił promień wschodzącéj jutrzenki. Wierzaj mi, dawno już istnieję na świecie i znajdowałem się w ręku wielu osób, mogę ci wiele o nich napowiadać.

Osłupiałem na te słowa, i istotnie było czego; zacząłem wierzyć w jasnowidzące i we wszystkie cudowne wynalazki jakie nam gazety ogłaszają.

— Słuchaj, dodał głos, a nie będziesz tego żałował; opowiem ci część mojego istnienia, utworzysz z tego co będziesz chciał i mógł."

Mów więc rzekłem, albo śpię, albo nie jestem przy zdrowych zmysłach, w każdym razie zobaczmy jaki to będzie miało koniec.

Poprawiłem ognia, zagłębiłem się w fotelu i słuchałem.

III.

JAKO PEWNA PANI KUPIŁA SZTUKĘ BIAŁEGO ATŁASU I DO CZEGO?

— Wiele musiałem zmian przebyć, zanim zostałem kawałkiem pomiętego papieru, bez żadnéj wartości, jakim mnie teraz widzisz. I ja miałem także moje świetne czasy. Byłem kiedyś sztuką białego atłasu w sklepie jednego z najmodniejszych kupców Warszawskich. Pamiętam jak leżałem na świetnie wypolerowanéj półce, z jakim poszanowaniem kupczyki odwijali i zawijali mnie w piękny szafirowy papier ze złoconemi herbami fabrykanta, z jaką usilnością strzeżono żeby moja śnieżna białość najmniéjszéj skazy nie doznała. Mój pan mieszkał na jednéj z celniejszych ulic Warszawskich, sklep miał obszerny, subiektów zdatnych, kupujących niemało. Był to człowiek porządny i punktualny w najmniejszéj rzeczy, żądał żeby wszystko szło u niego jak zegarek; jeżeli trafiło się że subiekci otworzyli sklep minutę późniéj jak w oznaczonéj godzinie, już w gniew wpadł i przysięgał, że wszystkich wypędzi

chociaż z resztą był to najspokojniejszy człowiek w świecie. Mówiono w prawdzie o nim (bo komuż złośliwe języki łatki nie przypną) że nie bardzo dawno nabył prawa mieszkania na tak celnéj ulicy, a subiekci jak czasem bardzo na nich nakrzyczał grozili, że jeżeli zechcą się poskarżyć, to on pomimo zmienionego ubioru, pójdzie nazad handlować między sobie podobnemi, skąd przybył. Ale ponieważ jak mówiłem, oprócz téj wady względem punktualności, był zresztą spokojnym i łagodnym, w krótce godzili się z sobą.

Miał on drugi sklep na innéj ulicy, gdzie większą część dnia przebywał, a w tym zastępował go pierwszy kupczyk wypachnidlony *dandy* Warszawski, zawsze z cygarem w ustach, w rajtroku zielonym ze świecącemi guzikami, modnie wyfryzowany. Zwyczajnie stał w drzwiach sklepu by rzucać z tamtąd sentymentalne spojrzenia na przechodzące piękności i rozmawiać z przyjaciołmi o nowych konkietach, przejazdkach, i t. d. Jeżeli trafiło się przyjechała powozem jaka piękna dama, nasz dandy sam poskoczył za kantor, rozwijał towary i przedstawiał, przeplatając to wszystko francuzkim językiem, żeby okazać swoją znajomość *des bonnes manieres*.

Jeżeli przeciwnie przyszedł kupować towary jakiś męszczyzna, kobieta stara, lub niepiękna zostawiał te staranie innym kupczykom, których miał trzech pod swój zarząd oddanych.

Pewnego dnia, było to w zimie, w samym właśnie karnawale, pana samego niebyło w sklepie, pan Z* pierwszy subiekt stał w drzwiach w modnym jasnym paletocie, w ustach trzymał cygaro, lorynetując na piękną twarzyczkę co się na rogu ulicy ukazała, kiedy się pojazd jakiś zatrzymał przed sklepem.

Wysiadła z niego młoda ładna i modnie ustrojona osoba, i weszła do sklepu. Bieliły się w pojeździe różne pudełeczka, zawiniątka, snadź jeździła po sprawunkach.

— Panie kupcze, odezwała się do starszego subiekta, chciałabym białego atłasu na ślubną suknię, tylko mocnego i w dobrym gatunku.

— Mam właśnie taki jakiego pani żądasz, rzekł pan Z* i spiesznie odwinął kilka pak z atłasem; Niech się pani przyjrzy temu wskazywał na mnie, wszakże przypadnie pani do gustu.

Po zwyczajnych przebieraniach, porozwijaniu kilkunastu sztuk atłasu, z których żaden jéj dogodzić nie mógł: to za siny, a to za płowy, a to za gruby, a to za cienki, zgodzono się nareszcie na mnie.

Pan Z* odciął ile potrzeba, zgrabnie zawinął w papier, i oddał lokajowi, który mnie z innemi rzeczami do pojazdu zapakował.

Jeździliśmy jeszcze kilka godzin za wstążkami, trzewikami i t. p. wstępując po kilka razy do tychże samych sklepów, bo moja nowa pani jak wszystkie kobiety była bardzo trudna w wyborze. Nareszcie stanęliśmy przed jedną z najpierwszych modniarek Warszawskich; pani moja wysiadła, a lokaj wyniósł mnie za nią.

Marchande de modes, była to kobieta młoda, ładna, ubrana podług najświeższéj mody, mogąca sama służyć za wzór do żurnalu, siedziała w salonie pięknie wywoskowanym, a otoczonym dokoła lustrami i szafami, w których były kapelusze, suknie, czepki, i t. p.

Moja pani po pierwszém przywitaniu się, nie mówiąc nawet co ją sprowadza, pobiegła do szafy, w któréj ujrzała nową formę kapelusza jeszcze sobie nieznaną, kazała otworzyć, zaczęła oglądać, przymierzać, poprawiać; potém drugi, potém trzeci, aż nareszcie przypomniała sobie, że nie dla samego tylko przymierzania przyjechała do magazynu.

Wzięła mnie więc z rąk lokaja i oddała modniarce, z poleceniem aby wygotowała czemprędzéj ślubną suknię, tylko elegancko, i w dobrym guście. Po wzięciu miary przesiedziała

jeszcze dobre półgodziny na oglądaniu i przymierzaniu różnych strojów, nareszcie wyszła zostawiając mnie w ręku *Marchande de Modes*.

Zostałem więc oddany do Magazynu gdzie miano mnie krajać, przecinać, miętosić na różne sposoby żeby utworzyć suknię *a la derniere mode*.

III.

MAGAZYN MÓD W WARSZAWIE.

— Panno Kasyldo podaj mi z łaski swojéj jedwabiu czarnego, który przy tobie leży.

— Kiedy panna Leontyna tak mi go zawsze zaplącze, że potém do ładu z nim trafić nie mogę, a mam pilną robotę.

— Ot byś panna nie gadała, co mi za pilna robota? przyfastrzygować mantylkę! ja to, ja mam wygotować suknię dla téj pani ze wsi co dziś w wieczór wyjeżdża a koniecznie chce się pokazać modnie, warszawsko ubrana na balu w Płocku.

— A to te parafianki to najwięcéj grymaśne, chociaż trzeba im oddać sprawiedliwość, dobrze płacą: można narachować co się podoba. A panna Aniela, czy prędko skończy żałobny kapelusz dla téj pani co to jéj mąż umarł.

— Pięknie go żałuje! jeszcze kontenta, że żałobę przywdziać może, bo jéj w czarnym najlepiéj do twarzy.

— Darmo moja kochana, kokietka zawsze będzie kokietką. Panno Teodoro! wzięłaś panna nożyczki i nie oddajesz a mamy tylko troje na cały magazyn.

— O już to wielki porządek: na tyle panien troje nożyczek. Żebym ja taki magazyn trzymała zobaczyłybyście jakby u mnie szło porządnie.

— Gadaj sobie, gadaj, ale nie będziesz nigdy w tym przypadku, bo chociaż mówisz, że cię pan Gustaw bardzo kocha, jednak ci magazynu nie kupi.

— Moja kochana, to tylko zazdrość przez ciebie mówi, bo wiemy dobrze, że gdybyś mogła tobyś mnie w szklance wody utopiła, za to że on mnie kocha.

— A kochajcie się moja panno Anastazyo! ja wam nie myślę wcale przeszkadzać.

— Żebyście wiedziały, byłam wczoraj w teatrze; mój Alfons zaprowadził mnie na galeryą. Jaka też to ładna sztuka Cecylia czyli Dandy rozkochany, a jaka moralna! Wystawcie sobie, panna służąca w któréj się Lord Angielski zakochał, a potém się znią żeni.

— To pewno tylko w Anglii takie rzeczy dziać się muszą, bo nasi pankowie, oho! zwieść tylko dziewczynę, a potém...

— Dzięki Bogu już skończyłam tę ślubną suknię dla panny L. A to utrapienie boskie, piąty raz już przerabiam, a nigdy dogodzić jéj nie mogę.

— Czegóż chcesz moja kochana? każda panna co idzie za mąż ma tak zawróconą głowę; chociaż jak mówią panna L. nie idzie za mąż z miłości.

— Wierzę bardzo, pan D. stary i brzydki, ale ma ważny artykuł co go upięknia i odmładnia w oczach wielu osób — ma pieniążki.

— A rodzice panny L. chociaż pyszni ze szlachetnego rodu, jednak jak słychać w długach po uszy.

— Ja nic dobrego nie rokuję z tego małżeństwa, oto... Ale patrzcie panny, Andzia się uśmiecha; jak widzę znowu ten młody student zagląda przez firankę.

— Co się panna Ludwika wtrąca w nie swoje rzeczy, ja nierozpowiadam każdemu kto to na pannę czeka na rogu ulicy, kiedy panna wychodzisz z magazynu.

— Cicho, rzekła panna starsza; pani idzie.

Otworzyły się drzwi: weszła panna L. a za nią pani Magazynu.

— Biała suknia ślubna dla panny L. czy już gotowa?

— Już i panna Teodora wstała z krzesła i zbliżyła się trzymając mnie w ręku.

Tym razem przynajmniéj panna L. nic już nie znalazła do zarzucenia, zapłaciła Magazynierce, i pojechała do domu wziąwszy mnie z sobą.

IV.

CO SIĘ DZIAŁO NA WESELU.

Już po ślubie, wracają z kościoła.

Panna młoda z oczyma zapłakanemi: czułam częste wzdymanie się piersi, i nawet powstała plamka od łzy, która podczas wymawiania przysięgi małżeńskiéj z jéj oka na mnie spadła.

Pan młody czerwony i sapiący, wyrygowany w stanie, że ani ruszyć się nie może, szyja przybrana w wysoki biały halsztuk, który mu głowy schylić nie dozwala, z dwoma sterczącemi dobrze wykrochmalonemi kołnierzykami, z ogromną kokardą i bukietem zakrywającym prawie pół piersi; z resztą w bardzo dobrym humorze i kontent sam z siebie.

Za nim rój drużb, druchen, krewnych, przyjaciół, i cała weselna czereda powysiadała z karet, pojazdów i dorożek.

Wesele było huczne; wesele w dawnym rodzaju.

Mówię w dawnem rodzaju, bo teraz w modnym towarzystwie jeżeli ma bydź ślub, to w wielkiéj chowają tajemnicy, żeby się przypadkiem kto nie dowiedział w którym kościele, a najczęściéj wieczorem przy świetle, czasem zaś i za miasto wyjeżdżają.

Na weselu tylko świadkowie i najbliższe rodzeństwo, bo więcéj osób prosić nieprzystojnie: tłumaczą sobie bowiem, że nie wypada rodzicom cieszyć się z tego, że się od nich córka oddala.

Tylko jeszcze w stanach niższych, gdzie więcéj dochowano przodków obyczaju, gdzie nie idą za popędem mody ale serca, uważają ślub i wesele jako najważniejsze akta w życiu i starają się uświetnić je ile możności.

Wtedy występują na plac kawa z babą, indyk pieczony, tańce, i dawna piosnka o chmielu z improwizowanemi waryacyami, a nawet czasem jeżeli możność dozwala i wino.

* *
*

— Ale przerwałem moja karteczko, dziwno mi skąd mogłaś nabrać wiadomości o tém, będąc, jak sama mówisz, tylko w posiadaniu osób wyższego stanu.

— Alboż ci nie mówiłam od razu, odpowiedział głos, że znajdowałam się w ręku różnych osób. Przecież to opowiadanie nie cały mój byt na świecie, ale tylko cząstkę z niego poznać ci daje, słuchaj więc cierpliwie, nie dziw się, jeżeli czasem wtrącę się w jakie rozumowanie lub zdanie o ludziach; wszystko to bowiem mówię z doświadczenia.

W wyższém więc towarzystwie wesele należy do rzędu starych i śmiesznych podań, i chyba czasem jak Fenix, okaże się zdziwionemu oku cenzorów wielkiego świata.

Takie było wesele panny L*

Panna lubiła zabawy, kawaler chciał to, co panna, rzekła więc, że musi być wesele tańcujące i stało się na jéj słowie.

Opowiadać co się działo przy uczcie weselnéj, jakie toasty wierszem spełniano, jak drużbowie żarcikami pana młodego prześladowali, jak panna młoda rumieniła się za każdym słowem, jak pan młody pomimo zwyczajnego obżarstwa jadł mało i pił nie wiele, jest niepotrzebnem; dosyć tylko wiedzieć, że tak się działo, jak się zwykle dzieje, kiedy panna młoda i przystojna idzie za męszczyznę starego, brzydkiego a bogatego.

Po uczcie zaczęły się tańce.

Tu jedna mi się nastręcza uwaga.

Dwie są klassy młodzieży tańcującéj w dziewiętnastym wieku. Albo studenci i młodzieńcy, którzy jeszcze dwudziestu lat nie liczą, a mają pretensyę do dorosłości, i ci tańczą z zamiłowaniem.

Albo weterani stanu kawalerskiego, liczący od trzydziestu pięciu do czterdziestu latek, i ci tańczą dla odmłodnienia.

Młodzież od lat dwudziestu do trzydziestu nie tańczy wcale. Albo grają w wista, albo prowadzą konwersacyę z damami, albo lorynetują szyderczo tańczących, a to z powodu że już są *blasés sur les blairs du monde*; taniec ich niebawi, teatr znudza, a muzyka usypia.

Widać, że musieli używać wszystkich tych przyjemności nim do szkół chodzić zaczęli.

W tańcu najwięcéj ja ucierpiałam.

Było bowiem bardzo wielu z tańczących (a szczególniéj tych, których w mojém rozgatunkowaniu pod pierwszą umieściłam klassą, ktorzy jeszcze nie bardzo w taniec wprawni, często na suknie dam następowali, które teraz jak na nieszczęście tak długie noszą. Dla tego u dołu zupełnie obdartą zostałam.

Jeden tylko wypadek pomnę z owego dnia pamiętnego; kiedy moja pani tańczyła ze swoim kuzynem młodym brunetem, wyświeżonym, do dwudziestu pięciu lat liczącym, który dla

tego tylko tańczył, aby miał przyjemność moją panią w pierwszą parę mazura poprowadzić, uczułam, jak mi w rękaw wsuwano mały, cienki welinowy bilecik.

Co się działo po rozjechaniu się gości niewiem, bo mnie po rozebraniu pani, młodsza zamknęła dobrze w szafie; wiedziałam tylko, że pani kiedy ją rozbierano ukryła bilecik w ręku. Musiał snadź kuzyn listownie winszować jéj zawartego małżeństwa...

V.

POŻYCIE DWOJGA NIEDOBRANYCH MAŁŻONKÓW.

Kilka tygodni przeszło po weselu.

Między dwoma małżonkami trwała jeszcze zgoda, chociaż różnica ich charakterów i sposobu myślenia była widoczna.

Małżonka powierzchowność miałam już sposobność opisać. Pod względem wewnętrznym był to człowiek z małemi zdolnościami, i słabym rozumem. Pojął on szczęście ludzkie materyalnie, i zasadzał je na dobrem jedzeniu i piciu, szczęśliwy jeżeli po smacznym obiedzie miał swoją partyę do wista, i wcześnie mógł się spać położyć.

Miał on oprócz tego jeden zwyczaj, zabytek kawalerskich czasów, a któremu żona z całą siłą

wymowy małżeńskiéj sprzeciwiała się. Było to nieumiarkowane używanie tytóniu. Zawsze z fajką albo z cygarem w ustach, pomimo nalegań żony, która utrzymywała, że dym czerni firanki i kaszlu ją nabawia. Nareszcie stanęło na tém, że będzie miał osobny pokój, gdzie będzie mógł dymić dowoli.

Żona była jak powiedziałam młoda i piękna. Z bystrym pojęciem i rozumem, które to przymioty bardziéj jeszcze w niéj rozwinęło wyszukane wychowanie, czuła swoją wyższość nad mężem i umiała z niéj korzystać, będąc trochę kokietką (któraż młoda i piękna kobieta nią nie jest) lubiła zabawy, bale i teatra, gdzie jéj wdzięki mogły się w całym swoim blasku okazać. I to było źródłem częstych jéj z mężem sprzeczek, on bowiem jak człowiek w wieku lubił domową spokojność.

Ale wszystkie te wady i przymioty młodych małżonków późniéj dopiero odkryć się dały: dotąd trwała święta zgoda, oprócz kilku lekkich sprzeczek z powodu fajki, załagodzonych wkrótce jakiem już o tém wspomniała.

Kuzynek Ernest młody ten brunet, o którym już mówiłam, bardzo częste wizyty oddawał naszemu małżeństwu; przyjmowany był mile od żony, a uprzejmie od męża, któremu zawsze

był gotów służyć w partyi do wista, i często na śniadanie do Marego zapraszał.

Muszę teraz słów kilka o moim losie powiedzieć.

Nie zachowano mnie na pamiątkę, jak to w wielu domach bywa, ale ponieważ to był karnawał, ja byłam podług ostatniéj mody zrobiona, a moja pani lubiła się stroić i było jéj we mnie do twarzy, wystąpiłam więc kilka razy na różnych balach.

To było powodem, że utraciłam trochę mojéj pierwszéj świeżości i na przyszły rok byłam już prawie niezdatną do ubrania.

Pokryto mnie więc z wierzchu gazą, przystrojono wstążkami; i mogłam być jeszcze używaną na mniéj świetne wieczory.

Tymczasem przez ten rok odmieniło się także pożycie dwojga małżonków.

Moja pani ciągle lubiła zabawy i chciała bywać na wszystkich balach i koncertach; mąż zaś któremu zbyteczny ogrom ciała i zaczynająca już dawać się we znaki podagra, nie dozwalały znajdować przyjemności w tych hucznych zabawach, wolał siedzieć w domu; ztąd częste sprzeczki i niezgody domowe.

Żeby dać wyobrażenie jakie było naówczas położenie względem siebie dwojga małżonków, dosyć jest przytoczyć jedną z ich sprzeczek,

wydarzoną w rok właśnie po weselu, w czasie karnawału, któréj to sprzeczki ja byłam świadkiem.

Moja pani proszona była do Hrabiny P. na wieczór muzykalny i tańcujący.

Właśnie co się zaczęła ubierać.

Wisiałam na krześle przygotowana do ubrania, wyświeżona i odprasowana; na toalecie porozrzucanych mnóstwo klejnotów, pomad, pachnideł.

Pani siedziała przed lustrem przymierzając czepeczek to na prawo, to na lewo, to rzucała go z gniewem, to brała znów drugi, pytając się ciągle stojącéj za nią garderobiany czy jéj tak do twarzy.

Wszedł mąż z cygarem w ręku.

— A pfe! ofuknęła pani, znowu tu przychodzisz zadymić, a to nie do zniesienia; ehe, ehe już czuję, że mam chrypkę, nie będę mogła dać się usłyszéć u pani P. z moją nową aryą.

— Bo też zdaje mi się moja kochanko, rzekł mąż powolnym i pokornym tonem, że wypadałoby lepiéj zostać w domu, niż jeździć bóg wie gdzie po wieczorach, kiedy mąż chory, i nie wyjeżdża.

— Więc uparłeś się aby udawać chorego, dla przeszkodzenia mi zabawić się na tym wieczorze gdzie będzie co najświetniejszego z War-

szawy. — Marysiu, popraw tę kokardę z tyłu bo źle leży.

— Moja kochana, sama wiesz dobrze że nie udaję, a doktór kazał...

— Co tam doktór! kontent że weźmie pieniądze, to też dla tego wmawia w ciebie słabość. — Dlaczego ta langietka nieodprasowana? — Kiedy niechcesz to sobie zostań, a ja pojadę z ciotką, Ernest nam będzie za kawalera służył. — Marysiu daj mi stroik z niebieskim, bo w żółtym mi nie do twarzy.

— Ale moja kochana...

— Nie ma tu mojéj kochanéj, ty chcesz postawić na swojém, to i ja mojego dokazać muszę. — Trzeba odświeżyć tę wstążkę, bo pognieciona. — Pojadę, i nikt mnie od tego nie odwiedzie.

Mąż westchnął i powoli odszedł do swego pokoju.

VI.

JAKIE NIEDOGODNOŚCI ZA SOBĄ POCIĄGNĄĆ MOŻE BIAŁA PODSZEWKA U CZARNEGO BURNUSA.

Upłynęły dwa lata po ślubie.

Dwa lata ważna epoka w życiu człowieka, dwa lata wiele odmian zdziałać mogą.

I moje położenie znacznie się pogorszyło.

Nie byłam już ową świetną, modną, okazałą suknią balową, przystrojoną wstążkami i koronką, w któréj moja pani tyle namiętności wzbudziła.

Byłam już tylko skromną podszewką od czarnego Burnusa.

Jednakowoż chociaż to moje położenie nie było tak świetne, mogłam jeszcze nieraz zaszczytnie okazywać się na przechadzkach i w teatrze.

Piękny to jest wynalazek dla kobiety Burnus. Zajmuje miejsce salopy i stroi zarazem, ochrania od zimna a nie cięży, a wiele to razy może posłużyć do utrzymania *incognito*.

Snadź, że dama co szła miodową ulicą późnym już wieczorem, nie zważając na deszcz co lekk o kropić zaczynał, owinięta w Burnus czarny w czarnym kapeluszu z zasłoną, w tym zapewne celu oddaliła się z domu; bo szła śpiesznie i ekko, a oglądała się często po za siebie.

O sześćdziesiąt może kroków za nią, drugą stroną ulicy, szedł mężczyzna, owinięty w szeroki płaszcz szaraczkowy, z czapką nasuniętą na oczy, śledząc wszystkie jéj poruszenia.

Stanąwszy na rogu Miodowéj i Senatorskiéj obejrzała się czy kto za nią nie idzie, mężczyzna cofnął się za filar Dyzmańskich pałacu, i śledził.

a widząc że wchodzi w Kozią uliczkę udał się za nią.

Dama w burnusie zapukała do drzwi jednego z tych domów, co służą za komunikacyę między Kozią a Krakowskiém przedmieściem.

Drzwi otworzyły się, dama weszła.

Nie uważała że przy wejściu burnus się odwinął i zaświeciła spodem biała podszewka.

Nie słyszała jak idący na nią mężczyzna przyśpieszył kroku i z jakim wyrazem zemsty i nienawiści wyrzekł przytłumionym głosem „to ona!”

Na pierwszym piętrze w tym domu mieszkał kuzyn Ernest.

Dama w Burnusie, była to moja pani, dawna panna L.

Mężczyzna w szaraczkowym płaszczu był jéj mężem.

VIII.

SIC TRANSIT GLORIA MUNDI.

Z bagatelnych przyczyn ważne wypływają skutki.

Gdyby nie była mnie moja Pani na ślubną suknię wybrała, nie miałaby później białej podszewki pod czarny burnus, nie byłby jéj

mąż poznał na Koziéj ulicy przy wejściu do mieszkania kuzyna Ernesta, nie byłoby małżeńskiéj kłótni, a nakoniec głośnéj sprawy o rozwód, którą wieść stugębna a żądna skandalu po całéj Warszawie rozniosła.

Po wypadku na Koziéj ulicy, czarny burnus stał się pani tak nieznośnym, że darowała go młodszéj; ta odpruła białą podszewkę i dorobiła z niéj sobie stanik od sukni balowéj; tak zmieniając coraz postać, doszłam nareszcie do takiego poniżenia, że mnie zbrukaną i obdartą znalazłszy gałganiarka na kupie śmieci, zaniosła do papierni, i sprzedała wraz z innemi za kilka groszy.

* *
*

Obudziłem się w mahoniowéj szafce, zamknięty, pod pięknym szkłem kryształowym, na różne rzniętym desenie.

Byłem welinowém papierem, z widokiem Bielan u góry, z liściami złoconemi po brzegach, papierem atłasowym i pachnącym.

Odrodziłem się jak Fenix z własnych popiołów, ale piękniéjszy i świetniéjszy jeszcze niż dawniéj, w modnym sklepie litografii i materyałów piśmiennych.

Nie będę opisywał kupczyków i życia sklepowego, gdyż miałem sposobność rozszerzyć

się nad tém na początku mojego opowiadania, a u wszystkich znaczniejszych kupców Warszawskich obyczaje sklepowe są jednakie.

Dość wiedzieć, że bardzo mi było dobrze w mojém nowem położeniu, gdyż w tym sklepie bywało wielu kupujących, mogłem się więc różnym twarzom napatrzyć i rozmaite czynić spostrzeżenia.

Nie bardzo mnie więc ucieszyło, gdy pewnego razu, lokaj jakiś galonowany, wybierając dla swojego pana różne papiery i koperty do listów, i mnie także zabrał z drugiemi, zapakowano mnie więc, i zostałem przeniesiony do nowego mojego pomieszkania.

Tam umieszczony na modnym stoliku do pisania, w wytwornym kawalerskim pokoju, pomiędzy różnego rodzaju pieczątkami, sztambuchami, pugilaresami, piórami żelaznemi, miałem czekać na dalsze moje przeznaczenie.

 * * *

— Więc pani D. rzekł pan Ernest (w jego to bowiem posiadanie nie wiedząc o tem dostałem się) do jakiegoś jegomości w czarnym fraku, z małemi lecz bystremi oczami latającemi jak wiewiórki na wszystkie strony, na którego axamitnéj kamizelce jak w sklepie u jubilera lśniły

porozwieszane różnéj roboty łańcuszki od zegarka i lornetki. — Więc pani D. uzyskawszy rozwód, sądzi że się z nią ożenię.

— W istocie odezwał się ów Jegomość, który był mecenasem i bronił był w Sądzie Najwyższéj Instancyi panią D. w sprawie którą jéj mąż o rozwód wytoczył: jest to jedyna Jéj nadzieja; sądzi bowiem, że po tylu poświęceniach, po rozłączeniu się z mężem, po utracie szacunku u świata, a nawet miłości rodziców, którzy się jéj wyrzekli, należy się jéj od pana zadosyć uczynienie, i jeżeli nie z miłości, któréj już może pan dla niéj nie czujesz, to przez wzgląd na jéj nieszczęście, i dla utrzymania reputacyi honoru, jaką pan sobie u świata zjednałeś, ślub...

— Dobrze panie, pomyślę o tém, przerwał Ernest gładząc wąsy, i grzecznęm ukłonem pozbył się napominacza.

Sam zostawszy, nasz dandy, wziął pióro, mnie, napisał mały bilecik, przysypał pięknym złotym piaskiem, zawinął w elegancką kopertę, a zawoławszy lokaja, kazał pod adres pani D. zanieść.

Bilecik zawierał co następuje.

Moja kochana!

Był czas, czas szczęścia dla mnie i dla ciebie, w którym kochaliśmy się nawzajem, i są-

dziliśmy że ta miłość wiecznie trwać będzie. Teraz wszystko się zmieniło. I sama pomyśl moja kochana, jak ja mogę żenić się z kobietą bez żadnéj reputacyi, ani szacunku u świata. Utraciłaś go dla mnie powiesz; ale któż mi zaręczy, że poszedłszy za mnie, nie zwiedziesz mnie dla kogo innego, tak jakieś twego męża dla mnie zwiodła. Wolę nie przebywać tak smutnego doświadczenia. Zważ więc sama moja kochana, że małżeństwo między nami jest niepodobném, a jeżeli chcesz posłuchać przyjacielskiéj rady, udaj się do pana G. który jedzie do Włoch, i ciebie chce z sobą zabrać. Bądź zdrowa.

Ernest.

P. S. W każdym razie, przyjmij 1,000 złp. załączonych do tego listu biletami bankowemi, bo to może ci się stać potrzebne.

VIII.

ZAKOŃCZENIE.

Opowiadać ci co się potém ze mną stało, gdy mnie pani D. po przeczytaniu z gniewem rzuciła o ziemię, jest nadaremném. Dosyć ci wiedzieć że młodsza pani D. ładna a piśmienna dziewczyna, podniosłszy mnie, a widząc że je-

szcze jedna kartka jest zupełnie czystą, wyrznęła ją dla użycia w razie potrzeby, resztę zaś użyła na papiloty.

Pani D. nie poszła za radą kuzyna, ale wkrótce zapoznawszy się z Hrabią O. pojechała z nim do Niemiec, wróciwszy stamtąd została celem miłości jakiegoś porucznika, a potém...

* * *

— A pan się w nocy widać nie kładł, odezwał się gruby głos, który mnie nagle z twardego snu obudził.

Był to mój Antoni co przyszedłszy sprzątać z rana, zastał mnie śpiącego na krześle przed piecem otwartym, w którym już oddawna zupełnie wygasło, z fajką nałożoną w jednym ręku i papierem do zapalania w drugim.

Wstałem przecierając oczy, a widząc że dzień już biały, przypomniałem sobie jako chcącego zapalić fajkę musiał mnie sen zmorzyć, a pod wrażeniem *contes bruns* Balzaka tak dziwne rzeczy mi się marzyły.

Bo w istocie gdzie teraz znaleźdź żony tak niewierne, kochanków tak zdradliwych, a szczególniéj papiery gadające? Chyba tylko w romansach.

Wacław Szymanowski.

ROZMAITOŚCI.

O Paganinim przez Liszt'a.

Pan *Liszt* tyle znany w świecie artystycznym, zajmuje niepospolite miejsce i w literaturze: oto jego artykuł o *Paganinim* w języku francuzkim dla Paryzkiéj *Gasete Musical* napisany, który udzielił niedawno po niemiecku będąc w Berlinie Magazynowi literatury zagranicznéj.

„*Paganini* opuścił ten świat. W nim zgasł jeden z owych żywotnych duchów, w odwoływaniu których natura zdaje się pośpieszać. Z nim zniknął fenomen, jedyny w sferze sztuki.

Jego jeniusz, który nie znał ani mistrza ani sobie równego, był tak wielki, że niemógł na-

wet mieć naśladowców; w ślad jego zawodu nikt nie wstąpi; z jego sławą żadna inna niełączy się sława; jego imie należy do tych, co same są wymieniane. Blask bez cienia jego sławy, pierwszeństwo bez ograniczenia, które mu głos publiczny za życia przyznał, nadzwyczajny przedział, jaki opinia publiczna uznała między nim i temi, co w jego ślady iść się odważyli, są rzeczy, które bez wątpienia w podobnym stopniu nigdy się nie zdarzyły w zawodzie (*destinée*) jakiego artysty.

Gdy Paganini lat 40 mając z swego ustronia wystąpił z talentem który najwyższy stopień doskonałości osiągnął, uważano jego zjawienie się w pewnym względzie za naturalne. Tak żywe wzniecił podziwienie, opanował wyobraźnią w tak wysokim stopniu, że ta nie mogła przy rzeczywistości pozostać. Dał przez to powód do wznowienia się bajeczek, czarodziejstwa i czarnoksięztwa średnich wieków. Przenoszono cuda jego sztuki do zdarzeń jago życia. Chciano niepodobny do wytłómaczenia jeniusz wytłómaczyć w czynach, które jeszcze niepodobniejszemi były; mało brakowało, że nieuwierzono, iż duszę swoją złemu duchowi zaprzedał, lub przynajmniéj, że żonę swoją udusił i z jednéj z jéj żył, zrobił czwartą strunę, na któréj swe czarujące wygrywał melodye.

Przebiegał Europę, zachwycał, porywał, unosił tłumy, które mu złoto do nóg rzucały, i jego imię jako najpiękniejszą nagrodę udzielano mistrzom, którzy się na innych odznaczali instrumentach. Ujrzano Paganinich na fortepianie, Paganinich na wiolonczeli, na gitarze i t. p. Skrzypkowie natężali swe usiłowania w wykryciu jego tajemnic, uczyli się w pocie czoła trudności, które on grając stwarzał; ale publiczność politowaniem okrywała ich usilności i nie raczyła ich zaszczycać nawet wspominaniem ich nieudolności. Jak rzadkie szczęście! Duma Paganiniego, jeżeli miał dumę, mogła aż do ostatniéj godziny w niepodobnéj wysokości oddychać. Nie był niesprawiedliwością dotykany, nie był obojętnością niopokojony; wstąpił do grobu, nie ujrzawszy nawet w dali przykrego cienia spadkobiercy sławy.

Czybyśmy uwierzyli, gdybyśmy nie byli tego świadkami? Ten mistrz, w tryumfie noszony, wywyższany, ubóstwiany, ten talent, któremu lud tak hojnie dawał to, co największym mężom nie raz odmawiał: bogactwo i sławę; ten człowiek, który taki zapał wywołał, — chodził pośród tłumu z nim się nie mieszając, nikt nie znał wzburzeń, które wzruszyły jego serce; jego życie nie rzuciło żadnego promienia na życie innych, z innemi ludźmi nie miał

żadnéj wspólności myśli lub uczuć, zdawał się być obcym wszelkiéj sympatii, obcym dla wszelkiéj namiętności, zdawał się nawet być obcym dla własnego jeniuszu, bo jeniusz jest władzą objawiającą duszy ludzkiéj Boga, a Paganini nie miał nigdy innego bóstwa, prócz ponuréj i drażliwéj osobistości.

Z żalem wynurzam te ostre słowa. Zresztą wiem bardzo dobrze, że jest równie niedogodnym, ganiąc umarłych, jak i chwaląc żyjących, i że podpozorem uczczenia grobu, przy zdaniu o indywiduum, bezpośrednio po kłamstwie ubóstwienia, następować zwykło kłamstwo potwarzy; wiem także, że przytoczyć można niektóre dobroczynne postępki, które owo obwinianie zbijać się zdają. Ale cóż znaczą pojedyncze postępki w całém życiu? Tak w dobrém jak w złém nie może być człowiek konsekwentnym. Teraz pytam się, biorąc ten wyraz *egoizm* nie w najciaśniejszém ale w najobszerniéjszém znaczeniu, i stosując go do mistrza więcéj niż do człowieka, nie mamże powodu powiedzieć, że dla Paganiniego punktem wypadkowym równie jak celem był zawsze ograniczony egoizm.

Jakkolwiek bądź, pokój jego pamięci! Był wielkim; każda wielkość nosi w sobie swoje odpuszczenie (*toute grandeur porte avec elle son*

absolution). Wiemyż dobrze za jaką cenę udzielana bywa wielkość człowiekowi?

Czy próżnia, którą pozostawia Paganini, zostanie prędko zapełnioną? Czy istotne lub przypadkowe przyczyny, którebym chętnie jego najwyższą władzą nazwał, są tego rodzaju, że się mogą powtórzyć?

Nie waham się powiedzieć: Zjawisko, jakiem jest Paganini, nie będzie się mogło powtórzyć. Właściwe połączenie kolosalnego talentu ze wszystkiemi okolicznościami, które najwłaściwszemi były do otoczenia go omamieniem (*prestige*), pozostanie w historyi pojedynczém zdarzeniem. Mistrz, któryby dziś usiłował umysł wprawić w podziwienie, osłaniając się jak to czynił Paganini, tajemniczością, i otaczając życie swoje miedzianą obręczą, już nie wprawiłby w podziwienie; i gdybyśmy nawet przypuścili w nim nieoszacowany talent, pamięć o Paganinim zawszeby była obecną, zawsze byłby obwinionym o szarlatanizm i kradzież. Prócz tego wymaga dziś publiczność od artysty, któregoby przysposobić miała, coś innego; są inne drogi, na których możnaby podobną sławę i wyższą władzę osiągnąć.

Uważając sztukę, nie jako pewny środek do osiągnienia egoistycznych korzyści, nie jako niepłodną sławność, ale jako sympatyczną siłę,

która ludzi zbliża między sobą i jednoczy; wznieść swe życie do owéj wysokiéj godności, któréj ideałem jest talent; artystom dać poznać, czém być mogą i powinni, nad opinią publiczną przewagą szlachetnego sposobu życia panować — to jest, zadanie, jakie stawić sobie powinien artysta, który się dość silnym czuje, aby mógł sobie rościć prawo do spadku po Paganinim.

To zadanie jest trudne, ale nie jest niepodobne. Dla każdéj ambicyi są dziś szerokie otwarte drogi: każdy kto swą sztukę przekonaniu lub uczuciu poświęca, może być pewnym sympatycznego porozumienia się. Każdy przeczuwa nowe okształcenie politycznego stanu społeczności. Bez przesady znaczenia artysty w towarzyskich przekształceniach, bez pompatycznych wyrażeń, jak się to często czyniło, zapowiadając swą missyą, swoje apostolstwo, sądzimy, że i jemu w rozporządzeniach Opatrzności naznaczone jest miejsce, że i on powołany jest do współdziałania w swym obrębie nad trwałym, i moralnym utworem.

Niechaj przeto przyszły artysta — i to z całego serca — wyrzeknie się owéj egoistycznéj i próżnéj roli, w któréj tak sądzimy, Paganini ostatnim i sławnym był przykładem; niechaj swój cel nie w sobie ale zewnątrz siebie po-

stawi; niech mu wirtuoztwo środkiem, a nie ostatnim celem będzie; niech pamięta na to; że jak dawne mówi godło: *szlachectwo obowiązuje*, również i z większém jeszcze prawem my dziś powiedzieć możemy: *Jeniusz obowiązuje.*

(*Gaz. Cod.*)

Statystyka Anglii w Miniaturze.

Znany w literaturze rossyjskiéj autor dzieł w przedmiocie handlu i przemysłu P. Pelczyński wydał na jednym arkuszu statystykę Anglii od 1790 do 1841 roku. Wynalazek układu dzieła tyle ułatwiającego naukę należy wprawdzie anglikom, ale rossyjski wydawca niemałą uczynił dla piśmienności przysługę, przedstawiając sposoby jakie służą w ułatwieniu nauk. Opisać jak ułożona jest tablica o któréj mowa, byłoby trudném, dość jest nadmienić, że przedstawia na rzut oka tyle wiadomości, ile w kilkotomowém dziele zaledwie pomieścić można. Poznanie téj tablicy o stanie państwa, którego interessa handlowe i przemysłowe tak ściśle wiążą się ze stanem innych państw europejskich i dla nas bez wątpienia jest pożądaném.

Nowości.

Nakładem Zawadzkiego w Wilnie drukuje się wielki drammat Józefa Korzeniowskiego pod tytułem *Żywi i Umarli.* Spodziewamy się, że dzieło to, jak inne zaszczytnie znanego w naszéj piśmienności autora, pomnoży ją pięknym i pożądnym w swoim rodzaju wzorem.

Nie zadługo także opuści prassę powieść obyczajowa pod tytułem *Dwie siostry* przez M. Jezierskiego, autora historycznego poematu z początku XVIII wieku pod tytułem *Pan Kasztelan*, który w roku zeszłym wyszedł na widok publiczny.

W Warszawie ogłoszono także prospekt na powieść: *Trzy Przyjaciołki.* — Pan Wężyk ma zamiar drukować w Wilnie *Podróże swoje po Wschodzie.* — Kraszewski oddał już pod prassę poemat *Mindowe.* — Grabowski gotuje romans *Tajkany.* — Bejła drugi tom *Mięszanin*, — i romans pod tytułem *Listopad.* — Dycalp powieść: *Chwila i porównanie literatury rossyjskiéj z polską.*

Pan Polewaj zajmuje się przekładem powieści *Swiat i Poeta* Kraszewskiego na język rossyjski.

WSPÓŁCZESNA KRONIKA LITERACKA.

WARSZAWA.

Alelluja rocznik religijny 8. *str.* 344 *w drukarni Banku polskiego r.* 1842.

Trzeci już rok mamy przyjemność czytać tę piękną w swoim rodzaju książkę. Artykuły składające obecną, są następującéj treści: Jezus Chrystus — Nauka życia z pism P. Veuiltot—Żywot Stanisława Łubieńskiego Biskupa płockiego — Nadzieja doczesna i wieczna z pism X. Orsiniego — Piotr Canisius z pism Veuiltot — Wiadomość historyczna o kościele parafialnym P. Maryi w Warszawie — Wincenty Liryneński — Ostatnia pociecha i ostatnia posługa — O pobożności górników w polsce — Błogosławieństwo Papiezkie w dzień Zmartwychwstania Pańskiego —Wiadomość o kościele i klasztorze XX. Bernardynów w Prasnyszu — O wpływie czci Matki Boskiéj na sztuki piękne — O Spowiedzi — Opis miasta Góry Kalwaryi, zwanego Jeruzalem nowe— Sny przebudzenia i widzenia — W niebowstąpienie pańskie z dzieł Walsh'a — Kościół S. Karola Boromeusza

w Warszawie — Myśli. — Należyte opracowanie, porządny i jasny wykład przedmiotu, czystość mowy, zalecają prawie wszystkie artykuły. Odznaczają się szczególniéj: *Jezus Chrystus* — *Ostatnia pociecha i ostatnia posługa* — *Wiadomość o Kościele Panny Maryi* — tudzież *Sny, przeczucia i widzenia.* — Wydanie bardzo ozdobne, nadto nie mało przyczyniają się do powiększenia wartości rocznika, siedm rycin wykonanych w Cynkografii Banku polskiego.

Nad ziemią i naziemi podróż i dwie powieści czyli ciekawa tegoczesna gawęda tom 1. 12. str. 267. Warszawa r. 1842.

Wedle prospektu całość téj książki stanowić mają trzy tomy: głównym celem autora jest wykład wsposobie najprzystępniejszym według najnowszych w układzie Boitard'a teoryi astronomii. Powieści *Pan Wojciech Zacniewski* i *Przypadki Herkulesa Zucha* odznaczone są opisowością przedmiotów mało u nas dotkniętych.

Za ukończeniem dzieła zamieścimy obszerniéj o niém sprawozdanie.

O naturze torfu i jego użyciu gospodarczém przez M. Reuman p. o. Inspektora leśnego przy K. R. P. i S. nakładem redakcyi Sylwana w drukarni M. Chmielewskiego 8. str. 140 z tablicą figur w Warszawie r. 1841.

Drugie dzieło o Torfie za staraniem Redakcyi Sylwana wychodzi na widok publiczny: obecne jako napisane

przez autora, który praktycznie zajmował się fabrykacyą torfu, niemoże być bez użytku dla tych którzy bliżéj i gruntowniéj z tym przedmiotem obeznać się pragną: równie życzyćby należało, aby czytająca powszechność, mogła dokładniéj być zawiadomioną o naturze *Karbolejnu* który pomiędzy materyałami palnemi dziś najważniejszą gra rolę.

***Sylwan tom XVII drugie półrocze roku* 1841.**

Obejmuje przedmioty: opisanie jesiona z ryciną. Myślistwo ptasze dokończenie, dopełnienia i sprostowanie w myślistwie ptaszem, Widok polskich nazwisk ptaków, Rocznik administracyi leśnéj rządowéj na rok 1842.

***Życie marszałków francuzkich z czasów Napoleona z rycinami rytemi przez najpierwszych artystów francuzkich podług oryginalnych obrazów z galeryi wersalskiéj* 8 *majori str.* 194 *nakładem S. H. Merzbacha. Warszawa roku* 1842.**

Krótkie sprawozdanie o tém dziele zamieściliśmy na str. 24 tu wymieniamy nazwiska Mężów których portrety i życiorysy w niem się znajdują: Augereau — Beauharnais Eugeniusz—Berthier — Bernadotte — Bessieres — Brune — Clarke — Clauzel — Davoust — Duroc — Gerard — Gouvion - Saint - Cyr — Grouchy — Hoche — Joubert — Jourdan — Junot — Kellermann — Kleber — La Fayette — Lannes — Lauryston — Le-

brun — Léclerc — Lefebvre—Macdonald—Massena — Maison — Marmont — Molitor — Moncey— Moreau— Mortier — Mouton — Murat — Ney — Oudinot — Pérignon — Perrin — Pichegru — Poniatowski — Sérrurier — Soult — Suchet — i Talleyrand.

***Kwiaty wschodnie:** zbiór zasad moralnych. teologicznych przysłów, reguł towarzyskich, allegoryi i powieści wyjętych z talmudu i pism ówczesnych, ułożył A. Buchner nauczyciel języka hebrajskiego i wykładu Bibli w szkole Rabinów, w drukarni M. Chmielewskiego 8. str. 260 oprócz przedmowy. Warszawa r. 1842.*

Pan Buchner, jak się wyraża w przedmowie, miał na celu zbliżyć do wzajemnego porozumienia się i przyjaźni swoich spółwyznawców z chrześcianami, podać obronę przeciw wszystkim potwarzom miotanym na religijne Izraelitów zasady, udowodnić nareszcie, że czciciele talmudu są zdolni nawet pod inną władzą, do pełnienia obowiazku poddanego i prawego obywatela.

Podzielając trafne uwagi jakie skreślił P. F. Z. w recenzyi téj książki, zamieszczonéj w Bibliotece warszawskiéj T. II. str. 178 sądzimy że praca P. Buchner we względzie oświecenia i korzyści dla Jego współwyznawców niebędzie bez wpływu, jeżeli nią należycie przejąć się zechcą.

***Płóciennictwo** obejmujące uprawę roślin włóknowych, przyrządzanie włókna, przędze-*

nie, wyrabianie tkanin lnianych i konopnych, tudzież ich bielenie i dalsze wykończanie, przez Augusta F. Bernhardt Mag. Fil. Professora Gim. real. Część pierwsza z dwiema tablicami rycin 8. *str.* 242 *w drukarni J. Dietrich Warszawa, roku* 1842.

Dzieło to należy do ważnych i z prawdziwém znawstwem przedmiotu wypracowanych w literaturze technicznéj. Część pierwsza którą mamy pod ręką, obejmuje *Uprawę roślin włóknowych, wyrabianie włókna i przędziwa.* Samodzielność myśli, jasność wykładu, ścisłość wyrachowań, znajomość tak własnéj jako i obcéj literatury w zamierzonym przedmiocie, stawią to dzieło jako wzór pomiędzy technicznemi pismami. Za ukończeniem drugiéj części, będziemy mogli się chlubić, że o płóciennictwie pod względem gruntownéj i należycie zbadanéj nauki, posiadamy dokładny traktat.

Najnowszy i najłatwiejszy sposób nauczenia się teorycznie i praktycznię pierwszych zasad języków francuzkiego i niemieckiego ułożył J. M. Elkana autor nowéj metody. Część I. 12, *str.* 283 *nakładem S. Orgielbranda Warszawa, roku* 1842.

Mamy tyle sposobów najłatwiejszych nauczenia się w *krótkim czasie* obcych języków, a jednak znajomość ich mało się upowszechniła. — Pracować nad ulepszeniem metod, podawać środki, ułatwiać trudno-

ści, ważnym jest obowiązkiem osób poświęcających się wychowaniu: żadna książka w tym przedmiocie zbyteczna być niemoże, jeżeli na zasadzie doświadczenia ugruntowane mieści pomysły. Obecna przy wykładzie pierwszych zasad grammatyki języków francuzkiego i niemieckiego, obfituje w liczne przykłady wykazujące ich właściwość, ducha i różnice: główne podziały pierwszéj części są: *O mowie i jéj częściach, o rzeczowniku, o rodzajniku, o przymiotniku, o zaimkach, o przyimkach.*

Bez wątpienia, że w uczeniu się obcego języka czas i cierpliwość grają najważniejszą rolę: przyswoić pamięci kilkakroć tysięcy wyrazów, niemoże być dziełem chwil kilku, potrzeba na to wytrwałéj pracy i dobréj chęci uczącego się, a wtenczas dopiero metoda okazać się może skuteczną. P. Elkana obecnie wydaje drugą użyteczną w tym przedmiocie książkę.

Drobne pisma poetyczne Wiktoryna Zielińskiego* 8. *str.* 213 *w drukarni pod firwą M. Chmielewskiego Warszawa rok* 1842. *wydanie piękne, papier welinowy.

Dawno już znane są powszechności z różnych pism czasowych i noworoczników utwory pana *Wiktoryna Zielińskiego* i sąd o nich ustalony: wierz płynny, gładki, dźwięczny do muzyki przypadający, język poprawny, oto ich wydatniejsze cechy: nie mają oryginalności ani wielkiéj mocy i samodzielnego ducha, ale zawsze wyższe nad mierność i niedołężne podrzyźnianie mistrzów sztuki. P. Zieliński może być dobrym

tłómaczem, może nie jeden płód obcy, przyswoić naszéj mowie wzorowo, i tego szczególnie wolno jest nam spodziewać się po jego zdolnościach.

Kapitan Paweł Aleksandra Dumasa Tomów 2. 12. *str.* 120—150 *tłómaczył A. F. w drukarni J. Wróblewskiego. Warszawa* 1842 *r.*

Z licznych dzieł Aleksandra Dumasa które w literaturze francuzkiéj znakomite autorowi zapewniły imie, niewiele mamy dotąd przekładów. *Katarzyna Howard*, *Paulina* i obecny *Kapitan Paweł* są bardziéj próbą, aniżeli tem, coby mogło dać wyobrażenie zalet i płodności wyobraźni niewyczerpanego w pomysłach pisarza, którego trzydzieści kilka dzieł wyszło datąd z pod prasy. Powieści *Kapitan Paweł*, niezaleca strona moralna, ani nadzwyczajność sztuki w sferze uczuciowéj: utrzymanie charakterów i naturalny ich rysunek stanowią w niéj całą przewagę. Tłómaczenie dość wierne, wszakże niemożna powiedzieć że wolne od pośpiechu i należycie wykończone.

INNE MIASTA.

Stannica Hulajpolska powieść narodowa przez Edwarda Tarszę autora Koliszczyzny i Stepów Tomów 5. 8. *str.* 154—134—128—108—200. *nakład i druk T. Glücksberga, w Wilnie roku* 1841.

Treść téj powieści i uwagi nad nią zamieściliśmy na str. 26 niniejszego zeszytu, tu tylko nadmienimy, że wymagania recenzenta po autorze używającym w literaturze takiéj wziętości, zdają się być usprawiedliwione tem bardziéj, że przed ukazaniem się powieści, mówiono o niéj jako niedorównanym wzórze.

Obraz Warszawskiego społeczeństwa w dwóch powieściach przez Panią Annę Nakwaskę 8. str. 108 *nakładem Stefańskiego, Poznań rok* 1842.

Szczęśliwa przygoda, powieść obyczajowa z końca zeszłego i początku tego wieku rok 1787 i 1807 tudzież *Obligacya udziałowa*, ustęp z wydarzeń życia domowego, mieszczą się w książce o któréj mówimy. Powieści te, jeżeli pod względem pomysłu mają zalecające strony, to wykonanie i styl podlegają licznym zarzutóm. Są wszakże obrazy trafne, położenia naturalne, mianowicie w ustępie wydarzeń życia domowego; i zdaje się, że malowidło tego rodzaju więcéj przypada do ręki szanownéj autorce, od historycznych obrazów.

Historya mężów, z francuzkiego Pawła de Kock, przez XX. na polskie przełożona 12. *str.* 243 *nakład i druk J. Czecha. Kraków roku* 1842.

POEZYE.

W Imionniku Józefowi K.

Miłość, przyjaźń, na krańcach świata moralnego
Te dwa znaki graniczne od wieków stoicie —
Pierwsza, jak na obłoku malowane dziécię,
Druga, jak cień posągu piramidalnego,
Stoicie nieruchome — każdy człowiek może
Patrzyć na was — i duszę anielskim urokiem
Pojąc, dziękować Tobie wielki Boże! —
Patrzą ludzie, lecz takim obłąkanym wzrokiem,
Jak żaby z bagna na niebo patrzące —
Nie dojrzą nieba, tylko mgłę, co mrokiem
Z błota powstała i zaćmiła słońce;

Dla tych żab wszystkich, i dla wielu ludzi
Mgła ta jest niebem — bo zasnąć tak miło
Gdy nie ma słońca — światłem nie obudzi,
Nie przerwie marzeń, gdyby się co śniło —
Ludzie! wam tylko przyśnić się co może:
Bo dusze wasze wtedy tylko wolne,
Gdy ciała martwe — bo trudy mozolne
Ciała waszego — bo złote obroże
Ziemskich rozkoszy — w chwilach snu konają,
Dla tego w miłość w przyjaźń nie wierzycie,
Dla tego się wam złudzeniem snu zdają —
Duch niema ciała, wy go nie dojrzycie.
O! ja już dawno w cnoty i zbrodnie nie wierzę
Takich ludzi — przekleństwa u nich i pacierze
Jedno mają znaczenie — bo są bez znaczenia,
Jak poziewanie w chwili przebudzenia:
Smiejmy się z ludzi, bo płakać nie warto,
Oni śmiech łatwiéj niż płacz zrozumieją.
Więc śmiać się trzeba, choć z piersią rozdartą
Niech łzy nie dojrzą, oni się z łez śmieją.
Oni się śmieją z przyjaźni z miłości,
Z Boga, z nadziei, z wiary i z wielkości.

L. N.

ZACHĘCENIE.

Jeżeli prawdy pragnienie cię pali,
I czczy jéj pozór wystarczyć nie może,
To czegóż czekać? — śmiało rzuć się w toń!
Jak majtek, krain złota co szuka po fali
Po niezmierzonym uczuć i myśli przestworze,
Za światem prawdy nieśmiertelnéj goń!

Lecz majtek gdy się burza podniesie z otchłani
Napotka wyspę — schronę w jéj przestrzeni;
I śmielszy żeglarz, co nad ziemią wzbity,
Z wiatrem mknie jak meteor po niebieskim sklepie,
To gór mu lodowate towarzyszą szczyty:
Okiem, choć sercem na nich spocznie w jasnym stepie;
I pielgrzym co Arabii przepełza pustynie,
W pośród cienistéj znajdzie spoczynek oazy.
Ale nad piaski Azyi, wód, niebios głębinie,
Ocean myśli, uczuć straszny stokroć razy.

Kto żagle duszy raz na nim rozwinie,
Na jego fale bezdenne raz wpłynie,
Próżnoby szukał wypocząć na chwilę.
Aż u celu, lub w mogiłe.

Straszliwa droga! W niéj twe chrzestne szaty
Białe, jak noc się zbrudzą, popadają w szmaty.
Ostatnie twéj spuścizny po rodzinie szczątki,
Lśniące cacka coć matki darowały ręce,
Których blask zdołał żądze koić niemowlęce,
Ty sam odrzucisz w przepaść te święte pamiątki.
A może, skołatany bezustanną burzą,
Gdy piersiom tchu już zbraknie, ramiona się znurzą
To nim świat pożądany źrenica zobaczy,
Sam, o skałę gdzieś czaszkę roztrzaskasz w rozpaczy!

Straszliwa droga!... A któż powie jeszcze,
Co znajdziesz, jeśli dojdziesz spragnionego celu?
Może tam, kędy bieżysz tak pełen odwagi,
Ufny że ujrzysz jakiś kraj uroczy,
W nadgrodę strat tak drogich, burz, cierpień tak wielu
Przed okiem duszy nagle się roztoczy
Jakiś obszar bezbarwny, zaklęty i nagi?
Zimne tchnienie zamrozi na wieki sny wieszcze?!...

Może!...: Otóż bezdenna, piekielna wątpliwość,
Młodzieńczego zapału zdolna zgasić żywość!
Dzika wątpliwość — a wybór tak trudny!...

Czyż wybrać znosić byt ślepy i nudny?
I bez wiedzy o sobie, chowając ze drżeniem
Oczy przed każdym myśli wschodzącéj promieniem:
W maskę promienną prawdy stroić kłamstwa marę,
Wmawiać samemu sobie w błąd spruchniały wiarę?
Przegonić ku nicestwu długie życia lata,
Jako liść zwiędły, którym wiatr pomiata;
Bić się, jak los rzucony do pustego koła?

O! lepiej przecież, choć z sercem w żałobie,
Lecz którym żadna siła zachwiać już niezdoła,
Iść do grobu, po ziemi tym olbrzymim grobie,
Depcąc kwiaty i cienie zarówno wśród drogi;
A kiedy przeznaczenia twardy głos powoła,
Śmierć znieść jak życie — bez łzy i bez trwogi!

Środka tu niema! — więc gdy żądza pali,
Gdy ci czczy pozór prawdy wystarczyć nie może,
To czegóż czekać?... śmiało rzuć się w toń!
Jak majtek, krain złota co szuka po fali,
Po niezmierzonym uczuć i myśli przestworze,
Za światem prawdy nieśmiertelnéj goń!...

Roman Zmorski.

DO EMY.

(*z Szyllera.*)

W zasępionéj mgłą oddali
    Przeszłe moje szczęście tli,
W gwiaździe się wieczornéj pali,
    I miłością oczy ćmi;
Lecz te blaski, gwiazdka, mgła,
Fantastycznéj nocy gra.

Gdybyś zmarła, gdyby w grobie
    Oczy spały wiecznym snem,
Odżyłabyś w méj żałobie,
    Odżyłabyś w sercu mém;
Lecz twe oko światło ma,
W mojéj duszy nie ma dnia.

Możeż serca słodkie dzieło
    Możeż Emo zmienne być?
Co wionęło, co minęło,
    Możeż to miłością być?
Jéj płomieni boski żar
Niknież, jako ziemski dar?

J. hr. B.

GALARY.

(Obrazek)

I dnie całe i noce
Wisła pędzi bełkoce
Zrywa sasanki z łąk,
Ku Warszawskiéj gna stronie,
Na przejrzystém swym łonie,
Sosny wiązane w pąk.

A w galarach chłopaki,
Niby kaczki wód ptaki,
Szemrzą wiosły, jak skrzydeł lot,
Paplą, ciągną stadami,
Nad fal jasnych grzbietami,
Jak Jaskółki wróżbiarze słot.

Pawie piórka najnowsze,
Jakich nie zna Mazowsze,
Od ich czapek wyrosły.
Brzęczą kółka u pasa,
A na licach z róż krasa
A wzrost, gdyby topola wyniosły.

W zmrok przy węglach ogniska,
Z lulką każden siadł z bliska,
By słuchać skrzypecznych stron,
Szumi wiater po drzewie,
Piosnka pędzi, a w śpiewie
Żałosny jęczy ton.

Wisło nasza kochanko!
Z kąd tą szarą sukmanką
Piasczysty kryjesz smug?
O ty matko rodzona!
U twojegoć to łona,
Duszę nam wcielił Bóg.

Czy się ziemia zgniewała,
Coś tak zbladła, z siniała,
Czy ci żal zalanych chat?
Nowe, schludne powstaną,
I nad wisłą kochaną
Długich dosięgną lat.

Nasze żony i dziewki
Zanucą tobie śpiewki:
W twojéj wanience z ziół,

Dzieci pływać nauczą,
U twych piersi wytuczą
Ozdobę naszych siół.

Jeno niechaj twe oczy
Czarna chmura nie mroczy
Ani modrych nie sępi fal,
Bo się serce zasmuca,
I pieśń słowo wyrzuca,
I łzę mętną wyciska żal.

Tak śpiewają i płyną
Zwolna milczą i giną
Jak ceranki na wodném tle,
Wisła pluszcze, podrzuci,
Niby z trawą się kłóci,
I gwiazdy w swém odbija szkle.

Białe żagle wędrują,
Po nich wiatry tańcują,
Z maszt pogląda chorągwi tłum,
Lecz się dusza nie cieszy,
Witać nowych nie spieszy,
Do krakowskich stęskniona dum.

Lenartowicz.

IGRASZKI POGODY.

Poranek rumiany
Był jeszcze schowany
Za puchem chmur,
Szczytami gór...

I znowu czasami
Chmureczki migają,
Na wiatry siadają,
Cienkiemi włóknami
Płyną pod gwiazdami;

Rumiany poranek
Na ziemię zaziera;
Jak czuły kochanek,
Okienko otwiera
I pnie się do góry...
A za każdym krokiem
Płomienią się chmury,
Na niebie szerokiém.

Jutrzenka srebrzanna,
W strumieniu skąpana,
Kochanka spostrzegła,
Sukienek odbiegła,
I w ogniu stanęła.

Kochanek nalega,
By go uścisnęła...
Lecz ona odbiega
W nieznane ustronie,
I w błękicie tonie...

Poranek, kochanek!
Gniewem się zapłoni...
Rozognia swe czoło;
Promieńmi w około;
By ogniem spłonęła!
I goni ją... goni...
Po całym błękicie...

Aż stanął na szczycie:
Niewidzi — więc z góry
W pada między chmury,
I chmurek oknami
Spogląda czasami:
Czy przy wód krysztale
Kochanki jutrzenki
Nie ujrzy sukienki...

I płynie wspaniale!
Roztacza w zachodzie

Promieniste wdzięki...
A między promienie
Chmureczki gazowe,
Cieniuchne pływają
To sukienki tkają
Dla pięknéj jutrzenki.

Tu!.. wietrzyk wieje,
Skowronek śpiewa,
Słoneczko grzeje,
Muszki jak plewa
Krążą nad uchem,
Kwiaty ślą wonie,
Ja!.. lecę duchem
Ku lubéj stronie.

O! złote słońce! zaświeć na me losy,
Jutrzenko piękna! ześlij marzenie...
Ja kochać będę!.. i uczuć niezmienię!..
I kiedy księżyc osrebrzy włosy;
Będę cię witał przez chmur okienko,
W tedy, odżyje moje marzemie
Bo kocham — uczuć nigdy niezmienię.
O! świeć mi słońce!... zaświtaj jutrzenko.

***

Obraz historyczno-charakterystyczny Polaków XVI wieku.

Przyrodzenie obsypując hojnie swojemi dary słowiańską ziemię, a samychże Słowian najpiękniejszémi zdobiąc przymiotami, wlało w ich serca nie małą cząstkę wad szpetnych, dobre ze złém godząc mądrze. Bo chciało tego, ażeby lud słowiański przy dobrym swym bycie nie zleniwiał i nie zgnuśniał, ale mężne staczał boje ze złémi skłonnościami, i wywołanemi przez to nieszczęściami własnémi. Jak za pogańskich czasów, tu i owdzie czczone przez niego czarne i białe bogi, w ustawicznéj z sobą zostawały walce, tak, gdy chrześcianinem został Słowianin, samolubstwo i lekkomyślność walczyły u niego

z miłością ojczyzny i bliźnich., z zamiłowaniem porządku i pracy, zkąd dziwne wyradzały się sprzeczności znamionujące charkter Polaka, jako to rorzutność i lenistwo, hojność i zabiegłość, próżniactwo i cierpliwość na wszelkie życia przygody. Złe te i dobre przymioty znowu wiodły za sobą liczny szereg pięknych cnót i wad szpetnych, które, podług naturalnego porządku, były tamtych skutkiem, czyli dalszém następstwem. Snadź z łona płodnéj swéj ziemi wyssali je Słowianie wraz z pożywanym pokarmem. Bo słowiańska ziemia również obfita jest w wysokie przyrody, jak charakter zamieszkujących ją ludzi, tu skwarem słońca, tam ostrością powietrza dokuczając, tu bujnemi niwami rozweselając, tam płaszczyznami piasku nudząc zmęczone oko wędrowca, raz obfite plony, to znowu, gdy ją przykre sparły skwary, chwast i leciuchne rodząc kłosy, tuczyła naprzemian i głodziła rolnika. Uprawiacz téj ziemi uganiał się ciągle za tém, ażeby bezpieczną i trwałą zapewnić sobie dolę, ale długiego szczęścia nigdy posieść nie mógł, bo światło nauk raz mu błyskało, drugi raz gasło, jak błędne topielce, o których gminne prawiły mu klechdy.

Na ten obraz w sile wieku będącego męża, dostarczyło mi kolorów jego publiczne i domo-

we życie: zobaczymy teraz, co mówią dzieje o osobach latami i płcią niedołężnych.

Pobożny mąż większą część czasu od zatrudnień domowych trawił na dobrych uczynkach i nabożeństwie. Chętnie dawał ubogim jałmużnę, ale jéj nie dał żebrakowi, nie wypytawszy się go wpród: czy umiesz się przeżegnać? czy umiesz pacierz? czy umiesz dziesięcioro przykazania? (1) Przy obiedzie i przy wieczerzy udawał się do czeladniéj izby, i kazał przy sobie przeczytać z uczciwością przynajmniéj jeden rozdział z nabożnéj książki, najczęściéj z żywota P. Jezusa, zmówić modlitwę i t. p. Przestrzegał tego, ażeby czeladka miała przy pokarmie cielesnym duchowny obrok, miasto myśli i słów próżnych, którémi przeciwnie przy stole bezbożnych panów P. Boga najwięcéj obrażała. (2) Pobożny gospodarz modlił się codziennie do Matki Boskiéj, którą miał za opiekunkę, po Chrystusie jedyną, do niéj officium (nabożeństwo) codzień mówił, w jéj święta przedniejsze sakrament ś. przyjmował. O północy codzień na pacierze wstawał, godziny umęczenia pańskiego przed Bożą męką, która zwykle stała wśród

(1) Mateusz Warszawiensis w kazaniu na pogrzebie Dobiesława Przeborowskiego.
(2) Wujek w przedm. do żywota P. Jezusa.

wsi, klęcząc płaczliwie obchodził. Nieraz staruszek miły chodził do Bożéj męki zgarbiony, podpierając się koszturem, pies przed nim, wierny jego towarzysz zawżdy, a pacierze wielkie kościane u pasa, na których pod liczbą modlitwy mawiał po polsku, a niekiedy i połacinie. Te pacierze odmawiał on liczbą wedle dni onych, w których P. Chrystus leżał w żywocie panieńskim, nazywał je koronką. W piątki chleb posypany popiołem jadał, a wodę pijał. Adwent, post wielki i wigilie od kościoła przyjęte pilnie zachowywał. Wnukom siédm lat mającym z nabiałem jadać w piątki nie dopuszczał. Boże uchowaj, ażeby co we święto było robić. Nie raz on zięcia mocno za to zfukał, a jego żonę jako córkę własną łaskawie karał, gdy w czém przekroczyła prawo Boże. We wstępną środę popielec od kapłana przyjmował, i post wielki od chleba popiołem święconym posypanego zaczynał. We wielki czwartek do szpitala chodził dla umywania nóg ubogim. U stołu bawił się rozmową z teologami. Na zjazdy się wybierając wstępował po błogosławieństwo do kościoła, a co rok na rekollekcye zamykał się w jakim klasztorze. Wdowcem zostawszy, czystość aż do śmierci zachowywał, szatę grubą nosił, mieszkanie miał żałobą pokryte. Co miesiąc wstępował do grobu nieboszczki żony i modlił się

Czując się bliskim śmierci, kazał się w święte szaty ubrać i spowiednika zawołać, któremu do nóg upadłszy, płakał, (1) prosząc o wysłuchanie spowiedzi i odpuszczenie grzechów.

Bywało, że pobożni ludzie panieństwo swoje ślubowali Bogu, ażeby w bezżeństwie żyjąc, mieli więcéj czasu na modlitwę i służbę Bożą. To uczynił ów przyjaciel Piotra Skargi Andrzéj Bobola, który, chociaż go od tego odwodzono przedsięwzięcia, poszedł za zdaniem ś. Pawła, że lepiéj ten czyni, kto w bezżeństwie żyje i cały poświęcił się Bogu. Najgorętsze miewał on nabożeństwo, do Najświętszéj Panny, do któréj modląc się krzyżem padał, na jéj cześć dyscyplinami i innemi umartwieniami trapił ciało. Krom świąt uroczystych, w każdą sobotę spowiadał się i kommunikował. (2)

Miło było widzieć przyjemnego starca, jakim był Jan hrabia z Tarnowa, którego sędziwość ze stateczną trefnością podziwiał każdy. Miło było słuchać słodkiéj jego powieści (3).

(1) Mokrski w kazaniu na pogrzebie Szymona Samuela Lubartowicza księcia Sanguszki. Bembus w kazaniu na pogrzebie Adama Czarnkowskiego. Widzewicz w kazaniu na pogrzebie Mikołaja Krzysztofa księcia Radziwiłła. Orzechowskiego Dyalog rozmowa V.

(2) Bembus w kazaniu na pogrzebie P. Andrzeja Boboli.

(3) Gorn. Dworz. str. 100.

Obok niego dziwnie odbijał pospolity starzec, sknera i kutwa, z okularami na nosie, macający się zawsze po kieszeni, ażali mu nie uciekły pieniądze z wacka (1). Miernie i trzeźwo pędząc życie, dochodzili u nas ludzie bardzo późnéj starości. Sto czterdzieści lat wieku liczył sobie Sroński, wojewoda mazowiecki, zmarły roku 1436, jak to poświadczał wystawiony mu nagrobek w Srońsku w Mazowszu (2).

Niebrakło u nas na leciwych (latami obarczonych) ludziach, którym chociaż sędziwy włos, drżące ręce, i zmarszczki na twarzy siedziéć spokojnie a paciorki piać (śpiewać nabożne pieśni) nakazywały, woleli grać na lutni albo śpiewać światowe piosenki. Gdy Kupidyn to bezecne dziecię, na złość ich latom, kusiło się o ich starość, a ciało ich oziębłe i ledwie nie skrzepłe zagrzewało i ożywiało, przeto leciwi ci młokosi nadskakując kobietom, ażeby pokazać, że nie są starzy, farbowali sobie brodę, a chcąc siwiznę głowy ukryć, w czapeczce zawsze chodzili (3). Nie mogąc w stan małżeński zwabić młodéj bogactwy i rodem wyrównywającéj sobie dziewicy, ubiegali się o łaskę bogatych wdów, udając pobożność, jeżeli zmiarko-

(1) Wyprawa plebańska.
(2) Bielski kron. str. 354.
(3) Gorn. Dworz. str. 98. 99.

wali, że niewiasta jest bogobojną. Codzień prowadzili je do kościoła, i klęcząc modlili się spólnie. Wszakże w gorący wpadłszy affekt, nieraz roskosznik stary rozpoczynał z towarzyszką swoją nieprzystojne rozmowy, a za to albo dostawał odprawę, albo karcony bywał od pilnego sługi, któremu, miarkując zamiary gacha, towarzyszyć sobie do kościoła rozkazywała bogobojna wdowa (1). Kiedy tak roskosznika zawiodła nadzieja, zdejmował z siebie maskę, i wyjawiał się z tém, czém był istotnie. Przyjmował sobie miłośnice (2), albo do niecnych (3) uczęszczał domów. Same dwójznaczne, do rospusty stósowne, wymykały się z ust jego słowa: mawiał, że żona ma być układna, a mąż przykładny; że jak żona ma podlegać, tak mąż nalegać (4).

Modnisie przesadzali się w kusych sukniach lub długich żupanach, które się za nimi włuczyły by flory. Gdzie się jeno fircyk wyruszył z domu, musiał za nim iść chłopiec służący z gąbką i szczotką w kieszeni, ażeby co dziesięć kroków czyścił strój pański (5). Odznaczali się modnisie poru-

(1) Kazanie na pogrzebie Doroty z Oyrzanowa.
(2) nałożnice, u Bielsk. kron. str. 508.
(3) nierządnych, u Trztyprztyck.
(4) Prztyprztycki.
(5) Gorn. Dworz. str. 42.

szeniami ciała i ubiorem głowy. Fircyk co chwila podmuskiwał czupryny i ostrzył wąsik, albo przekrzywiał na głowie czapkę, co animusz jego oznaczało, albo mrugał na kobietki muskane, barwione i kamforowane, malowane i podolejowane; albo piętą depcąc, wargę sobie kasając, i strzygąc oczyma spoglądał na ładne swoje obuwie, albo poprawiał kołnierzyka (bryzę), albo magierką powtarzał co słowo ukłony, mając ciągle na języku „mościwy panie", albo zaczesawszy w tył czuprynę, a z przodu ją ogoliwszy podobnie jak grzywa u kobyły spoglądał po bokach (1).

W. A. Maciejowski.

(1) Rey. wiz. 4. Klonowicza Wor. jud. II. Paprocki próba cnót. Zbylit. schadzka. Jeżowski w ustęp. zim... Guczy Grobijanin rozdz. II.

SPOMNIENIA
Z WĘDRÓWKI PO KRAJU.

I.

FALENTY — RADZIEJOWICE — RAWA.

Za Warszawą zaraz za Jerozolimskiemi rogatkami rozpoczynają się nieprzerwane równiny Mazowsza, które niczém nieweselą oka. Jednostajna nieprzejrzana płaszczyzna, jakieś ciężkie i duszne sprowadza myśli. Na ogromném tle piasków, pola, lasy i wsie pocięte w kwadraty jak szachownice koło drogi mijają. Tu kwadrat owsa, tam kartofle, tu rzepak tam znów kartofle. Gdzieniegdzie przy wsiach kościoły otoczone karczmami. Gdzie niegdzie bieleją

mury obszernych budynków jak pałace, czerwoną pokryte dachówką — to gorzelnie; mieszkalne domy nie tyle są wspaniałe. W dzień powszedni drogi puste, rzadko kogo spotkasz; chyba jaki chłopek powita cię odwieczném prawdziwie naszém „Niech będzie pochwalony!” — A cały ruch handlowy, to kilkunastu żydów co obsiadłszy łatany wóz, zajadłym krzykiem popędzają upadającą szkapę, któréj skórę już własne jéj kości i bat żydowski podziurawiły. — Zato w święto dekoracya się zmienia. Zdaleka już do karczmy wiedzie ślad wlekących się, prowadzonych od żon lub leżących po drodze wieśniaków, jako maruderów do pola bitwy, na którém zwykle gorzałka odnosi zwycięztwo. Trafiają się jednak czasami przy ubocznych drogach wsie, w których w święto widać przed chatami na ławach, starców i kobiety zajętych rozmową, młodzież ze śmiechem i wesołością szuka swobodnéj rozrywki i dzieci porządnie odziane igrają na wyścigi, istny obraz patriarchalnych wieków, zda się przemawiać iż tu ludzie są swobodni i szczęśliwi; — ale niestety w tych wsiach nie naszym mówią językiem, bo to są osady czyli tak zwane kolonie niemieckie! Gdy podobna polska wieś się zdarzy, w któréj chaty z ogrodami, płotem otoczone, gdzie Pistoriusz i Gall nie znany, i gdzie wieśniacy w święto

nie wszyscy pijani; tam można być z góry pewnym, iż ta wieś albo jest rządowa, albo sama do siebie należy, w obu przypadkach, że nie ma Pana *Dziedzica*. Podobne jednak spotkania w téj stronie Mazowsza, są bardzo rzadkie, częściéj się ku Płockowi, Włocławkowi i Pruskiéj granicy napotykać dają.

Mimo to zdaleka stokroć poetyczniejszemi wydawały mi się. Z głową przepełnioną, klechdami, gawędami, podaniami, rozumiałem, iż każdy z wieśniaków cały tom Wojcickiego odrecytuje na pamięć, ale tak wcale nie jest. Nocując nieraz w gościnnych aż do zbytku chatach, zdawna niedoznawaną roskoszą słuchałem do sytu prostéj wyrazistéj mowy. Lecz cóż, kiedy całe ich podania, całe rozmowy pospolicie zapełnia najczystsza, najmateryalniejsza proza. Oto dawny dziedzic co ich cisnął dla siebie, nowy dzierżawca co ich drze dla siebie i dla dziedzica; ekonom ów kozieł starego zakonu na którego ładują wszystkie grzechy; daléj urodzaje łońskiego roku, nadzieja przyszłego plonu — oto treść gawęd. Niech się nikt nie spodziewa aby bogactwo poezyi ludu, te skarby rodzinne a niestety tak długo lekceważone stały odkryte na zawołanie każdego.

Jeszcze raz muszę powtórzyć, nudna jest droga od Warszawy w tę stronę. Dawniejsze

piaski, niedawno zastąpiła prosta pod sznurem monotonna szossa, która nawet i tę przyjemność odejmuje szlachcie, iż na złą drogę narzekać nie może. Minąwszy pola Rakowca i plac przeznaczony do tracenia przestępców, napotyka się pierwsze miasteczko Raszyn o półtory mili odległe. Piękny mały murowany kościołek i kilka domów bez rynku, bez ulic, składają całe to miasteczko, dla niejednego Warszawiaka znajome tylko jako niemy świadek tkliwych pożegnań. Tutejszy bowiem dom zajezdny (*vulgo* karczma) jest ostatnim kresem dokąd czuli *cicisbejowie* Warszawscy swe kochanki, i wędrowni czeladnicy swych przyjaciół odprowadzają.

Na lewo Raszyna widać mury pałacu nowym pozorem swym nieprzypominającego starych budowli: Są to jednak Falenty, starożytne dziedzictwo niegdyś Falęckich późniéj Opackich. Pałac o który podróżny zapewne się spyta, zmurował Opacki podkomorzy Warszawski roku 1625 z wielkim na owe czasy przepychem jak któryś z współczesnych opisuje: „Ozdobne apartamenta z francuzka sporządzone, co nie jest powszechném, mury gipsem wyprawione, wielkie podwórza i stajnie.” — Późniéj włość całą nabył Zygmunt III, wyrestaurował według swego *upodobania i rad tu często przebywał.

* Swięcki w opisie starożytnéj Polski Tom I. kar. 287, powiada iż Zygmunt III dokonał życia w Falentach o pół-

Dziwaczną lecz nie zbyt rzadką u nas zmianą losu, owe Królewskie dobra stały się własnością pana Spiskiego jednego z lepszych kupców win i korzeni w Warszawie. Pomimo jednak starania jego około odnowienia pałacu i urządzenia całéj włości, pusto tu teraz i głucho do koła. Owych zwierzyńców i sławnych z obfitości dzikiego zwierza lasów, godnych królewskich łowów, nie ma ni śladu. Gołe pola bez drzew, zasiane, znudzone oko bez odpoczynku prowadzą.

tory mili od Warszawy dnia 2 Kwietnia roku 1632. Za nim powtarza tož samo kalendarzyk Polityczny z r. 1826, Ł. Gołębiowski w opisie Warszawy i Hr. Plater w swéj Jeografii.

Spółczesny świadek Xże. Albert Radziwiłł Kanclerz W. X. Litewskiego, w łacińskim rękopismie mówi: „dnia 30. Kwietnia przed godziną 3 z północy Król duszę w ręce Boga wyzionął." wyraźnie jest jednak, iž to się działo w zamku Warszawskim nie w Falentach. Jest w prawdzie wprzód wzmianka iž: „Król mimo swéj słabości całkiem zajęty pogrzebem Królowéj małžonki swéj, któréj ciało sam do Krakowa chciał prowadzić, dla doświadczenia czyli tę podróž będzie mógł odprawić dnia 22 Kwietnia, wybrał się na obiad o milę od Warszawy do Opacia (Falent)." dodaje wszakže zaraz, iž tegož dnia powrócił do zamku. Tož samo podaje Kobierzycki w Hist. Król. Władysł. Zapewne więc wzmianka ta dała powód Święckiemu i innym nowoczesnym do omyłki w dacie i miejscu śmierci Króla Zygmunta III.

W Radziejowicach obok drogi, piękny murowany kościołek, kopułą przykryty, otoczony drzewami, a daléj za jeziorem stary zamek w ładném łąk i ogrodów położeniu, zwrócą oko przejeżdżającego.

Jak wspaniały musiał być na owe czasy zamek łatwo przekona opis przejazdu Maryi Ludwiki przez panią Gvebriant. W niém uczcił godnym królowéj przyjęciem Kardynał swą opiekunkę: „ogród wesoły i ozdobny, z jednéj strony wody, z drugiéj kwiaty, szpalery, gabinety do spoczynku i gry. Wnijście do ogrodu odpowiadało wielkiéj ulicy. Sród zwierzyńca był strumyk ogrodowym kanałom dostarczający wody, który wbiegał w staw ogromny, z drugiéj strony zamku wieża czyli dom okrągły śród stawu przeznaczony na mieszkanie mnóstwa gołębi."— Ten i dotąd widzieć się daje.

Dziś Radziejowice są własnością Hr. Krasińskiego, pod którego gorliwém staraniem o ulepszenie gospodarstwa i podźwignienie przemysłu, dobra te znacznie zyskały.

Minąłem i zamek i staw i ładne łąki Radziejowic.

Niedaleki stąd Mszczonów, kilkadziesiąt domów liczące miasteczko, już był w ruchu; mieszczanie i okoliczni wieśniacy spieszyli na Jarmark do Rawy. Ciągłemi piaskami, trakt dla

jezdnych i pieszych nie wygodny, wiodący do stolicy niegdyś Województwa Rawskiego, od ciemnego rana już był ożywiony. Każdy się spieszył by rychlejszém przybyciem ubiedz i sprzedających i kupujących. Zbliżając się coraz ruch większy. Zwierzęta dwunożne, pierzate, i czteronogie, z rogami, bez rogów, kwiczące, beczące na wozach i piechotą, trzodami i pojedynczo pędzone, głosem i tłoczeniem się zapełniały drogę. Baranie czapki chłopów i pstrokate chustki wieśniaczek górowały nad tłumem a gdzie niegdzie czarne postacie żydów snujących się, nie zdradzały, że tu oni głównemi są aktorami na jarmarkowéj scenie. Panowie obywatele i szlachta, brykami i bryczkami, (powozy bowiem rzadko się na takim jarmarku ukazują) nie tak rano przybywają. Z resztą też jarmarki w Rawie, których jest dziewięć do roku nie grają wielkiéj roli w okolicy. Kto ma znaczne zasoby do zbycia, wiezie do Warszawy, owéj otchłani ściągającéj płody z ogromnéj przestrzeni kraju. Przecież ujrzałém i miasto.

Jeden rynek niby przedmieście po większéj części zamieszkałe przez żydów, otoczone ich kramami, daléj most porządny na rzece Rawie, obok niego dość jak na takie miasto obszerny kościół Ewangielicki — nowy, na stary gust go-

tycki przystrojony wieżyczkami drewnianemi, mizerny gust co w ozdobkach ujmujących powagi, jakby cackach cukrowych widzi naśladowanie wspaniałych średniego wieku bazylik. Za mostem obszerny jest rynek porządnemi otoczony kamienicami z nowym ratuszem. Tu także kościół teraz farny z obszernemi kollegialnemi murami, zajmowanemi niegdyś przez wzięte bardzo w kraju szkoły Jezuickie. — Dziś gmachy te zajmuje w części Szkoła Obwodowa roku 1835 założona w umyślnie na ten cel wyrestaurowanym skrzydle. Oprócz fary są jeszcze dwa kościoły, lecz jeden tylko XX Augustyanów używany, drugi bowiem zamieniony na śpichlerz.

Starożytne to miasto, niegdyś zamożne jedno z głównych Xięstwa Mazowieckiego, tylko ślady swej rozległości zachowało, bo z resztą nędzne budy i chaty w odleglejszych od rynku uliczkach, nie zbyt wielkie o możności jego dają wyobrażenie.

Ku zachodniéj stronie na brzegu miasta nad rzeczką śród powabnéj łąki, leżą rozwaliny ogromnego zamku przez Kazimierza W. zbudowanego.

Czworogranny obwód zrujnowanych murów, ledwo gdzie niegdzie nad fundamenta wystających; ślady wałów i rowów, obszerne zawalone

lochy, a na rogu jedyna baszta stojąca jeszcze, oto wszystko co pozostało z tej znakomitej budowy.

Jak piękny dowód wysokiego stopnia oświecenia i moralnej dążności owych czasów! Nie jest że to jaż sama myśl dopiero w ostatnich czasach rozwijanego systemu więzień karnych?

Tu także w zamku Rawskim, pierwszym przykładem w Europie dobroczynny Zygmunt August, składać kazał czwartą część dochodów z dóbr królewskich na utworzenie stałych hufców do obrony granic Państwa.

Niedawne jeszcze czasy, zamek ten mimo opuszczenia, całe mury i nietknięte wznosił wieże. Echo rozległych dziedzińców kilka wyrazów razem powtarzało. Żyją jeszcze starcy w Rawie którzy pamiętają spaniały gmach; bo dopiero Rząd Pruski kazał go rozwalić, ale znudzony wytrwałością odwiecznéj cegły i cymentu na których oskardy się tępiły, ostatnią basztę pozostawił pastwie czasu, którego zniszczenia powolniejsze, lecz tańsze.

A tak dziś z całéj dawnéj świetności, kupa gruzów śród śmieci. Do wysokiéj wieży jak gniazda jaskułcze chlewy i stajénki przytulone— a na obszernych dziedzińcach i wałach spokojne bydło się pasie.

Lecz wieczór już się zbliżał, trzeba było rozstać się z ruinami. Już i w mieście Jarmark zdążał do końca.

Ładujący do domu wieśniacy, szukali, wołali się wzajemnie; kobiéty wyciągały z miejskich karczem mężów, a żydzi jak stropione ogary, biegali szukając czy od znudzonych łatwiéj spóźnionego nie nabędą towaru. Tam inni opowiadali wypadki jarmarku — ukazywali sobie czapki, polonezki (tak zwane sukmany), pasy, chustki i inne nabyte drobiazgi. Popychanie się, tłoczenie śród ustępujących wozów i bydła, krzyk ludzi, prosiąt i gęsi, wszystko mięszało się w nastającym zmroku w jednorodną massę jak błoto jarmarkowe: a cały tłum ludu ożywiający na dzień jeden to ciche zwykle miasto, miał znowu rozpłynąć się w różne strony, aby czekać drugiego jarmarku. Przed jedną z ubocznych karczem ku końcowi miasta, zgiełk zebranéj kupy ciekawych i coraz więcéj zbiegających się, pociągnął i mnie w tę stronę. Ani myśleć docisnąć się do środka, skąd odgłosy krzyków i przekleństw; a jedni drugim tłocząc się opowiadają przyczynę wrzawy i dodają swoje uwagi. Niebyła to pospolita bitwa karczemna, lecz dość często trafiający się, a jednak zawsze korzystny wypadek dla żyda oszusta, jarmarcznego bohatera téj sceny. Widziałem go kilku

godzinami pierwéj. Żyd taki zjawia się zwykle w karczmie gdzie nie zbyt wielki napływ ludu, najczęściej na przedmieściu. Dobywa on kostki, albo talią brudnych starych kart. W tém od niechcenia ukazuje się jakiś poniter, z ubioru na mieszczanina zakrawający, którego mowa jednak mocno zdradza Izraelskie pochodzenie; ten stawia i wygrywa kilka złotych, czasem kilka rubli, w miarę towarzystwa jakie ma zachęcić. Bankier uprzejmie zaprasza do gry, rzuca na stół zakryte trzy karty — *np.* Tuz, dama, dyska — kto trafi wygra! — odkrywa, przewraca, pokazuje karty, zdaje się, że niepodobna chybić. Goście stawiają, ten wygra ów przegra, chęć zysku łatwego w najprostszym człowieku uśpiona, budzi się zręcznie od szalbierza połechtana, wódka krąży sowicie, wesołość, zajęcie trzymają biednych wieśniaków w swym szale, aż nareszcie odurzenie gdy już górę wzięło, oszust kilku rzutami kart, kilku stawkami ogrywa z wszystkiego na co wędki rozstawił, i wprzódy opatrzony m miejscem do odwrotu, zręczniej jeszcze, jak swe karty filuje, sam się wynosi. Osłupienie grających nieprędko da im spostrzedz, iż byli igraszką bezczelnego oszukaństwa. „Biada wtedy bankierowi," jeżeli go zdybią lub prędko uciec nie zdoła; wtedy straci wszystko i grzbiet jego w jednéj chwili stanie się podobny do tylnéj strony

karty do grania. Ale rzadko to się trafi, umieją oni zręcznie i ograć i uciec.

Tutaj gdzie krzyki powstały w karczmie podobna się scena odbyła. Biedny jeden chłop wszystkie pieniądze za sprzedane żyto i drób, inny wołu, inny wozu się pozbył. Okrzyki groźby ze wszech stron wznosiły się przeciw niewidzialnemu graczowi, który już dotąd zapewne od współbraci dobrze ukryty naśmiewał się z czczych wyrzekań.

Wychodząc z Rawy znowu towarzyszyłem jadącym i idącym z jarmarku. A większa część rosprawia, ubolewa, rady ponawia o ostatnim wypadku. Tak krzywda jednemu wyrządzona wszystkich obchodzi. Niektórzy poczciwi mazury, zamyśleni, pojąć jeszcze nie mogą i tylko dziwią się, iż jeden żyd tylu podejść się ośmielił.

Przed najbliższemi karczmami za miastem, stoją wozy i ciągle nowe przybywają. We wnątrz światło połyska i brzmią skrzypice wesołego *oberka*, którego raz po raz raźne okrzyki *u cha!* podsycają. Izba gościnna zatłoczona, migają tylko w szybkim tańcu baranie czapki parobków i kolorowe spódniczki i warkocze ochoczych dziewek. Na uboczu poważniejsi z kieliszkiem lub blaszaną miarką w ręku, z drugą dłonią w tylnej kieszeni sukmany, czapką na bakier, rozprawiają, wynurzają się wzajemnie. Do poblizkiego

alkierza gdzie cokolwiek swobodniéj odetchnąć można, trudno się przecisnąć. Przecież dostałem się. Tu już starzy gospodarze radzą i gawędzą nie troszcząc się o tańczących. Chętnie kawałek miejsca ustępują, gwałtem do kółka swego zapraszają, częstują. I tu jeszcze przedmiotem rozmowy było oszukaństwo jarmarkowego szulera. Jedni potępiali chciwość grającego wieśniaka, iż się dał na stratę narazić, inni go bronili, całą winę ogólnie na ród żydowski waląc. W tém najstarszy prawie wiekiem co więcéj od innych milczał, rzekł obracając się do mówiących.

— E! próżna to rada, jak się kogo chwyci nieszczęście to choćby manna z nieba kapała, to się i nie powiedzie. Widno taka była wola Boska. Oto ja powiem jaka na to jest u nas przypowieść. I poprawił czapki, posunął na ławie inni zbliżyli się.

— Kejś tam daleko, żył sobie gospodarz na roli, a tak był biedny, iż nie tylko nie miał żadnego bydlaka do posługi, ale nawet nie trzymał parobka, jeno sam ciężką odrabiał pańszczyznę. Jednego razu zadumany pojechał do lasu po drwa, w tém patrzy, jak w gęstwinie przez obaloną kłodę, skaczą dwaj niemczyki, w żółtych pludrach, rogatych kapeluszach i niebieskich kurtkach, na cienkich nóżkach; skaczą to

tu, to tam. Z razu przeląkł się trochę, ale przeżegnawszy w Imie Ojca — podszedł kęs bliżéj i spytał się cośta za jedni? — Aż oni mu rzeką „ja jestem szczęście, a drugi ja jestem nieszczęście." I sami zaczęli go pytać co za jeden jest, z której wsi, jak mu się wiedzie. Opowiedział im wszystko i narzekał na swoją biédę. Wtedy zawołało nieszczęście oto nie narzekaj człowieku, masz tu pięć dukatów, a za to będziesz mógł, doczekawszy jarmarku, kupić sobie bydlaka. — Nie będzie z tego nic rzekło szczęście: ale chłop już nie słuchał, raz z serca dziękował i co tchu wracał do chaty. W drodze jednak myśli sobie tak: Jak się doma przywlokę a kobieta obaczy taką siłę pieniędzy, nuż weźmie prosić, a to daj na kaszę, a to dzieciska nie jadły, a to to, a to owo, i grosze się rozejdą, a tu jarmark daleko. Wiem lepiéj co zrobię; nie rzekę ni słowa i pieniądze schowam. Gdy więc wrócił do chałupy, pokryjomu wetknął owe dukaty w len, co leżał na belce. Nazajutrz gdy wyszedł na pańszczyznę przywlokła się żydówka i od potrzebnéj gospodyni kupiła za kilka groszy len razem z nieszczęsnemi dukatami. Gdy chłop wrócił, płacz i wyrzekanie już nic nie pomogły. Jedzie więc znów do boru po drwa i znów nadybuje w témże miejscu niemczyków. Juściż teraz śmielszy sam opowiedział swoją nę-

dzę. — W tém nieszczęście mówi mu: Nie frasuj się człowiecze, oto masz tu dziesięć dukatów, to sobie dwa woły kupisz. A drugi co się zwał szczęście znowu rzekł, niebędzie z tego nic, ale chłop nie wierzył. Jak odjechał przemyśliwał tylko gdzieby te pieniądze schować. Aliści wedle drogi, patrzy sterczy pniak dębowy, długi a wypruchniały. Uwinął więc pieniądze w szmatę i wpuścił do dziupla. W tém na drugi dzień pastusi chodząc za bydłem podpalili sobie ognisko przy pniaku, znaleźli szmatę jak się tliła i wybrali pieniądze i chłop znów był biednym jak wprzódy.

Jedzie więc trzeci raz do lasu i dojeżdża już wprost do miejsca, gdzie spotkał niemczyków i bieduje nad swą dolą.

W tedy dopiero odezwie się do niego szczęście, dając mu tylko trzy grosze, pamiętaj człowiecze, że to ja tobie daję, szczęście raz tylko daje umiej więc korzystać, bo już nas więcéj nie ujrzysz i oba znikli.

Markotny gospodarz, że tak mało dostał, wlecze się do domu spoglądając niechętnie na trojaka, co go już nie myślił chować: gdy patrzy jak rybacy we stawie łowili ryby. Cały dzień ciągali niewodem i ani jednéj płotki nie wydobyli, i już myśleli wracać do chaty, gdy on chłop do nich się odezwał: Zaciągnijcie też bracia na

moje szczęście raz jeden, ot za te trzy grosze. Rybacy na śmiech z biedaka zapuszczą niewód, pewni że nic nie złowią; Aż tu gdy przyszło ciągnąć ledwo powrozy nie popękały; zaledwo zmogli wywlec taką kupę ryb wszelkiego gatunku. Uradowany chłop na w pół się z niemi podzielił i naładował dla siebie pełen wóz karpiów, okuniów, leszczów, linów, sandaczów, a na wierzchu położył wzdłuż wozu ogromnego szczupaka.

Wrócił do zagrody wesół, bo oddawnego czasu nie było w chacie takiego dostatku, rzecze więc do kobiety: Kiedyć nas tak pan Bóg obdarzył, że będzie co i sprzedać i sąsiadów ugościć, to zgotój dla nas tę szczukę. Gospodyni sprawia szczupaka, a gdy go rozpłata, zobaczy we środku wielki kamień jak kurze jaje co się tak świecił jak ogień. Przelękli się bardzo, a nie wiedząc co robić, postawili na kominie. Gdy wieczór nadszedł to tak iskrząco błyszczał, jak błyskawica. Przejeżdżali też tamtędy z dalekich stron kupcy. Wywiedzieli się wnet, jak to wiadomo na wsi o całéj przygodzie, a gdy zobaczyli klejnot, wraz go chcieli kupić. Chłop nie wiedział co zacenić bo takiego bogactwa nie widział w życiu, ale na szczęście mówi: dajcie pięćdziesiąt złotych— Kupcy zgoda; kiedy tak myśli gospodarz to oni dadzą i sto; kupcy i sto dają

i tak coraz więcéj zaceniał, aż mu ogromnie wiele dali pieniędzy. Bo to był brylant, i jeszcze tak duży, jak nie każdy król ma podobny. Tym sposobem stał się on człowiek z nędzarza wielkim panem, miał swe sługi, konie, murowany dwór, a to wszystko jeno z owego szczęśliwego trojaka. Gdyby to nieszczęście dało, toby i szczupaka nie rozpłatali, tylkoby sprzedali; bo od nieszczęścia to i tysiące tylko utrapienie przyniosą.

D***

GAWĘDA
PANA PAWŁA.

I.

> Niebaw syneczka przy sobie, ale poszli go do dworu,
> Albo do wojska, albo też na służbę kędy,
> Gdzieby brał swe ćwiczenie. Tak z niego mieć będziesz
> Człowieka poczciwego, i znaczną pociechę.
>
> *Opaliński.*

Niegdyś w ziemi krakowskiéj, żył stary Jędraszek, widać podupadły, bo pieszo i boso dążył na Sejmiki, gdzie ufny w szlachectwo i karabellę, wrzeszczał zawsze potężnie, kiedy szło o sposoby podatkowania na to lub na owo. U sąsiadów też swoich, wodził zawsze rej, boć w głowie jeszcze nie tak tożle było, a co się nawet tyczy pochodzenia, to już za króla

Jmci Batorego, pradziady Jędraszka słynęli w potrzebach, i nieraz tępili swe szable na karku pogana. Mało bacząc o kieszeń, a mniéj jeszcze o zbytki, spokojnie skibę ojczystą uprawiał, myśląc bardziéj o soli a o kęsie chleba. Miał przy sobie wyrostka, Janka, jedynaka, który gdy iuż ukończył Retorykę i Dyalektykę, powrócił był do Ojca, a raczéj do preceptora, bo go ten ostatni nieustannie wprawiał w ostre posty, ćwiczył jeszcze w łacinie, i często gęsto, twardym korbaczem smarował. Przy takim więc Tatusiu, i w tak dzielnéj szkole, Janko też rosł tęgo, a kiedy już zaczął na dziarskiego zakrawać chłopaka, Jędraszko obawiając się, ażeby na próżno za piecem nie zagrzewał miéjsca, umyślił go wyprawić gdzie na dworską służbę, boć to tam mawiał, daleko łacniéj i o grosiwo i o kondycyą. Nie od tego był sam Janko, bo mu się naprzykszyła ta ojcowska grzęda, a bardziéj, posty, łacina, i przeklęty korbacz. Był przytém rzeźkim, a do tego jeszcze bardzo urodziwym, i siły niemałéj, bo kiedy pochwycił rogatego dwulatka, to tak nim zawinął w tę i ową stronę, że go aż jako żaka na ziemię powalił.

W okolicach Krakowa żył wtedy Starosta, Pan cnotliwy a możny, i mający jeszcze tę sławę po sobie, że wielu już swoich dworskich

uposażył, a w czasie ich służby, mile ich zawsze podejmował u siebie. Zachęcony tym Jędraszek, umyślił doń oddać synaczka, i zaraz w dzień Panny Maryi, wystroiwszy się oba w świąteczne sukmany, a wysłuchawszy z pobożnością Mszy Stéj ruszyli prosto z kościoła do dworu.

We dworze dnia tego, wyprawiano ucztę, a była to uczta nielada, bo pan Starosta obchodził urodziny swojéj lubéj Marysi, jedynego dziecka, które mu ś. p. nieboszczka żona zostawiła, a które zwyczajem swoim mianował aniołkiem. I nie mylił się wcale, bo też to było dziewczę od nieba, a cnotami swojemi nieledwie przypominało czasy Lecha, Krakusa a Wandy. Jako zaś zepsucie panowało i wtedy i wiele było takich dziewcząt co to zaledwie siedm lat mając, już nasłuchawszy sie o młodzianach a gachach biegły z niemi do taneczka mało nie co dzień piątkom nawet nieprzepuszczając; muzykę, bankieciki, rozmówki, piosenki, przekładając nad wszystko, miasto świętych żywotów szukając tam co w druczku o zalotach a różnych przebiegach, miłostkach; w czasie nabożeństwa w kościele, więcéj oczkami po gachach, niźli po ołtarzach wodząc, w mieście na zjeździe jakim pod Sądy i Roki, ustawicznie z okienka to na tego, to na owakiego strzelając; — dorost-

szy zaś nieco, to już ani nawet pytaj o klasztorze, a jeno czémprędzéj za mąż, za owego, co ma czarny wąsik, a potém nuż dopiero rządzić całym domem, folwarki objeżdżać, z włodarzami i pisarzem rachować się z gospodarstwa, w około jeździć a rozkazywać, zgoła sługi, czeladkę, ba i męża za nos wodzić, przytém bić, katować a pędzać; to tedy pan Starosta chroniąc swego *aniołka* od takiego zepsucia, zaszczepił w nim za młodu wcale inne przymioty. a obyczaje. Niedziw przeto, że tak urodziwe a uczciwe paniątko, miało do siebie mnóstwo wielkie gachów, i że rozliczne a wytwórne, zebrały się dnia tego kolasy, karoce, i bryki. Sam też pan Starosta, miał przyjaciół bez liku; a kiedy wyprawiał panie jaką biesiadkę, to nie na dzień, dwa, ale tydzień cały?

Zaledwie tedy nasz Jędraszek, stanął przed wrotami, zdziwił się nie mało tak licznemu zjazdowi, a chcąc przez dyskrecyą odłożyć swój projekt na lepszy czas potemu, już umyślił zrejterować i wrócić do domu, gdy zabłąkawszy w kupie owych kolas, nie pierwéj się spostrzegł, aż kiedy stanął niespodzianie przed dworem Starosty.

Jegomość bowiem pan Starosta, wyszedł był na ganek, aby z tym większą attencyą mógł podejmować przybywających doń ze wszech

stron gości; — a jako zawsze był przystępny i ludzki, to i zaraz co żywo, wysłał był do Jędraszka jednego z pachołków, z zapytaniem od pana domu czego by żądali?

Pachołek tedy sprawił się, jak należało, i widać że nowina takowa przypadła była do smaku Staroście, bo niebawem kazał Jędraszka i wyrostka prosić, a wprowadzić do komnaty, gdzie się wszyscy goście zebrali. — Sam też po chwili wszedł prawie tuż za niemi, oświadczającim, że rad mieć wswym domie, tak zacnego ślachcica, i że gotów jest ich posłuchać, i wszystko im udzielić, czego by żądali, byle by to tylko nie przechodziło możności jego. Na nieszęście, Jędraszek, nie spodziewając się, ani tak uprzejmego obejścia się Starosty, ani też owego tłumu urodziwych panów, zebranych w komnacie, tak się był zaledwie próg przestąpiwszy zaciął, że nawet i niedomówił *pochwalonego*; alić za to Janko, który jeszcze w sieni poplu. wszy sobie na dłoń, najeżył czupryny, pragnąc konfuzyą ojca zreperować, skłonił się z respektem, i taką na samym wstępie, i to po łacinie wypalił oracyą, że Starosta się zdziwił; goście ostupieli, a X. pleban, to aż coś do ucha szepnął Jegomości. Wyrozumiawszy tedy o co rzecz chodziła, P. Starosta, przybliżył się do

Janka, uderzył go po ramieniu i odrzekł uprzejmie: „Od dzisiaj wasze, jesteś gościem moim, a za dni kilka, możesz się mianować jednym z liczby moich dworskich;" — potém zaś obrócił się do Marszałka i przydał: „Hej Panie Marszałku, masz waszmość owych panów sowicie uraczyć, i pomnić aby im tu u nas nic zbywało najniczém. Orzeźwiony wreszcie temi słowy Jędraszek, jak najuniżeniéj podziękował za wszystko Staroście, Janko zaś widząc jakie persona jego a bardziéj wymowa sprawiła wrażenie na staroście i słuchaczach, bardzo prawda uczciwie, ale z napuszystą miną opuścił komnatę. Zaraz po wyjściu Jędraszek zaczął ostro nacierać uszu Synalowi, za to że śmiał go uprzedzać z oracyą, aczkolwiek dobrą, zawsze jednakże z pominięciem należytego erspektu dla ojca oddaną, lecz nadejście pana Marszałka, a późniéj grzeczne zawezwanie do stołu i dzbana, wcale go rozbroiło.

III.

Bądź ptaka, bądź zająca szukasz po tym boru,
Gościu, słuchaj méj rady, stąp mało do dworu;
Pewniejsza tu zwierzyna, gdzie pełne piwnice,
Albo gdzie pszczoły niosą miód za okiennice.

J. Kochanowski.

Kiedy już nadeszła obiadowa pora, i pan Starosta wraz z panem Marszałkiem zaprosili gości do komnaty stołowéj, w tedy jakby do twierdzy, przystępowano do oblężenia zastawionych stołów, bacząc jednakoż na stan urodziwości, a podeszłe lata. Bo też panie i było do czego się cisnąć, stoły to z dębczaka, a przecież gięły się, jako ślizgawica nie zupełnie skrzepła, pod ciężarem talerzy i półmisków srebrnych, które gdybyś ułożył na gromadach w stosy, to by przechodziły wysokością dostatniego chłopa. Przy każdéj części stołu po trzech krajczych, co uraczali przyniesionéin daniem. Mnogość tam bowiem była sosów, ryb, mięsiwa, oraz potrawek, i wymyślnych frykasów, zaprawnych

szafranem, oliwkami, cytryną, a korzeniem zamorskim; na ostatek konfektów, pigwów, a bakalii, których ilości niezliczysz. Po każdém daniu, przesuwały się ogromne szklanice piwa strojnego w grzanki z chleba oblane oliwą, a gdy znikły konfekta, ruszyły się z całym swoim węgierskim obozem, flasze srebrne a potężne, co to po wypróżnieniu, luzowały się koleją, jakby jakie straże. Do każdego zdrowia był oddzielny kielich, a ciżba tych kielichów, w półkulawych, w pół zdrowych, krążyła tu i owdzie w tak rozlicznych zwrotach, jako owe maskary lub pupki w jasełkach.

Tak tedy upłynęło cztery lub pięć godzin a kiedy się rozpoczęły dykteryjki i gadki, to wszyscy jak do ołtarza cisnęli się do pana Deczyńskiego Rotmistrza, z tego samego pono szczepu co tenże, który to jeszcze pod Zygmuntem III. sprawił się był dzielnie w rozlicznych okazyach. I nie dziw wcale że się pchano ku niemu, bo też to pan ten prawił jakby z kazalnice, i o takich rzeczach co to i nie jednemu nieśniło się nawet. Był to bowiem wielki przyjaciel Starosty, a jak słychać było od niektórych dworzan, ba i własnych jego pachołków, to podobno już od dawna smalił był do panny Starościanki cholewki. Miał też oprócz odwagi, wiele innych przymiotów, a chociaż liczył so-

bie czwarty krzyżyk, a do tego nosił dwie krysy na czole, to nie tylko że niebył szpetnego oblicza, ale owszem dowodził, jako się nie odwracał w tańcu z tatarami. Zresztą, mianowano go jakto było zwyczajem, *do wszystkiego człowiekiem*, bo gdy rąbał, to na śmierć, gdy zaś pił, to do dna, a gdy łgał, to tak gładko, jakby z książki czytał.

Gdy tedy tak się zabawiano w komnatach, to i w czeladniéj nie próżnowano, bo dziarskie dworusy, a między niemi i nie zbyt dawno nobilitowany pan Janko z Tatusiem, raz wraz się przeglądali w rozkosznych szklanicach, które pan piwniczy, nieskąpiąc napełniał. Jankowi też w to graj, bo niepamięta pono takiéj gratki, a do tego jeszcze i w domu Starosty. Spijał tedy potężnie, a gdy się już uraczył, to takie zaczął kleić kolegom ambaje, że aż go na pierwsze przesadzili miejsce, i wszyscy co do jednego wnieśli jego zdrowie. W miarę okrzyków i liczby kielichów rosł pan Jędraszek dumny swym synaczkiem, a Janko tyle swą wymową dokazał, że nie tylko Starostę i X. Plebana, ale nawet Rotmistrza i niektórych gości, przez ciekawość, do czeladniéj zwabił. Tu dopiero świetna a pamiętna dla niego, zaczęła się walka z Deczyńskim, bo Rotmistrz nie sądząc ażeby jeden dworus a do tego nowincyusz tyle posiadał prze-

biegłości a sztuki, wyzwał go zaraz pierwszy na język, i nie uszło godziny jak padł zwyciężony. Zapłakał Jędraszek, a raczéj wino zapłakało przez niego, wróżąc mu pociechę jakiéj się doczekał ze swego wyrostka, a Janko od tego czasu zaczął już stawać w stołowéj komnacie, tuż za panem Starostą.

Na takich tedy i rozlicznych jeszcze a wymyślnych zabawach, upływał szybko z kolei dzień po dniu, dopóki nieuraczono do sytu zaproszonych gości, i nie rozpuszczono ich zwolna do domów; — co widząc Jędraszek, podziękował Staroście za to ugoszczenie, a poruczywszy raz jeszcze jego opiece synaczka, i dawszy mu ojcowskie błogosławieństwo, a napomnienie, ruszył wraz zdrugiemi, do samotnéj siedziby.

III.

Ztąd w nim owe zapały i ta żądza sławy,
Że mu tylko tryumfy, a hetmańskie klawy,
W myśli były. — We śnie li? tromby w uszu grzmiały
W dzieńli? świetne chorągwie w oczach powiewały.

Twardowski.

Wkrótce potém, w domu Starosty zniknął nieład chwilowy, a miejsce jego zajął dawny porządek, bo pan Starosta był tak akuratny,

jako zegar słoneczny, umieszczony na podwórzu śród gęstego trawnika. Jeden tylko Rotmistrz, gościł jeszcze ciągle w przyjacielskim domu, a chociaż nie mógł przepomnić doznanéj od Janka na uczcie zniewagi, to jednak ten ostatni poznawszy spełna co się między nim a panną Starościanką święciło, tyle był dokazał przez swoje zabiegi, że miasto gniewu, zjednał sobie łaskawe oko pana Rotmistrza. Wszakże, godność ta Janka, na którą go wyniósł niedawno Starosta, gorzką mu się wydała, bo musiał rad nie rad widywać codziennie pannę Starościankę, która była hoża, jak różyczka kwitnąca, a Janko też miał oczy i do tego serce, ba, i jakie serce? Pierwsze przytém kwiaty, przynosił jéj z ogródka każdego poranka, pierwsze wianki z pola, składał jéj w darze przy zachodzie słońca, a panna Starościanka i kwiatek z miluchnym uśmiechem przyjęła, i za wianek, słodziuchném dziękowała spojrzeniem! Oj! błogi też to był ten miluchny uśmiech, oj! lube bardzo, słodziuchne spojrzenie; ale i cóż z tego, kiedy jak jedno tak i drugie zarazem, ciężyło jako kamień na Jankowem sercu. Ni ztąd tedy, ni zowąd, znikła dawna rzeźkość, a na czole jego smętność się rozlała; co tak było wyraznem, że aż razu jednego, a pono przy stole, Starosta pilnie bacząc w lice Janka,

doryweczo go spytał: „Coś mi wasze spaszował, mój panie dworzanin, a przecież nie myślę by was bida tu gniotła?"—Na to dziwne pytanie Janko się zakłopotał, jako niegdyś piwniczy na uczynku schwytany: starościanka spuściła w dół oczy, upiekłszy też raczka, a pan Rotmistrz Deczyński, co to sokolem strzelał wszędy okiem, tak zamaszysto zakręcił był wąsa, że aż karafinkę łokciem na stół wywrócił.

Pochwycił zaraz Janko tak szczęśliwy wypadek, i wyrwał się z konceptem o zbyt długim wąsie, co tak mu się udało, że wszystkich do śmiechu a zapomnienia o zapytanie Starosty przymusił. Odtąd jednak pan Rotmistrz zaczął dawać baczniejsze oko na młodego dworusa i Starościankę, którzy tém bardziéj lgnęli byli do siebie, im mniéj wiedzieli o swoich wzajemnych affektach. Ztąd też Bóg wie coby to było, gdyby tak dłużéj pozostało we dworze i gdyby zawieszona po nad Polską burza, nie zbliżała się do kresu, i nie skierowała ich zamysłów do czegoś większego.

Marzący tedy o Starościance, jako o niebieskich migdałach pan Janko, uprosił sobie pozwolenie na odwidzenie swojego Tatusia, i dosiadłszy gniadosza, ruszył był do niego w samych początkach miesiąca Czerwca. Zabawiwszy tam nieco, i miasto podarków, otrzymawszy

napomnienia a nowe porady, wracał był już do dworu, lecz swawolny gniadosz, czylito z narowu, czyli ze zwyczaju, bo zwykle na nim jeździł zawsze włodarz, zboczywszy z gościńca, stanął sobie przed karczmą, która jak raz w połowie drogi od domu Jędraszka do Starosty leżała. Folgując przeto kaprysowi gniadosza, Janko się zatrzymał, a uwiązawszy go u okiennicy, wszedł zwolna do izby zadymionéj od lulek. Trafił właśnie w téj chwili na zażarty spór, który jak miarkował z twarzy dwojga zwaśnionych, toczył się był oddawna, między jakimś ślachetką, nieco już podżyłym i barczystym chłopakiem, co to niby z odzieży na leśnego zakrawał. Pragnąc tedy posłuchać o co im chodziło, stanął sobie na boku, a wtedy jeden z nich, to jest niby leśny, a w istocie gajowy, powstał z ławy i rzekł: „kiedy ja wam mówię, że prawda to prawda, a kto by mi przeczył, tego ta pięść nauczy" a kończąc te słowa tak silnie w stół uderzył, że aż stojące na nim półkwaterki pokłon mu oddały, i rozlana wódka zaczęła się sączyć przez szpary pękniętego od tego uderzenia stołu. Wszyscy tedy przytomni, co go otaczali zamilkli od razu, ale ów ślachetka, uparty jak kozieł, powstał również z ławy, i odrzekł mu na to: „Hola Panie Bracie, nie tak straszny djabeł, jak go nam malują, bo i nasze pię-

ście nie są od parady ani też od tłuczenia tylko laskowych orzechów.”

Tem lepiéj, tem lepiéj, zawołał gajowy, bo nie cierpię ścierać się z nierównemi siły.

Widząc przeto Janko, że już bójka za pasem, stanął między niemi, chcąc ich zreflektować, lecz gdy mało baczyli na jego personę, i prawie mu przed nosem, skrzyżowali pięście, chwycił je więc w powietrzu, i tak je uścisnął serdecznie, a czule, że aż dwaj zapaśnicy przysiedli na ziemi.

A to co za niedzwiedź, pomruknął zaledwie mogący przemówić od bólu gajowy, a ślachetka tak struchlał, że nie bąknął i słowa. Rozbroiwszy ich tym sposobem zupełnie, przemówił do nich tak gładko a jasno, że nad podziw wszystkich, ręce sobie podali, a gdy zgodę zawarli, Janko ich zapytał o powody kłótni. Słysząc to gajowy, zaraz tedy głos zabrał i powiedział, jako niedawno przybyły doń krewniak, spotkał się był w drodze z jednym zbiegiem szwedzkim, od którego za udzielenie mu przytułku, powziął był języka, o potędze szwedzkiéj, która dążyła na zagubę polski, i że upór ślachcica, który owéj wieści, niechciał dać wiary i mianował ją kłamstwem i jeszcze wierutném, rozniecił był tę kłótnie. Nie śmiał Janko oponować przeciw gajowemu, bo ów prawił o tém, z takim zapewnieniem, jakby widział

już szwedów, nadto niechcąc waśnić nowo pogodzonych, podziękował jeszcze gajowemu za taką nowinę i pozdrowiwszy ich mile opuścił był karczmę. — Przybywszy potém do dworu, zaraz opowiedział Staroście co słyszał, czém tak ucieszył przytomnego pod ówczas pana Deczyńskiego, nieprzewidującego wcale zbyt okropnéj klęski, jaką ta nowina późniéj na Rzeczpospolitą ściągnęła, że aż się rzucił Jankowi na szyję i w cały głos zawołał: Ej to dla nas gratka, boć mi już za katy zardzewiała szablica.

Tym czasem wieść owa o zbliżaniu się szwedów co raz więcéj a więcéj stawała się głośniéjszą, i Janko zaczął dumać o wojaczce a sławie, do czego tak przywykł, że jeno Szwedzi chodzili mu po głowie jako robactwo po ogrzanym trzonie, a przed oczyma snuły mu się chorągwie, jak ćma wśród lata pod wieczorną godzinę.

Nareście ziściły się owe mniemane pogłoski, i dnia 12 Czerwca 1655 r., wojsko szwedzkie wkroczyło do polski. Siedział pod ówczas na dzielnicy Jan Kazimierz Syn Zygmunta III, a na tronie Szwedzkim Karol Gustaw; co to mimo sprawiedliwych domagań naszego króla jako najwłaściwszego dziedzica wydartéj Ojcu swemu korony, przywłaszczył sobie berła szwedzkiego dzierżawę. Wtargnienie tak potężnego wojska do polski, zachwiało umysły jednych, a zastra-

szyło drugich, i miasto obrony, otworzyło nieprzyjacielowi pole do sławy, nie bacząc na drogę po jakiéj ją zbierali. Omamiony tak pomyślnym szczęściem Karol Gustaw, przybył sam do polski, witany wszędzie a podejmowany z taką uprzejmością, jak gdyby on był jakim obrońcą, a w swoich wojskach, posiłki nam prowadził.

Gdy tedy większa część panów polskich i ślachty opuściła ręce i oddawała pokłon Karolowi, i gdy nawet wyprawione do niego od Jana Kazimierza poselstwo, o ustąpienie z kraju Polskiego, który najechał bez żadnéj przyczyny, nieodniosło pomyslnego skutku, jeden tylko podówczas, wsławiony późniéj wielkiemi czynami, pan Stefan Czarniecki oboźny koronny i kasztelan Kijowski, poparł stronę swego Króla i umyślił stawić czoło owemu nieprzyjacielowi.

A jako pan Starosta, zawsze był gotów do obrony kraju, to i usłyszawszy o zamysle pana Czarnieckiego, a niemogąc sam dla podeszłych lat podzielać z nim trudów, postanowił tedy uszykować ze swych dworzan a pachołków, chorągiew, i wyprawić ją pod rozkazy pana Stefana. Naradziwszy się przeto wspólnie z panem Rotmistrzem, polecił mu wykonanie owego zamiaru, o czém jak tylko posłyszał Janko, tak się uradował, że upatrzywszy sobie chwilę sposobną, bieżał już był do panny Starościanki

czemprędzéj, aby jéj przed odjazdem, mógł chociaż napomknoć o swych szczerych affektach, lecz wytropiony będąc przez Rotmistrza i zapytany dokąd by pośpieszał, tak straszliwie stchórzył, że miasto konkurów zawrócił był do stajni, a założywszy wiązkę siana swemu gniadoszowi, którego już sobie był upatrzył na ową wyprawę, przytulił się do niego, i jakoś na rozweselenie taką sobie zaśpiewał piosnkę:

Hej mój gniady, białonogi,
Rzucaj pełny żłób,
Bo już dawno czas na wrogi,
Dawno czas na łup.

Będziesz ty mnie niósł jak strzała,
Mimo pól i wód,
A choć dla mnie będzie chwała,
Dla cię znój i trud.

Będziesz nieraz łaknął sianka,
Skubiąc zgniły mech;
I z pragnienia, od poranka
Aż do nocy schł.

Lecz gdy zato, Bóg na wroga
Ześle kary grom,
Ja pochwalę pana Boga
I wrócimy w dom.

Tak sobie nucił nasz Janko w stajence, a okna stajenki wychodziły na ogród, gdzie właśnie pod ówczas, przechodziła się panna Starościanka, zbierając fijołki a rozliczne kwiatki, by w nie jako tako mogła przybrać komnatę. Usłyszała śpiew Janka, a usłyszała po raz pierwszy, a chociaż ów śpiew, był tak czysty a prosty jako ona sama, zadrżała jednak, i długo, długo potém wróciwszy do dworu nie mogła go sobie wybić ni z głowy ni z serca.

Tym czasem pan Rotmistrz, nie zaspał poruczonego mu obowiązku, i na trzeci już dzień wyszykował należycie chorągiew. Zaprosiwszy tedy Starostę wraz z córką na ganek, kazał wrota otworzyć, i na dany znak, wjechała chorągiew, złożona z pięćdziesięciu, i to dziarskich chłopaków. Na czele onéj po prawym skrzydle, widać było Janka, bo pan Deczyński znając jego rzeźkość a do tego roztropność, osądził za rzecz słuszną, nadać mu pierwszeństwo. Janko też dumny z owego zaszczytu, co raz to zakręcał wschodzące wąsiny, co to przy Rotmistrzowskich, jako żaki przy bakałarzu, wyglądać się zdały. Starosta widząc wszystko w należytym porządku, złożył panu Rotmistrzowi, serdeczne podzięki, i nietylko jego, ale nawet i pana Janka zaprosił do komnaty na roztruchan strzemienny. Tam tedy wychyliwszy po ogro-

mnym puharze, za pomyślność Rzeczypospolitéj a zdrowie wielce miłościwego im Króla, wysłuchali jeszcze długiéj bardzo oracyi, w któréj im Starosta jako dawny wojak zdrowych rad udzielił. Przy samém już wyjściu, Starosta wskazał ręką na Marysię, dając do zrozumienia P. Deczyńskiemu, że byleby chciał jeno, może teraz przez wierność a odwagę swoją, utorować sobie drogę do jéj serduszka. Zrozumiawszy to Rotmistrz, przystąpił z wielkim respektem do ucałowania ręki panny Starościanki, co téż widząc Janko, a mając do tego dobrą porcyą w czubie, uczynił toż samo, ale gdy panu Deczyńskiemu nie udała się wcale ta śmiałość dworusa, i chciał go zato wzrokiem przerazić a zgromić, Janko właśnie téż struchlał, ale nie z obawy, jeno z wielkiéj radości, bo puściwszy rękę panny Starościanki, uczuł z podziwem, że mu coś zwiniętego nakształt świstka papieru, pozostało w dłoni. Alić nie stracił wcale jeszcze zmysłów, i tylko z taką mocą ścisnął zwitek w ręku, jakoby już trzymał całe ziemskie bogactwa. Tymczasem inni, a zanim też i Janko wyśli byli z komnaty, a gdy pan Deczyński i Janko, już nie dworus, a towarzysz chorągwi, dosiedli swych koni, Starosta wzniósł oczy pełne łez do nieba, i przyklęknąwszy wraz z swoją Marysią, błogosławił odjeżdżającym

dopóty, póki ich zupełnie niestracił z oczu. Owoż łza tylko pociekła po licu, a w sercu i chacie pozostała tęsknota, i dotąd w ciągłéj niepewności tlała, dokąd szabla dzielnego Stefana, trzykroć na karkach szwedzkich zaostrzona, i łzy nieobtarła i synów Kazimiérza nierozochociła do poprawienia na nowo czupryny.

IV.

A Pan, lud swój wybrany, zajął jako owce,
I wyprowadził z błota na inne manowce.

J. Kochanowski.

Hola! Hola! panie Pawle, zawołał poorany wiekiem ale jeszcze rzeźki i dziarski staruszek, który pod wielkim na podwórcu kasztanem, sadzonym jeszcze ręką pradziada, wraz z całą rodziną a przyszłemi podporami siwizny przysłuchiwał się pilnie owéj Pawła gawędzie, wydobywając z zapiersi jakieś święte szkaplerze, dane niegdyś jako zwitek Jankowi od Maryi, przy pierwszéj wyprawie za najazdów Szweda. Tak panie Pawle, jeszcze raz hola, bo dopokąd prawiliście mi o miłostkach i pokoju, ustąpiłem wam placu, ale dalszy byt Janka to już do mnie należy, bo i ja go znałem zniemała.

Nieprzeczę temu odrzekł na to pan Paweł, ale znam was dobrze, bo nie pierwszy dzień słońce świeci nam wspólnie, i dla tego chcę mówić, bo wy mu nieoddacie ani téj sprawiedliwości, ani tego poważania, na jakie późniéj, w tak smutnych i krytycznych potrzebach zasłużył.

Niepotrzebuje on już teraz tego, robił bowięm to, co powinien był robić, i dla tego wam jeszcze raz przerywam mowę, biorąc na siebie dokończenie.

Smutno się jakoś zrobiło Pawłowi, bo on kochał Janka jak swojego brata, i z duszy pragnął, aby nietylko on sam, ale cała ziemia była świadomą jego czynów wojennych a prawości serca. Nie śmiał jednak przeciwić się poczciwemu staruszkowi, który korzystając z zadumania jego, w te słowa rozpoczął swe opowiadanie:

— Ciężkie, oj ciężkie były to czasy, kiedy ów mądry a potężny Karól, z massą swoich szwedów, najechał nas z zamorza; — i gdyby nie nasz Hetman pan Stefan Czarniecki, po którym tak świetne zostały wspomnienia, o jakich nam się niemarzyło po głowie, Bóg wie coby się znami było stało. Otoż po rozlicznych a więcéj szczęśliwych niż smutnych potrzebach, prowadzonych pod okiem i orężem Jego, a mianowicie już po ostatniéj, jak mi się zda być pod

Trzemeszynem kiedyśmy z dywizyą naszego Hetmana i Krymską hordą, tak wycięli szwedów, że jak owo mówią ani zwieściciel klęski niepozostał, wtedy ów Janko nie już jako szlachcic, nie jako dworak, a następnie wiarus, ale jako chorąży powrócił na spoczynek do rodzinnéj zagrody.

Oj jakżeście mu obcięli panie Bracie wojaczkę, zawołał zniecierpliwiony tym krótkim zarysem pan Paweł, a przecież to ona, przecież ta wojaczka była stworzycielką jego mienia, fortyny, onać mu to przecie przyniosła to wszystko, co tylko posiadł po powrocie do chaty, i owoż dla tego trzeba było wam przecież pobujać cokolwiek po owych potrzebach, w których albo pod skwarnym wypiekłszy się słońcem, albo skąpawszy się po uszy wraz ze swoim gniadoszem, gdy za panem Czarnieckim wpław przebywał wody, gonił i rąbał tych czerwonych biesów, że aż kadłuby po polu gubili. Oj nie w porę mi wcale ta wasza ochota do opowiadania, jam sobie tak fertyczny ułożył był planik a wyście mi wszystko na raz popsowali. Wreście co się już stało, to się nieodstanie, ale co wam nie mogę puścić bez przymówki to opuszczenie owych okazyi, w których po tyle razy nasz poczciwy Janko zasłonił swojém życiem życie Deczyńskiego swego pona Rotmistrza, mimo za-

wiści jaką miał do niego za wzdychanie do serduszka pięknéj starościanki.

I wnet oba staruszkowie zerwali się z ławy i rzucili się na siebie w szczerem rozczuleniu, dzieci przerwały natężoną uwagę, matka połączyła łzę swoją z ich łzami, a słońce o krok postąpiło daléj, nim dwaj towarzysze osiwiali w boju pofolgowali i łzom i uściskom. I nic w tém dziwnego: pan Paweł był nie kto inny jak Rotmistrz Deczyński, rzeźki starzec pan Janko, a jego rodzina, panna Starościanka i małe potomki, któremi ich Pan Bóg po ślubie obdarzył. Tylko pan Jędraszek i sam pan Starosta spokojnie od lat kilku spoczywali w grobie.

Sciśnięcie dłoni, zakończyło scenę po któréj nastąpiło zadumanie spokojne i westchnienie w niebo.

Piękna pobożność, piękniejsza cnota, a piękniejszem nierównie, wspomnienie.

K. Kucz.

WESPAZIAN
Z KOCHOWA
KOCHOWSKI.

Lutni moja ulubiona!
Lutni wdzięczna, złotostrona!
Kto twe cnoty, kto przymioty,
Kto wychwali dzwięk twój złoty?

Liryków p. 250.

Niezbyt odległą jest od nas epoka w któréj żył ten znakomity pisarz dziejów i Poeta polski, zaledwie jedném od nas przegrodzony stuleciem; a jednak o życiu jego żadnych nie mamy wiadomości. Nawet od troskliwego zbieracza żywotów Niesieckiego, nie więcéj się dowiemy nad to, że był Wojskim krakowskim, i że na wyprawie pod Wiedniem przeciw Turkom mężnie stawał. Nie on przecięż sam jeden temu uległ losowi, że wchodząc w poczet lepszych pisarzów, i to jeszcze w czasie kiedy język i nauki

w największém były u nas zaniedbaniu; w nikim bliżéj niego żyjącym nie zatliła się chęć, aby wiadomość o życiu jego niepamięci wydartą została.

Urodził się Wespazyan Kochowski około r. 1633. (*) z ojca Jana Kochowskiego herbu *Nieczuja*, Podsędka sandom., Sekretarza J. K. M. Rodzice jego zamieszkiwali w Wojew. sandom. w dziedzicznéj wiosce zwanéj Gay, w pobliżu góry Łyséj czyli klasztoru Benedyktynów S. Krzyża, w którym rodzina Kochowskich grób miała familijny. Ojciec jego już żył w r. 1663, w tym bowiem czasie synowie dzielili pomiędzy sobą ojcowskie włości, i w tym roku Wespazian pisał wiersz pożegnalny opuszczając rodzinne gniazdo, pełen tęsknoty za kniejami gór świętokrzyskich, przeniósł do wsi Goleniowy w Województwie krak. powieciecie lelowskim, przyległéj do Szczekocin, która mu działem przypadła; przy czém narzeka na prawo koronne, według brzmienia których przywiléj obierania części z majątku ojcowskiego, młodszemu służył.

W rodzeństwie swojém, był najstarszym zpomiędzy trzech braci. Po nim idący Seweryn

(*) W przedmowie do *Annales poloniae Clim III.* które wyszły z druku roku 1698 liczy sobie lat życia 65.

poświęcił się stanowi wojskowemu, i w młodzieńczym prawie wieku, za powrotem wojska z Węgier w czasie wojny szwedzkiéj, umarł w r. 1657 w miasteczku Biecz, a wczesny zgon jego Wespazian pięciu trenami opłakał, (*Liryk p.* 133). Najmłodszy brat Jan, dziedzic po ojcu wioski Gay, którego on w Lirykach p. 243. wspomina, mieszkał potym w Moskorzowie w krakowskiém, a prócz tego była jeszcze i siostra imieniem Anna.

O latach młodości jego, ani gdzieby nauki odbył, nic nie wiemy, lubo tuszyć należy że się w krakowskiéj Akademii kształcił. Sam o sobie mówi, że kąpiąc się w rzece Pilicy około Sulejowa, o mało nie utonął, i tylko cudowi uratowanie życia pobożnie przypisuje (*Lir. p.* 113.) Za panowania Króla Jana Kazimierza służył wojskowo przeciw Szwedom i Kozakom (*Bent.* I *p.* 296.) Później zawarł związek małżeński, i z żony Maryanny któréj nazwisko familijne niewiadome, miał syna Hieronima Franciszka, którego do obrzędu chrztu S. dnia 16 Października roku 1674. podawał Franciszek z Pilicy Koryciński z Miszowską właścicielką rządzy, a chrzcił go X. Stefan Łodziński Officyał pilicki. (*Metryka Parafii Goleniowskiéj*).

W owym wieku, gdy zbytek i za nim idące zepsucie jeszcze nie wcisnęły się były pod dach skromnego dworca ziemianina polskiego, gdy

każdy z nich otoczony rodziną, sąsiedztwem i ludem włości swojéj, wiódł życie do patryarchalnego zbliżone, i w szczupłym zagrody swojéj zakresie, szukał szczęścia i takowe znajdował; i Wespazian Kochowski mieszkając w Goleniowy na łonie skromnéj prostoty, używał spokojności oraz błogiego i niezawisłego bytu, o czém na wielu miejscach Liryków wyraża się. Tamże wystawił sobie dom nowy z drzewa, i daleki zbytku skromnie takowy ozdobił, jak mówi *Liryk. p.* 305.

Nie łaje mej marmur nodze,
Bo go nie depcę w podłodze;
Choć stropy nie pozłociste,
Dość sumienie jeśli czyste.

Choć nie wisi lanczaft nowy
Na méj ścianie Rubensowy,
Konterfetów też nie wiele,
I nie dzieło Dollabele;
Lecz szpalery na me ściany,
Zawsze umysł niestroskany i t. d.

Ograniczonemu w pragnieniach, przestającemu na małém, ojczysty spłacheć ziemi dostateczne dawał utrzymanie, a pomny że przy mierności szczęście mieszkanie zakłada, próżen zazdrości śpiewał:

Mnie lubo szczupłą miarkę szczęście dało
Doczesnych fortun; w tém się dosyć stało
Że niechcę więcéj. (*Lir. p.* 34.)

Panie! i za to dziękować ci trzeba,
Żeś gębie mojéj dał dostatek chleba.
Dosyć mój Panie! i za toć dziękuję,
Więcéj nie pragnę, tém się kontentuję.

Niwo ma! niwo, skibie ziemi plenny,
Ty coraz wieniec żytny, także pszenny,
Spokojnie na méj gdy położysz głowie,
Za fraszkę wasze korony, Królowie! (*Lir. p.* 95)

Czas zbywający od zatrudnień rolniczych, poświęcał naukom, a życie ziemskie przeplatał obcowaniem z Muzami, i w zaciszu wiejskiém dzieła swe pisał (*). Niesiecki i Bentkowski idąc za jego własném oświadczeniem się w przedmowie do trzeciego Klimakteru, czternastu dzieł przez niego wydanych tytuły wypisują, a z tych niektóre bez-imiennie z druku wyszły. (**) Z po-

(*) Dzieła jego a) *Chrystus cierpiący etc.* b) *Ogród Panieński* wierszem, które dopiero roku 1681 z druku wyszły, już kilką laty wcześniéj ukończone były. Na autografach obu tych dzieł, które posiadam, zapisana jest data *Goleniovii, Rure meo paterno A.* 1676.

(**) *Jam hic et nunc protestor, me omnia scripta tam publici Juris per praelum facta, et jam ad praesentem A* 1698 *quatuordecimum prodit opusculum, quam adhuc dum in fragmentis domesticis existentia etc.* (Clim. III).

między dzieł jego w Poczyi najznaczniejszém jest *Nieprożnujące próżnowanie* (Liryki) roku 1674; a w Dziejopisarstwie *Annales Poloniae*, obejmujące dzieje panowania Króla Jana Kazimierza, w 3ch Tomach które Klimakterami nazwał, wydane w Krakowie roku 1683 — 1698 *in folio*. Tom zaś 4ty, obejmujący panowanie Michała, od roku 1669 do 1673, dotąd nie drukowany, znajduje się w rękopiśmie w niektórych Bibliotekach tak krajowych jak zagranicznych, jak np. w Dreźnie.

Dawid Braun, surowy oceniacz pisarzów polskich, takie o téj pracy jego (*Annales*) pochlebne dał zdanie: „kto rzeczy a nie słów ciekawy, ten Historyą Kochowskiego znajdzie sprawiedliwą i dostateczną:" a sąd Brauna nie jest podejrzany, gdyż ten rzadko o którym autorze polskim w sposób pochwalny wyraził się. — Równąż dziełu temu zaletę przyznał w kilku słowach dobry sędzia płodów naukowych, Dantiscus, który wyrzekł: „Kochowski wiele zalet ma w sobie. (*Myśli o pism. pol. p.* 9)," — a Łuk. Gołębiowski mówi o nim, że poczet pisarzów XVII wieku na nim się kończy, a on między nimi do najpierwszych policzonym być winien, (*O dziej. pols. p.* 148).

Załuski *Biblioteka etc.* i inni, wspominają o jego rękopismach, które z druku nie wyszły.

Bentkowski Tom I. pisze: „O Poczyi Kochowskiego powszechne jest zdanie, że wiele w niéj widać mocy i poetycznego zapału; lecz bardzo często postrzegać się daje brak czystości języka i wykształconego smaku.” — W zarzucie tym, jakkolwiek sprawiedliwym, to przemawia za Kochowskim, że to była wada powszechna, nie pisarza lecz wieku, bo żył i pisał w tym czasie kiedy język polski wiele już zdawnéj czystości utracił i łaciną był skażony. Juszyński, (*Dykcyonarz Poetów*), w przywiedzionych przykładach wykazuje, z jaką łatwością pisał wiersz różnéj miary, i twierdzi: że tylko czystości języka brakuje aby pieśni jego, wzorową poczyą liryczną nazywać się mogły.

Przy innych zaletach skromność była nieodstępnym Kochowskiego przymiotem: nie ulegał on bynajmniéj zarozumieniu o sobie, choć tylu płodami pióra swego niwę ojczystych nauk zbogacił. W przedmowie do 3go Klimakteru wyraża się: „Nie autorem lecz tylko pisarzem dziejów być się mienię. Kamienie i drzewo z innéj odbieram ręki, a tylko wzniesienie budowli i kształt jéj, mojém są dziełem. Dla tego przecięż ani tkanina pajęcza z tąd jest szacowniéjsza, że ją z siebie wysnuwa: ani praca moja dla tego poślednićjsza, że ją wzorem pszczół z cudzych zapasów brałem.” Również nieśmiale

trzyma on o swéj Muzie, którą sam nieudolną być mieni, a wyliczając rodzaje wierszów w których pióra doświadczał, księgę Liryków tak zakończył:

A ja pługa gdym dozorny
Wiersze piszę, zaczém
Trudno ma być wiersz wyborny
Przy dziele wieśniaczém. (*Lir. p.* 376)

Niewdzięcznéin bywało u nas powołanie autora: nietylko że nie przynosiło korzyści, ale często sprowadzało jeszcze nienawiść i prześladowanie. Doświadczył tego i Kochowski, gdy z powodu dzieła jego *Nieprożnujące próżnowanie*, Akademia krakowska processem obłożoną była, który Autorowi niemało sprawił przykrości. Gdy dzieło do druku pójść miało, podał je tenże do cenzury duchownéj X. Kucharskiemu Kanonikowi krakowskiemu, który je odesłał do Rektora Akademii X. Szymona Makowskiego, a ten je przejrzał, wiele wykreślił (*), znacznie odmienił, a w reście drukować pozwolił. Wła-

(*) W obronie swéj (o któréj niżéj), pisze Kochowski, że X. Makowski prawie trzecią część Epigramatów odmienił i wykreślił. Może z tych i podobnych, urosł rękopism o którym Załuski i Bentkowski wspominają: *Ogród ale nieplewiony, bróg ale co snop to innego zboża, kram rozlicznego gatunku* etc.

dza dyecezyalna pozwała potym Akademią, iż dzieło w którém jest wiele rzeczy lekkich drukować pozwoliła (*), i chciała ją z tego względu pozbawić władzy udzielania cenzury. Sprawa wytoczyła się do Rzymu, zkąd ją do Nuncyusza w Warszawie będącego odesłano. Bronił Rektor praw Akademii obstając przy dawnych jéj przywilejach, i dobry się processu okazał skutek, tém bardziéj gdy i sam Kochowski obronę wypracował, w któréj między innemi pisze: „Ile do książki, w téj nie wiem coby tak śmiertelnego było, żeby aż ogniem oczyścić się miała. Z dawnych czasów nie tylko jéj wolności poetyckiéj nie ganiono, ale i owszem chwalona była zwłaszcza w narodzie polskim te *jovialitates* żartów, i w posiedzeniach przyjacielskich bawiące rymy, miejsce miały. Pisał Jędrzéj Krzycki Arcybiskup gnieźń. Epigrammata, Jan Kochanowski, Miaskowski, Rey, Jagodyński, Wojc. Inez Jezuita: i teraz mężowie w Senacie kor. siedzą, którzy się takiéj w młodszym wie-

(*) Zarzut takowy odnosił się do Fraszek etc. których treść do swych widoków stosowano. — Dekret Legata pap. Frenciszka Matelli Arcybiskupa Koryntskiego, od Innocentego XI. do Króla Jana III. który tenże wydał w téj sprawie d. 25. *8bris* r. 1676. w Warszawie, obejmuje w treści i akt oskarżenia, a w nim zarzuty przeciw książce, że zawiera w sobie: *multa obscoena et turpia*, ac *famam et honorem multarum personarum tangentia* etc.

ku nie wstydzą zabawy. Nie wiem jednak, aby kto zpomienionych na tak *severam crisim* przychodzić miał, jaka mię teraz potyka. I owszem, Maro nasz polski Jan Kochanowski, poemata swoje wielkiemu Senatorowi Piotrowi Myszkowskiemu Biskupowi krakowskiemu, surowemu przystojnych obyczajów cenzorowi, przypisał." (*Rękop.*)

Instrukcya którą w téj mierze dało Województwo krakowskie posłom swym na Sejm r. 1676, zawiera między innemi: „Więc za przypozwaniem Akademii krak. o xiążkę *Lirycorum* do JX. Nunciusa, JP. Wespazian Kochowski autor jéj musi znaczną honoru swego ponieść skazę; tedy to zlecamy Jmć PP. posłom naszym, aby serio z JX. Nunciusem znieść się raczyli, jakoby takie *praejudiciosa* stanowi ślacheckiemu w sądach JXMci nie stawały, i honor ślachcica tego, krajowi dobrze zasłużonego, aby w całości utrzymany był."— Po takiém objawieniu się życzeń ślachty krakowskiéj, Prymas Królestwa łącznie z Nuncyuszem, uwolnili X. Makowskiego od napaści, którą Andrzéj Trzebicki Biskup krak. z poduszczenia Jezuitów przeciwko niemu wymierzył.

Kochowski zaszczycał się tytułem Podkomorzego i Diejopisa królewskiego (*Cubicularius et Historiographus S. R. M.*) i z tego zapewne po-

wodu wskazany sobie miał dochód roczny na żupach Wielickich. W bezkrólewiu po Janie III kommissya żupna r. 1697, przyznała mu ten dowód względów królewskich: „Odezwał się do kommissyi naszéj JP. Wespazyan Kochowski, i okazał prawo na pensyą tysiąca złot rocznie, od ś. p. Króla Jana III sobie konferowaną; komissya uważywszy cel łaski i hojności J. K. Mci w uznaniu zasług tak godnego człowieka, który między innemi i *Annales* wieku naszego pisze i nie bez kosztu do druku podaje, przez co potomkowie nasi wiadomości rzeczy publicznych nabywać będą mogli; przeto za nader słuszną rzecz osądziliśmy, JP. Kochowskiego nie tylko utrzymać prawem dożywocia przy téj pensyi, i onę do pensionarza dla lepszéj pewności wprowadzić, ale jeszcze i przyszłemu da Bóg szczęśliwie panującemu, tak publicznie jak prywatnie polecić go, aby znakomite jego cnoty i zasługi hojniéj jeszcze opatrzonemi były.”

Zgon jego uprzedziła małżonka, która umarła w Krakowie na końcu r. 1696; on zaś sam w krótce za nią pośpieszył i dni krajowi oraz naukom zasłużone zakończył w uroczystość S. Trójcy roku 1699 w Krakowie, gdzie i ciało jego pochowane jest, lecz miejsca spoczynku zwłoków wyśledzić nie mogłem.—Krótko przed śmiercią, zostawił on pamiątkę pobożności swéj i mi-

łości bliźniego w fundacyi szpitala przy kościele w Goleniowy, na pięciu wysłużonych i wypracowanych włościan, i uczynił stosowny zapis na widerkauf, w Grodzie krakowskim w Sobotę po oktawie Bożego ciała r. 1695; którego to szpitala ordynacya przez niegoż samego sporządzona, w Archivum kościoła wsi Goleniowy utrzymuje się.

Nad zakrystyą kościoła włości jego, znajdował się niegdyś starocześny jego portret, który Król Stanisław August gdy w roku 1787 Kraków odwiedził i w Szczekocinach w domu Urszuli z Morstinów Dembińskiéj Starościny olbromskiéj dni kilka gościł, do Warszawy zabrał, a na miejsce jego kopią nadesłał; i ten portret dotąd jeszcze w kościele goleniowskim widzieć można. — Wizerunek zaś jego znajduje się przy niektórych exemplarzach jego Liryków.

Ambr. Gr.

ROZMAITOŚCI.

Koncert Szopena w Paryżu przez Liszt'a.

W poniedziałek o godzinie ósméj po południu, sale Pleyel'a były rzęsisto oświecone; przed przysionek, którego wschody pokrywały kobierce i ozdabiały wonne kwiaty, zajeżdżały liczne powozy napełnione najwytworniéj ustrojonemi damami, najmodniejszą młodzieżą, sławnemi artystami, bogatemi bankierami, najznakomitszemi magnatami, słowem doborem towarzystwa, całą arystokracyą urodzenia, majątku, talentu i piękności.

Wielkie forte-piano stało otwarte na podwyższeniu; tłoczono się naokoło; ubiegano się o najbliższe miejsca, zawcześnie nadstawiano ucha i natężano uwagę, powszechnie bowiem wierzono, iż nienagrodzoną szkodę przyniosłaby utrata jednego akordu, jednéj nóty, jednéj myśli tego, który miał tam zasiąśdź.—Słuszne były powody takiéj skwapliwości, takiéj uwagi, takiego religijnego wzruszenia, gdyż ten na którego oczekiwano, którego pragniono oglądać, słyszéć, podziwiać, uwielbiać, nie był tylko biegłym wirtuozem, fortepianistą doświadczonym w kompozycyi, był to nietylko sławny artysta, był on tém wszystkiém, więcéj jak to wszystko, — był to Szopen.

Po przybyciu do Francyi przed dziesięcią laty, Szopen nie walczył wśród mnóstwa fortepianistów ukazujących się wówczas wszędzie dla otrzymania piérwszego, ani téż drugiego miejsca.— On bardzo rzadko dawał się słyszeć publicznie: charakter poetyczny jego talentu nie zgadzał się z podobnym celem. — Na wzór roślin które rozwijają swe wonne kwiaty tylko wieczorem, on potrzebował spokojnéj i sprzyjającéj atmosfery dla hojnego rozsiania tych skarbów, które się w nim ukrywały. Muzyka była jego mową, mową boską, którą on wyrażał cały szereg uczuć, zrozumiałych dla małéj tylko

liczby. — Szopen'owi, jak wielkiemu naszemu poecie krajowa muza dyktowała swe pienia, pełne tajemniczéj poezyi, która dla prawdziwie ją rozumiejących z niczém się porównać nie dawała. — Jeżeli mniéj sławném było jego imie jak imie poety, jeżeli mniéj świetne promienie wieńczyły jego skronie, to bynajmniéj nie dla tego, że nieposiadał téj mocy w myśli, t. j. głębokości uczuć, jakie odznaczają utwory autora Grażyny, lecz że środki jego wyrażenia się były bardziéj ograniczonemi, jego instrument za nadto niedokładnym, gdyż za pomocą samego tylko fortepianu niepodobna mu było zupełnie się objawić. — Ztąd pochodziło, jeżeli się nie mylim, cierpienie ciągłe i głuche, niejakaś niechęć do udzielania się publicznie, melancholia która się zdradzała wśród pozorów wesołości, nakoniec cała indywidualność odznaczająca się i pociągająca w najwyższym stopniu.

Jakeśmy więc powiedzieli, tylko bardzo rzadko i w bardzo znacznych przerwach Szopen dawał się słyszéć publicznie; lecz właśnie to, coby dla kogo innego prawie niezawodną było przyczyną zapomnienia i zaniedbania, zapewniło mu sławę wyższą nad wszelkie uprzedzenia mody, i uzbroiło go przeciwko współubiegającym się, ochroniło przed zawiścią i niesprawiedliwością. — Szopen, daleki od owego niezwykłego współzawo-

dnictwa, które od lat kilku pobudza naprzeciw sobie artystów ukazujących się na wszystkich punktach świata, zatrzymał przy sobie stronników wiernych, uczniów zapalonych, gorliwych przyjaciół; którzy ochraniając go od walk drażliwych i zgubnych kolizyi, nie ustawali w upowszechnieniu jego tworów, a z niemi i uwielbienia dla jego geniuszu i czci dla jego imienia.

I tak ta wysoka znakomitość, wysoko arystokratyczna, pozostała zawsze wolną od wszelkiéj napaści. — Zupełne milczenie krytyki ją otacza, jak gdyby już dla niéj nastąpiła potomność, i wpośród świetnego słuchaczów grona, które się cisnęło w około poety za nadto długo niemego, ani obojętność, ani téż nieżyczliwość miejsca nie znalazły, wszystkie usta brzmiały samym tylko uwielbienia odgłosem.

Nie przedsiębierzemy tu szczegółowego rozbioru utworów Szopena. — Bez fałszywego wyszukiwania oryginalności, on był samodzielnym, tak w stylu jak w pomysłach. — Myślom nowym on umiał nadać nową formę. — Coś dzikiego i niezwykłego, jakieś piętna rodowe odbiły się w śmiałych dyssonancyach, w dziwnych harmoniach, gdy tymczasem wdzięk i delikatność, stanowiące wyłączną jego cechę, okazywały się w tysiącznych zwrotach, w tysiącznych ozdobach fantazyi trudnéj do naśladowania.

Na poniedziałkowy koncert, Szopen wybrał przed innémi te ze swoich utworów, które się najbardziéj oddalają od formy klassycznéj. — On nie grał ani koncertu, ani sonaty, ani fantazyi, ani waryacyi, lecz preludye ćwiczenia (des études), noktórny i mazurki.—Grając raczéj dla wyborowego towarzystwa niż dla publiczności, mógł się on okazać bez obawy takim, jakim jest w istocie: poetą elegiackim, głębokim, nieskalanym i melancholicznym. — Nie miał on potrzeby ani zadziwiać, ani zachwycać, szukał bardziéj delikatnych sympatyi, niżeli burzliwych uniesień.—Śmiało też możemy powiedzieć, że te współczucia niebyły niekorzystne dla niego. Od pierwszych akkordów powstało między nim i jego słuchaczami ściste powinowactwo. Żądano powtórzenia dwóch ćwiczeń i ballady, i gdyby się nie lękano powiększyć utrudzenie, które się okazywało na bladéj jego twarzy, pewnoby go proszono o powtórne odegranie wszystkich sztuk w programmacie zawartych.

Preludye Szopena są utwory zupełnie oddzielnego rodzaju. Nie są to, jakby można było wnosić z tytułu, kompozycye przeznaczone do grania w charakterze introdukcyi do innych sztuk, są to preludye poetyczne, mające podobieństwo z pomysłami współczesnego poety, które kołyszą duszę wśród snów złotych i podno-

szą ją do krain idealnych. — Godne podziwienia dla swojéj rozmaitości, wypracowania i pokonanych trudności, w drobiazgowym tylko rozbiorze ocenione być mogą. Wszystko się w nich zdaje pierwszego pomysłu i chwilowego natchnienia. — W nich się znajduje ów tok swobodny i wzniosły, który cechuje utwory geniuszu. Cóż mówić o marzeniach, tych drobnych arcy-dziełach, tak pozornie dziwacznych, a jednak tak wykończonych?

„Dobry sonet stanie za długie poemata” — rzekł pisarz który miał powagę w najpiękniéjszym wieku literatury francuzkiéj. — To zdanie w zastosowaniu do mazurów Szopena gotowi byśmy byli posunąć aż do przesady i wyrzec, że przynajmniéj dla nas, wiele z nich starczy za najdłuższą operę.

Po licznych oznakach uwielbienia dla króla koncertu, P. Ernest potrafił pozyskać oklaski sprawiedliwie zasłużone. — On w stylu poważnym, z uczuciem namiętném i czystością mistrzowską, grał elegią która mocne na słuchaczach sprawiła wrażenie. — Pani Damoreau, która miała udział w tym wytwornym koncercie (concert de fashion), była jak zwyczajnie, zachwycającą.

Jeszcze nieco dodamy do tych kilku wierszy, które dla braku czasu musiemy skończyć.

Sława i powodzenie, które wieńczą talent i geniusz, są poczęści owocem przyjaznych okoliczności. — Wprawdzie powodzenie trwałe rzadko jest niezasłużoném. — Lecz ponieważ słuszność jest może najrzadszym przymiotem sądów ludzkich, ztąd bardzo często wypływa, że powodzenie niektórym artystom sprzyja więcéj, innym zaś mniéj nad ich wartość rzeczywistą. — Dostrzeżono, że w peryodyczném wznoszeniu się morza, dziesiąta fala bywa zawsze mocniejszą nad inne; tak i na świecie, znajdują się ludzie unoszeni przez tę dziesiątą falę losu, którzy idą daléj i wyżéj jak inni im równi albo nawet od nich wyżsi. — Te przypadkowe okoliczności nie wspierały geniuszu Szopena; jego powodzenie, chociaż bardzo wielkie, nie doszło do tego stopnia do jakiego miał prawo. — Zawsze jednak powiadamy to z przekonania, iż Szopen nie ma nic do zazdroszczenia nikomu. — Najszlachetniejsze, najsłuszniejsze zadowolnienie, jakiego może doświadczać artysta, czyż nie zależy na tém, iż on się czuje wyższym, aniżeli jego wziętość, wyższym nad swe powodzenie, a nawet wyższym jeszcze nad swoją sławę?

P. P.

O sztukach pięknych w Anglii.

Pan W. B. Sersfield Taylor, wydał historyą Sztuk w Anglii pod tytułem: Wzrost, postęp i teraźniéjszy stan sztuk pięknych w Wielkiéj Brytani i Irlandji — (*The origin, progress and present condition of the fiue arts in Great Britain and Ire Sand* I. — II. V. I.). Wziął się jednak szanowny Autor dowodzić rzeczy, któréj dowieść niepodobna, to jest: że stan sztuk w Anglii nie ustępuje innym krajom. Gdyby chodziło o upodobanie w sztuce, pozwolilibyśmy, że Anglicy w wysokim stopniu je posiadają, iż nawet zamiłowanie pomników jéj posuwają do takiego stopnia, że wkrótce Włochom trzeba będzie jeździć do nich, oglądać dzieła swoich współziomków, przewiezione do galeryi bogatych amatorów. Pozwolić jednak na to, aby malarstwo i rzeźbiarstwo stało dziś w Anglii na stopniu takim jak we Francji i Niemczech niepodobna— Anglicy płacić umieją, ale nie tworzyć. Oto jest sąd Autora o szkołach malarstwa na stałym lądzie — „Każda z nich powiada on, ma swój

odrębny charakter. Najznakomitszą jest Francuzka szkoła, która celuje nad inne poprawnością rysunku w figurach; ale ustępuje Angielskiéj pod względem kolorytu i światłocienia. Belgijska zbliża się bardziéj do Angielskiéj maniery. Niemcy rysują poprawnie, ale zbytecznie wykończają szczegóły; starają się technicznie każdą drobnostkę wyrobić, co ogółowi szkodzi, wykazując niewolniczą robotę. — Włosi w żadnéj z sztuk teraz się nie odznaczają; Hiszpania w smutniejszém jeszcze jest położeniu. W Hollandji, a nawet w Belgii głównem zatrudnieniem malarzy jest fabrykacja dawnych malowideł sławnych mistrzów, których paki całe, corocznie do Londynu przywożą i na nię łapią tych, co mają więcéj pieniędzy niż znajomości rzeczy, i pragną mieć galerją, bo galerje są w modzie.

Jedném z najnowszych utworów Bulwera, jest Komedja jego w pięciu aktach, pod tytułem *Pieniądze*, którą *Réviue britanique* tegoroczne, w całości umieściło. Odmówić jéj nie można komiczności i dobrego pojęcia kilku charakterów, chociaż wątek wcale nie nowy. Szczegółami i wyrobieniem może się utrzymać na scenie; maluje ona nadewszystko charaktery an-

gielskie i Anglików. Jednakże w *Lady Franklin* i *Graves* jest oczewista przesada, której mniej znaczną dozę, mają i inne podrzędne osoby, nawet skądinąd wyborny *Sir John*. Na scenie dzieło to powinnoby się utrzymać i kto wie, czy mimo wszystkiego, co mu zarzucić można, nie przechodzi zaletami innych drammatycznych dzieł E. L. Bulwera.

Leczenie głucho-niemych.

Baron Dupotet w Paryżu, wyleczył już dziewiętnastu głucho-niemych magnetyzmem. Akademia medycyny rozpoznawała sposób jego kuracyi i uznała, że jest doskonały. Skutki tego leczenia prawie cudem się być wydają; gdyż po trzeciéj operacyi słyszało dziecko nietylko każde słowo, ale nawet wymawiało każdą głoskę, którą mu przepowiedziano.

WSPÓŁCZESNA KRONIKA LITERACKA.

WARSZAWA.

Chrystus w obliczu wieku, czyli nowe świadectwa nauk na obronę Chrystyanizmu, Roselly de Lorques z francuzkiego przełożył na polskie J. B. Dziekoński. Warszawa, w drukarni Jana Wróblewskiego T. I. S. str. 318 *rok* 1842.

Kiedy po minionych długich latach, w których starano się wszelkiemi środkami toczyć bój przeciw katolickiéj wierze, za powrotem na tron Francyi starszéj Burbonów linii, gorliwie zajmować się poczęto przywróceniem i umocnieniem religii, mnóstwo książek tchnących jéj duchem, wkrótkim czasie rozeszło się sprawować posłannictwo nawrócenia — z téj to epoki restauracyi pochodzi i niniejsze dzieło. Niezmierna liczba exemplarzy z nadzwyczajną rozkupiona skwapliwością, tłómaczenie jéj na różne europejskie języki, są jasnym dowodem, jak pożądana jak wielkiéj ważności dla gorliwych katolicyzmu wyznawców jest wspomiona książka. Polski jéj przekład, pod względem języka, dokładnego pojęcia oryginału i jasności nic do życzenia nie zostawia.

Krótki zbiór wiadomości dla kończących nauki początkowe ułożył D. Puchalski w drukarni XX. Pijarów 8. str. 349. Warszawa r. 1842.

Książka ta na cztery części podzielona obejmuje w I. *Wiadomości wstępne dla wzbudzenia uwagi*. O poznawaniu rzeczy pod zmysły podpadających, o poznawaniu rzeczy umysłowych, o ciałach i ich własnościach, o potrzebach człowieka, o skłonnościach, zaletach i wadach człowieka. W II. *Wiadomości do oświecenia umysłu potrzebne*: ogólne wyobrażenie o świecie, o zwierzętach i ziemiopłodach, o człowieku, o przeznaczeniu człowieka do społeczności i wynikłych stąd potrzebach, opisanie Cesarstwa rossyjskiego z Królestwem polskiém. W III. *Zasady ukształcenia serca*, o powinnościach i obowiązkach człowieka, obowiązki względem Boga, Rodziców, Monarchy, Panów, bliźnich, siebie samego, o powinnościach człowieka w szczególności. W IV. *o Cnotach*: tu autor zamieścił wykład o cnotach w ogólności, cnoty chrześciańskie, towarzyskie i domowe.

Zbiór ten encyklopedyczny pierwszych wiadomości jest pożyteczną, i wedle przeznaczenia swojego dobrze wykonaną pracą tu dołączona jest także karta jeograficzna Królestwa polskiego.

WILNO.

Narzędzia męki Chrystusowéj, przez X. J Emmanuela Veit, kaznodzieję kościoła katedralnego w Wiedniu, tłumaczył z Niemieckie-

go *X. Stanisław Chołoniewski. Wilno Nakład i druk T. Glucksberga. Tom I. w 8. str.* 311 *rok* 1842.

Sam tytuł wskazuje jasno treść dzieła. Każdy rozdział za napis nosi nazwisko któregobądź przedmiotu mającego związek z męką Zbawiciela: rozprawy jakie autor z tych tematów wywodzi, napisane są w tym duchu, aby dogmatyczno moralne prawdy upowszechnić.

Athenęum pismo poświęcone Historyi, Filozofii, Literaturze, Sztukom, Krytyce i t. d. Wydawcą J. I. Kraszewski. Tom szósty. Wilno Nakład i druk T. Glucksberga. 8. *str.* 296 1841 *roku.*

Jak poprzednie tomy, tak i ten ostatni pierwszego oddziału, celuje w części historycznéj, osobliwie wyborny artykuł *wiadomość o właściwych Litewskich latopiscach*, przez Ig. Daniłowicza. Co do jedynego artykułu w oddziale filozofii, p. t. *Kilka słów o polemice Chrześcijańskiéj*, jest on słaby bardzo słaby, a nawet nie wszędzie loiczny. W dziale Literatury najlepsze utwory są: *Skazka o Wasilisie i Iwanie Gorochu*, przez Romana Podbereskiego, tudzież *Kodeń nad Bugiem*, wspomnienie J. I. Kraszewskiego.

Studja Literackie przez J. I. Kraszewskiego. Wilno w 8. *Tom I. str.* 288 *w drukarni Zawadzkiego roku* 1841.

Książka niniejsza jest pierwszym w swoim rodzaju u nas zjawiskiem. Jest to zbiór kilkunastu artykułów w przedmiotach nauki i sztuki, któremu, jakkolwiek niezbyt może sprawiedliwie nadano nazwisko Studjów, jakkolwiek autor nieustrzegł się w nim pewnych wad i błędów (osobliwie zbyt powierzchownego sądu o rzeczach) to przecież mieści w sobie nie jedną myśl, nie jedno zdanie, pełne zdrowia i prawdy; a sposób łatwy jakim tu wszystko wyłożono, czyni dzieło to prawdziwie pożytecznèm. Szczegółowy jego rozbiór, umieścimy w następnym pisma naszego zeszycie.

Mięszaniny obyczajowe przez Jarosza Bejły 8. *str.* 293 *nakład i druk Teofila Glucksberga Wilno, roku* 1842.

Jeszcze przed ukazaniem się książki wznoszono liczne ku czci tego *arcy-dzieła* pochwalne głosy: głosy przebrzmiały a powszechność w zdaniu nieposzła za jego chwalcami: to co autor mówi o filozofii, literaturze i t. d. jest prawdziwą *mieszaniną*, a raczéj *bigosem hultajskim*: ironia za główną sprężynę przez autora użyta, niedopina celu, bo zbyt rażącemi kolorami powleka obrazy. — Było już wiele recenzyj téj książki powstających na nią z oburzeniem.

INNE MIASTA.

Roczniki Towarzystwa Naukowego Krakowskiego w Krakowie 1841.

Znajomy jest Publiczności szereg 15 tomów Roczników Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, wyszłych od r. 1815—1833 zawierających sprawozdania z czynności tego Towarzystwa, jako też rozmaite rozprawy czytane na publicznych posiedzeniach tego uczonego zgromadzenia. Od roku 1833 przestało Towarzystwo dla braku funduszów wydawać swe roczniki; dziś dopiero budząca się wszędzie około rozkrzewienia oświaty gorliwość, powołuje na nowo do życia to pismo, mające nam być zwiastunem odmłodzonych sił umysłowych w téj najdawniejszéj, a teraz jedynéj głównéj krakowskiéj szkole.

Tom ten mieści w powabniéjszéj niż dawniejsze zewnętrznéj postawie następujące rozprawy: Sprawozdanie ogólne z czynności Towarzystwa, począwszy od jego założenia w r. 1816, aż do roku 1839 p. J. Brodowicza, byłego rektora uniwersytetu i prezesa towarzystwa naukowego krakowskiego. 2. O Grzegorzu z Sanoka, przez Michała Wiszniewskiego, dziekana i professora. 3 O początku, wzroście i obecnym stanie ekonomii politycznéj, p. F. Kojsiewicza, professora. O zapatrzeniu się brzemiennych niewiast, p. Felixa Trojańskiego, med. dra. członka towarzystwa naukowego krakowskiego. 5 O duchu mitologii Greków i Rzymian, p. Kajetana Trojańskiego, teraźniejszego rektora uniwersytetu. 6 i 7 Obraz obserwacyi meterologicznych w r. 1839 i 1840. w obserwatoryum astronomiczném krakowskiém robionych przez M. Wejsse dyrektora tegoż obserwat. 8 Rys życia i prac naukowych ś. p. *Stan. Bohusz Sie-*

sirzeńcewicza arcybiskupa mochilowskiego, metropolity kościołow rzymsko-katolickich w Rossyi, p. J. X. Stachowskiego, professora. 9. O kometach w ogólności, a w szczególności o komecie Halleja, p. Steczkowskiego, dra. phil. 10. 11. 12. 13. O syenitach i dyonitach w okolicach Cieszyna; pomiary bar. Karpat 1840 r. pomiary bar. w kopalni wielickiéj; o podwyższeniu się temperatury w głębiach kopalni wielickiéj, przez Dr. L. Zeisznera. 14 O zasługach Mikołaja Kopernika w astronomi p. Karola Hubego, rektora uniwesytetu. 15 O różnicy, jaka zachodzi między prawem przyrodzoném a nadaném w teoryi umów, p. J. E. Jankowskiego, 16 Statut towarzystwa naukowego krakowskiego, z uniwersytetem jagielońskim połączonego.

Spiewy nabożne dla użytku archidyecezyi gnieźnieńskiéj i poznańskiéj zebrane przez X. B. Bogedain Dyrektora Seminarium nauczycielskiego w Paradyżu 12 str. 216 nakład i druk Stefańskiego w Poznaniu.

Jest to zbiór powszechnie używanych nabożnych i kościelnych pieśni przeznaczony dla użytku szkółek miejskich i parafialnych. Nauczyciele muzyki przy tamecznych seminaryach nauczycielskich *Kotzolt* i *Klonowski* ułożone do nich melodye, drukiem upowszechnić przyrzekli.

Kancyonał czyli zbiór pieśni chrześcijańskich dla użytku chrześcijan wyznania ewan-

gelickiego 8. *str.* 112 *w Berlinie druk Jachneke et kompf. roku* 1842.

Książka ta obejmuje pieśni na rozmaite święta, tudzież modlitwy dla użytku chrześcian ewangelickiego wyznania: cel i wykonanie przynoszą autorowi chlubę: jest nim P. Schwartz Pastor w Łowiczu.

Adept tragedia w pięciu aktach Fryderyka Halma, przekładu A. Kłobukowskiego 8. *str.* 116 *Nakład Milikowskiego druk Sollingera w Wiedniu roku* 1842.

Alchemia, do któréj w wiekach średnich, jako do szczytu mądrości i wiedzy wrzały zapalone głowy, podała w naszych czasach osnowę do wielu romansów i dramatów. — Jest ona i w obecnéj tragedyi *Adept* główną machiną sztuki. *Werner Holm* alchemik w Kolonii, odkrywszy tajemnicę robienia złota, kończy odjęciem sobie życia. Lubo w dramacie tym, nieznajdujemy ani nowych położeń, ani oznaczonego celu, gra jednakże fantazyi w wielu miejscach poetycznym go czyni. Tłumaczenie ma zalety wierności, a niekiedy, lubo bardzo rzadko, przy mocy odznacza się wdziękiem mowy.

Jan Kochanowski w Czarnolesie. Obrazy z końca szesnastego wieku przez autorkę Karoliny i Krystyny. Tomów 2 *z ryciną. Lipsk Nakładem księgarni zagranicznej str.* 345—383 *rok* 1842.

Imie autorki położone na czele tego dzieła, korzystnie o nim uprzedza zaraz naprzód czytelnika, bo znana jest wartość niemała pism jéj dawniéjszych i znakomite zasługi. Przecież Jan Kochanowski nic powiększy wcale ich liczby. Niezaprzeczamy tu bynajmniéj wierności w opisie życia poety, jest ona zachowaną z całą drobiazgową, prawdziwie kobiecą, szczegółowością, ale to niewynagradza braku pojęcia epoki, niewłaściwego kolorytu, którego w malowaniu jéj użyto: słowem historycznéj niezgodności. Autorka niemogła wznieść się do wielkości obranego przedmiotu. Wszystkie obrazy nawiedzione tu są ową ckliwą, słodką wcale nie polską, bardzo francuzką sentymentalnością, która i w innych dziełach jéj uczuwać się daje, a to przez oczewistą sprzeczność z prawdą staje się nudna i ckliwe. Osobliwie sentymentalność ta widoczna w opisie domowego życia naszego wieszcza, kiedy tymczasem w życiu jego ustronném, wyraźnie odbija się coś mocą i energią męzką tchnącego, coś z owego Rzymianina, co rzucając kuralne krzesło swoje, szedł wodzić pług od Rzymu świetnego zdala. Odrysowanie tego charakteru, tego spokojnego, stoickiego męża i okrążającego go wiru czynnego, silnego życia, tych wybitnych, jaskrawych, twardych rysów Zygmuntowskiego czasu, trudném jest zadaniem, i nierównie potężniéjszych wymaga zgłębień. Zdaje się nawet, iż nigdy kobiece pióro podołać mu nie będzie mogło. Autorka nasza mówi wprawdzie we wstępie, że głównym celem jéj była *moralność*,

jednak kiedy do celu tego użyła wielkiego imienia, wielkiéj epoki dziejów naszych, odpowiadać powinna za ich niedokładne mylne oddanie, bo historyą się posługiwać, ani ducha wieku fałszować nigdy, nikomu nie wolno.

Ostatnie rady ojca dla syna 8. *stronic* 374 *Wrocław nakład i druk Wilchelma Bogumiła Korna roku* 1842

Gdyby ta książka chociaż w części, sprawiła taki skutek, jak *Pamiątka po dobréj matce*, byłaby wielkiéj ceny. Czas to pokaże, jednakże spodziewać się należy, że ona zajmie nieposlednie miejsce w liczbie dzieł przeznaczonych do wychowania młodzieży, bo napisana jest z łatwością i prawdą.

Pamiątki historyczne krajowe, zebrał i własnym nakładem wydał Ludwik Zieliński we Lwowie 8. ***str.*** **146** ***druk Piotra Pillera roku*** **1841.**

Książka ta obejmuje: 1. Opisanie aktu samej koronacyi Stanisława Augusta z rękopismu biblioteki Ossolińskich w Krakowie. 2. Ceremoniał Inwenstytury JO. Piotra de Biron 1764 r. 31 Grudnia. 3 Historya prawdziwa Bogdana Chmielnickiego, gdy był pod Zbarażem, i Zborowem. 4 Księga dziejów czyli historye z dyspozycyi i rozkazu przełożonych prowincyi ruskiéj zakonu ś. Bazylego w monasterze lwowskim pod tytułem ś. Jerzgo M. dla pamiątki starożytności

i dawności tegoż monasteru spisane i zebrane. — 5. Primus Truber oraz wiadomości o niektórych drukarniach słowiańskich i dziełach tamże wydanych z rękopismów X. B. Kompaniewicza.

Jest to fabrykacya dosyć śmiała powiastek na poważne imie historyi: ta kuglarska robota nieprzynosi bynajmniéj ani piśmiennictwu chluby, ani autorowi zasługi.

Botaniki ogólnéj roślin jawnopłciowych J. R. Czerwiakowskiego. Zeszyt pierwszy i drugi nakładem autora, 8. str. 752 Kraków r. 1841.

Znakomite prace uczonych mianowicie w Niemczech, daleko posunęły w tym wieku i naukę Botaniki u nas zjawienie się dzieła P. Czerwiakowskiego tem pożądańszem jest dla piśmienności, że bardzo rzadko kto występuje z publikowaniem naukowych książek. Zawiera ona wiadomości z chemii roślinnéj, fizyologii i anatomii roślin, łącząc zarazem terminologią, 2ga część obejmuje sposoby opisywaniu roślin, 3cia zaś 23 systematów czyli układów podaje dokładne wyobrażenie.

Wydanie piękne, wzorowe. Oczekujemy z upragnieniem dalszego ciągu zapowiedzianéj a chlubnéj autora pracy.

POEZYE.

*
* *

Wszyscy kłamią; i kłamstwo tak już spowszedniało,
Że na duszy jak trawa na mogile rośnie —
Kłamstwo jest prawdą, jeśli wyrzeczone śmiało,
Albo niezrozumiale — kiedy w dni swych wiośnie
Młodzieniec kłamie miłość, słowami, westchnieniem,
Albo śmiechem rospaczy, albo łez strumieniem;
Powiadają że kocha — kiedy człek dojrzały,
Zacznie świat durzyć dziwnym słów układem,
Który zwie filozofią, w uniesieniach cały
Mówiąc do serca ludzi, poi głowy jadem —
Gdy do głów mówi, pragnie aby serca spały;
I tak zdurzy człowieka, że ten upojony
Rzuca ziemię i gotów wylecić z nim w strony,

Które mu odmalował na mgle wyobraźni,
I martwemi blaszkami słów ziemskich ozłocił,
Że gotów szukać szczęścia, miłości, przyjaźni,
I szukać wiecznie — tak go rozochocił
Połysk sławy, poświęceń dla dobra ludzkości,
Że jak sam zginie, prace przekaże potomnym,
Aby gmach budowali daléj z jego kości —
Mędrzec ziemski, jest więcéj od wszystkich ułomny,
Najdumniejsze stworzenie z żyjących na świecie,
Myślą i głosem olbrzym — czynem małe dziecię.

L. N.

POMNIKI.

Rzucić blask w oczy do mroku przywykłe,
Ze snu obudzić plemiona drzemiące,
Wbić w księgi wieków imie jaśniejące,
Wywołać z grobów pokolenia znikłe,
Grać pieśń straszliwą, coby duchy żarła,
I tylko z duchem pospołu umarła;

Jest to budować taki pomnik sobie
Jakiego ludzie nie mają na grobie.
I cóż że kamień dłutem wyciosany
Wzniesie dłoń martwa mogile bogacza,
Jeśli go promień bóztwa nie otacza,
Promień mądrości uczczony, przyznany?
Kto wszystko dobro swojego żywota,
Na sercach ludzi wykował, wykryślił,
Ten sobie pomnik tak trwały obmyślił,
Jaki mieć może sama tylko cnota.
Żywy — którego burze nie uszkodzą,
Ani pioruny skruszą i obalą,
Bo przezeń serca wszystkie wraz się palą,
Bo przezeń ludzie do nieba wychodzą.
I jest jak owa niebotyczna wieża
Lub cyple Tatrów w chmurach rozbieżone,
Gdzie tylko Pan Bóg ramieniem uderza
I widzi czoła do siebie zbliżone —
Pamięć mężowi co z téj wieży szczytu
Uderzy głosem w świat wielki, obszerny,
I gnuśne dusze przywoła do bytu,
I wskaże dla nich cel święty, niezmierny,
A głos ten pędząc na serca pustynie,
Takie zeń echo silne wydobędzie,
Że albo zimna krew w żyłach osiędzie,
Albo bieg zmieni i na wspak popłynie.
A imie tego z wysokości człeka
Jak grom przeleci od wieka do wieka,

W setnym, tysiącznym grając pokoleniu —
I świat ję cały nie uczci w kamieniu,
Ale w swéj duszy, myśli rozumieniu.
On sam przywoła tłumy wieloliczne,
On sam usiędzie wpośród nich na tronie,
Choć niewidzialny jeniuszem zapłonie,
A z nim już żaden uwieńczone skronie
Nie wzniesie ludziom na wieki dziedziczne.
Takie posągi gdy się raz zbudują,
Już ich żelazna ręka nieobali!
Bo one mają zbroję nie ze stali,
Ale z krwi, myśli, z ognia co nas pali,
I z cudów jakie światu ukazują.
Kto tym pomnikom czoła nie uchyli,
Kto się zaśmieje dumny wiedzą małą,
Ten niema myśli i w téj saméj chwili
Już mu zwierzęciem pozostać przystało. —
Cześć wam jenjusze! chwała wam mężowie,
Za waszą sprawą świat w uściskach bratnich.
Biada nikczemnym, biada niecnéj głowie,
Sława wielkości, wzgarda dla ostatnich. —

T. Lenartowicz.

ŻYCIE.

Pod słońcem pogodnem przedrzymać wiek cały
Złotemi osłony powściągnąć upały,
I myślą w obłoki nad niebo się wzbijać,
I z wonnych kielichów miód słodki wypijać,
Przemarzyć, przeskakać, młodociane chwile,
Po falach kadzideł jak w kwiatach motyle;
Pieściwie, cudownie, w muzycznych rozdwiękach
Rozpłynąć się duchem po miłosnych jękach;
O jakże to pięknie dla duszy zgnuśniałéj
Wysnuwać swobodnie byt ziemski tak mały:
W kochanki uściskach lubieżnie utonąć,
I dziwić się wdziękom, uśmiechać i płonąć,
A piersią wzniesioną westchnieniem czy szałem,
W niéj tylko swą rozkosz wykrzyczeć z zapałem,
By z chwilką znów dawne rozpocząć dumanie
Jak miłość zdradliwa, jak zwodne kochanie.
I będzież to życiem czy grobem człowieka!

W pośrodku Aniołów i ziemi przelatać,
I nie znać Aniołów i z ziemią się splatać,
A wiecznie jak jednym, tak drugiéj zdaleka.
To nie zwie się życiem, ta sylfów kraina
Tam prędzéj się młodość dziecięcia poczyna.

Nie lubéj całunek, nie napój zlikwory,
Nachylaj wzgorzałe od upału wargi, —
Rzuć miękie posłanie, bogate rzuć kory,
I wypij gorycze bez żalu i skargi:
Lecz niechaj ta gorycz jak anielskie prawo
Rozwinie twe chęci czynienia tak godnie
By zżółci z piołunów — uczciwie, swobodnie,
Wylęgły się kwiaty i cudnie i żwawo,
A taki przywiléj nagrodzi sowicie
Boskiemi uroki tułacze dziś życie.

T. Lenartowicz.

CZŁOWIEK DJABŁEM

I

CZŁOWIEK ANIOŁEM.

Śmiej się gdy nędza płatem odzieży podartéj,
Zatrzęsie w mroźnym wichrze, jęk z piersi wyrzuci,
Jęk cierpki, przeraźliwy, boleścią wyparty,
Coby Szatana wzruszył, ciebie nie ocuci,
Śmiej się z nędzy i bólu — bądź umarłym światu
I rodzonemu dłoni nie podawaj bratu,
Jakbyś larwy piekielnéj karmiony był mlekiem
Drwij światu—to cię ujrzę zwyczajnym człowiekiem.

Lecz jeżeli twe serce inne czucia wzruszą,
Jeśli wzniesiesz do ludzi i myśli i ducha,
A wzgardą ci odpłacą, i śmiechem ogłuszą,
I nikt myśli nie pojmie, wiary nie wysłucha,
Jeżeli świat pożegnasz krwią oblanym czołem,
To nazwę cię nieznanym, cierpiącym aniołem.

T. Lenartowicz.

PIEŚŃ SERBSKA.

Rżysz mój koniu dzielny, siwy,
Wzniosły kark opuszczasz dziś;
I nie wstrząsasz gęstéj grzywy—
Wstrząśnij grzywę, musztuk gryź!
Czy ci źle me ręce służą?
A czy niejesz owsa dużo.
A czy rzęd twój brzydki ci?
Czy twój czaprak nie galowy,
I nie srebrne twe podkowy,
I nie złotem strzemię lśni?
A koń panu odrzekł z trwogą:
Ot dlategom panie rżał,
Że wiatr, tentent niesie drogą,
I dźwięk trąb i broni strzał;
Że twój rumak w złotym rzędzie,
Nosić ciebie już nie będzie,
Że już bliski dziki wróg,
Że on pyszny rzęd zabiera,
I podkowy poodziera
Z lekkich konia twego nóg.

Edmund Znatowicz.

W Imionniku Siostry.

Kiedy wieczorem wyjrzysz ku Niebiosom,
A na ich płaszczu szerokim zabłysną
Miliony świateł, jak oczy poetów,
Któremi czysta patrzy na świat dusza,
Szukaj trzech takich, które w równéj drodze,
Równą przestrzenią od siebie dzielone,
Czysto, wspaniale goreją, bez trwogi —
To trzech Aniołów spojrzenia promienne,
Aniołów Wiary — Nadziei — Miłości —
Ja z niemi zawsze rozmawiam tajemnie,
Jam ich ukochał szczerze i na wieki,
A w zamian za mą ufność w ich opiekę
Mam od nich rady i pociechy źródła,
Które się nigdy wyczerpać nie mogą.
Siostro! jeżeli kochasz mnie prawdziwie,
Przyrzecz mi święcie — że z całym zapałem
Oddasz swe myśli i uczucia swoje
Tym trzem najczystszym, prawdziwym Aniołom.
Niech nam tak zawsze przytomnymi będą,
Jakbyśmy razem przy pogodnéj nocy,

Z swobodném sercem patrząc na sklepienie
Kościoła świata, trzy gwiazdy widzieli,
Które tak silnie i tak równo płoną;
Wiara — Nadzieja i Miłość — te godła
Zachowaj w sercu, wyryj w twéj pamięci
A prawe szczęście dla ciebie zabłyśnie.
Kochaj — Rodziców najpierwéj po Bogu,
I wszystkich potém Anielską miłością,
Niech twe uczucia tak będą łagodne,
Jak światło jednéj z trzech gwiazd na błękicie
I niech tak trwają niezmiennie i stale,
Jak święta Wiara — jak błoga Nadzieja
W sercach uczciwych nieskalanych grzechem.
Módl się! a modły twe niech będą święte
I jasne, jako światło jednéj z tych trzech gwiazd
Które ci w życia mają świecić drodze,
Módl się za naszych Rodziców kochanych,
Proś Stwórcę dla nich o łaskę wieczystą,
W modłach pamiętaj o braciach stroskanych
Rozdziałem z wami smutnym lecz niewiecznym
Wreszcie pocieszaj Rodziców i siebie
Słodką *Nadzieją* co świeci jak płomień
Jednéj z trzech gwiazdek na ciemném sklepieniu
Wielkiéj świątyni Pana Najwyższego —
Niech *Ona* zawsze przytomną ci będzie,
A w każdéj myśli smutnéj i stęsknionéj,
Ona ci ulgę przyniesie prawdziwą,
I błogą przyszłość, jasnem kołem światła
Zakreśli zawsze w twéj niewinnéj duszy. —

Słuchaj jéj także w równéj prawie mierze
Z tamtemi dwiema, a w twém życiu całém
Doznasz najwyższych rozkoszy na ziemi,
Bo kto niewinną i Anielską duszę
Otoczy taką strażą w życia wojnie,
Ten pewno pozna i szczęście na ziemi,
I w przyszłość wieczną nietrwożny pośpieszy:
Bo tam Najwyższa mądrość takich czeka
Z nagrodą wielką, którzy ją czuć mogą.

J. W. K.

DO SPÓŁLUDZI.

Jam cień—mnie ludzie promieńmi są słońca,
A ja im służę za wiecznego gońca,
Biegę w ich ślady, jako cień za ciałem,
Bez wieści, sławy ich cząstką zostałem.
Gnieważ to kogo kiedy pieśń zanuci,
Że mu się echem odbita powróci,
Że czyjaś postać powtórzy się cieniem?
A kiedy słońce zamruży powieki,
Czyż się kto zdziwi cienia utraceniem?
Tak ja odbiegę bez dziwu, na wieki.

F. Z.

PROŚBA

. . . .

Nie mnie życia kwiaty,
Nie mnie przyświeca dzień złotem czołem.
Smątne grobu szaty
Żywy naciągnołem.
Niesmaki życia moim są żywiołem,
Mojém światłem lepsze światy!

. . . .

S. G.

Pierś moja pełna ziemskiego przeszytu
Chciałaby wciągnąć otchłanie błękitu!
Lub jedném tchnieniem stopić się w niebiosa,
I zniknąć z ziemi jak zaranna rosa!
Jak kropla rosy pić słońca promienie,
I w ogniach słońca czerpać odetchnienie!

Duch mój na ziemi, jak więzień w ciemnicy,
Trawi się zgubną wilgocią tęsknicy!
Co męskiéj woli rdzawi mu ogniwa,
I cały łańcuch żywota rozrywa!

Ojcze! uwolnij więźnia z kajdan ciała.
By dusza moja — cząstka twéj boskości,
Patrząc na męki twéj dziatwy, ludzkości,
Nakształt Nioby wraz nie skamieniała!

F. Ż.

ŁASZCZÓW, ŁASZCZOWIE, I UCZENI ŁASZCZOWSCY.

Piękne są kraje Czerwonéj - Rusi, rozległe jéj pola przerznięte wzgórzami, lasami, potokami, zasłane smugiem łąk i dolin w zwężonych lub rozszerzonych przestrzeniach, w położeniu jednakże nieprzerwaném, indziéj zasiane bielejącemi wzgórkami kamienistéj opoki lub martwym olbrzymich głazów grzbietem, zachowały niejakí właściwy sobie wyraz przyrody, odrębną lecz dosyć wybitną powierzchowność. Tę różnicę, wyjeżdżając z Mazowsza i Podlasia snadno ujrzy podróżnik, wkrótce zaraz po przebyciu wiszącego u łuku nad rzeką Wieprzem mostu, w polach wsi Kosmina. W podobném położeniu, a im daléj tém piękniéj rozciąga się całe dawne

Bełskie, Ziemia Chełmska, i Lubelskie — w podobnych okolicach położone starożytne miasta Lublin, Zamość, Krasnystaw, Dubienka, Chełmn Kryłów, Hrubieszów, Grabowiec, Horodło, Łaszczów, i wiele innych.

Łaszczów miasteczko zawsze małe, nieznaczące od początków założenia swego aż dotąd, z niektórych atoli względów godném się okazuje wspomnienia. Najprzyjemniejsza okolica otacza je do koła, szczególniéj zaś w stronie zamku Wozuczyn. Niewielkie wzgórza, wązko lecz długo i rozmaicie pokrzyżowaném pasmem, ukazują się w oddaleniu — tam gaje skupione w kępy, wyniesione w piętra i smugi ku ługom łąk zielonych, podmyte strumieniami, przerwane gdzieniegdzie rozłogiem piaszczystym lub kamienia, albo szeroko rozlanym stawem.

Z spokojnym, miłującym przyrodę umysłem postępujący zwolna pielgrzym, w lekkim po krętéj dróżce cicho przebiegającym powozie podróżnik, zadumą tu bezwątpienia miło, swobodnie; i dusza jego poczuje błogą słodycz, tęskliwą, lecz nie bez wdzięku w około ciszę, przerwaną tylko śpiewem ptastwa, które mu wnet przypomni, że i on żyje, że nie w dumie, nie w oku szczęście jego spoczywa, by tém silniéj, prędzéj, pogonił za marnym czasem wydzierającym mu czyny jego niedokończone, miłość szczęścia,

szczęścia ludzkości, któréj też wspólne ogniwo spajającą dłonią ma pochwycić. Takich uczuć doświadczałem tu wielokrotnie, i nie sam tylko zapewne.

Łaszczów, o mil 14 odległy od Lublina o 4 mil od Zamościa, w dość znacznéj przestrzeni otoczony jest ze wszech stron łąkami i piasczystą doliną — rzeka Huczew, wązkim jeszcze korytem biegnie kręto i szumi po tych łąkach a tworząc staw rozległy uchodzi daléj ku miastu Hrubieszowu, by połączyć się z Bugiem. Położenie to miasta wśród równin, dawniéj zaś daleko szerszém pasmem wód i rozległemi zawarte błotami, czyni je wielce do ufortyfikowania dogodném — jakoż było ono miejscem obronnem, czego ślady dotąd zachowuje. Łaszczów założony został około r. 1585 przez Aleksandra Łaszcza, w przód (1567 r.) Podkomorzego bełskiego póżniéj zaś (r. 1580) Kasztelana Czerskiego Starostę Kowelskiego i chełmskiego. Łącznie z miastem założył on także mały w stronie zachodniéj zamek, wzmocniony okopem wałami i szańcem murowanym (*) Mąż ten zacny przez długi czas przebywał na dworze polskim za rządów króla Zygmunta Starego. Zdaje się iż posiadał względy małżonki jego Bony, albowiem po wyjeździe

(*) Niesiecki *Korona Pols.* etc, III, 47 Kromer 24.

jéj do Włoch, opuścił zaraz dwór monarszy, nieprzestając atoli zdrową i pożyteczną radą służyć krajowi.

Odtąd Łaszczów stał się główném siedliskiem téj rodziny, i z niego pisać się już poczęli Łaszczowie nie jak poprzednio z *Tuczap*

Dziad Aleksandra, Jan Łaszcz r. 1353 Podkomorzy podolski i Starosta zynkowski, waleczny Tatarów pogromca i zwycięzca, w powtórnéj z niemi potyczcze poległ mężnie na placu boju r. 1457 za kraj swój walcząc. (*)

Łazarz Łaszcz z Tuczamp, syn poprzedniego a ojciec Aleksandra, Łowczy bełzki Starosta tyszowiecki; podobnież silnie się oparł w zameczku swym (zapewne w Tuczapach) Tatarom, ziemię Bełską naówczas pustoszącym.

Aleksander, miał czterech synów: Stanisław zmarły młodo; Marcin mąż wedle Niesieckiego uczony, archidyakon gnieźnieński i sekretarz wielkiego Króla Stefana, zmarły w młodym wieku, pochowany w Łaszczowie; trzeci, Aleksander człowiek rycerski, dał on dowody męstwa w bitwie walnéj pod Tczowem; czwarty, Jan Podkomorzy Bełski, starosta tyszowiecki i chełmski. W roku 1576 był posłem, i krajowi często i wiele bardzo radami się swemi

(*) Niesiecki *Korona Pols.* etc. III. 47 Kromer 24.

przysługiwał. Żona jego Anna z Wielopolskich, spłodziła mu syna Jana. (*Paprocki*).

W roku 1633 dziedzicem miast Łaszczowa i Warężа, oraz wsi Tuczap, Typina, Nabroża i innych, był Józef Antoni Łaszcz biskup, Koadjutor kijowski i czerniechowski, kanclerz kapituły gnieźnieńskiéj, opat witanowski i kanonik krakowski — poświadczają o tém akta miejskie i kościelne łaszczowskie.

Sami Łaszczowie pisali się poszczególnie z Tuczap, Nieledwi lub Obrowca.

Samuel Łaszcz Strażnik Koronny, Chorąży Podolski Starosta owrucki, pierwszy wedle Niesieckiego, strzyżenia (podgalania) wysoko czupryny wynalazca; mąż waleczny i wesołego charakteru, a przytém nie mały ceremonjant, bo przez post cały zanitowawszy zbroję na sobie na gołém ciele w dzień Popielcu, nie zdejmował jéj aż dopiero w sam wielki piątek. Umarł w Krakowie r. 1649; żałując iż w łóżku nie na wojnie. Potocki chwali go z dzieł rycerskich. Stawał on z swoim hufcem w każdéj kraju potrzebie, gromiąc Tatarów pod Kumejkami, Borowicą, Holtewem, Starzyszczem. (obacz Siarczyńskiego, Obraz wieku Zyg. III. T. I. 295.)

Tenże Samuel, skoro się mu syn urodził, zaraz po chrzcie dał go wpisać w poczet żołnierzy kwarcianych, i z sześcią końmi osadnemi

pod chorągiew hetmańską, mówiąc aby był zasłużeńszym żołnierzem niech zaraz z pieluch służyć zacznie. (*Starożytności hist. Pols. Kraków* 1840 I. 273.)

Aleksander Łaszcz Wojewoda Bełzki i Starosta Grabowiecki w roku 1720.

Syn jego Józef, wielkiego majątku dziedzic, nadobnéj powierzchowności ciała i niemałych zalet duszy, atoli pobierając nauki u jezuitów napojony szkodliwym ich duchem obrał był sobie stan księży. Występuje wnet jako Kanclerz archikatedry gnieźnieńskiéj, prezydent Trybunału Koronnego w r. 1730 i powtórnie w r. 1737, wreście sufraganem chełmskim mianowany. Przez cały post były w domu jego otwarte stoły dla pięćdziesięciu ubogich, których prócz tego i jałmużną zawsze opatrywał. W roku 1740 począł był wznosić wspaniałe i ogromne mury kościoła dla jezuitów, których miał zamiar sprowadzić do Łaszczowa wyposażając przytém suto tych lubych nauczycieli i rozszerzaczy... śmierć jednak przerwała mu tak pocieszne zamiary; — Kościół wnet wyrósł we dwie potężne wysokie wieże o mil kilka zdala widziane, lecz nigdy nie został otworzonym, a mili bracia prędko potém zniesieni bullą papieża, i wypędzeni z Polski, niepodążyli nawet korzystać z łask ucznia i dobroczyńcy swojego.

Tyle o Łaszczach. Majątek ich cały przeszedł w ręce Potockich, zapewne przez związki familijne. W r. 1749 dziedzicem Łaszczowa był już Franciszek Salezy Potocki, który tu kościół katolikom wystawił, czy też restaurował, bo ślady w płaskorzeźbie herbu tylko pozostały.

Cellarjusz w dziele: *Descriptio Regni Poloniae etc. Amstelodami* 1659 str. 346; w kilku tylko słowach wspomina o Łaszczowie, przekręciwszy z niewiadomości nazwisko: „Lassczowka civitas supra Thomassoviam versus meridiem."—

J. D. Hoffmana (*De Typographiis Reg. Pol. etc. Dantisci* 1740 stronica czterdziesta ósma) podobnież w krótkości namienia: „Laszczowia oppidum in Belzensi Satrapia, Palatinatui Volhiniae et Lublinensi vicina. A Wengerscio vocatur etiam *Laszovia*. Reformatorum coetus in eo quondam floruit, nec non Typographia, quae sec XVI hic condita esse videtur. Pauci admodum sunt libri, qui ex hac officina in vulgus exierunt."—

Dzisiejszy Łaszczów w obwodzie hrubieszowskim powiecie tomaszowskim położony, w r. przeszłym 1841 liczył w ogóle 1160 mieszkańców to jest: Katolików 124, Uniatów 43, Żydów 993. Od roku 1828 ludność powiększyła się o 202 osób. (*) Rozległość miasta obejmuje $\frac{1}{4}$ mili kwa-

(*) Za udzielenie mi niektórych statystycznych wiado-

dratowéj, z tego zaś pod budynkami morgów 10—grunta niskie, opasane łąkami, ziemia dość urodzajna powiększéj części w polach czarna— użyznia je rzeka Huczew poczynająca się w Podhorcach pod Tomaszowem. Staw wielki rybny zarosły ogromną trzciną miejsce opału zastępującą, rozlewa się pod samém miastem. Lasu prawie zupełny brak, lecz z pobliskości dowożą.

Domów murowanych znajduje się w mieście 11 i ratusz, drewnianych 97, czyli razem domów 108. Zabespieczenie budowli w Towarzytwie Ogniowém wynosi summę Złp. 103,025. Dochody zbyt małe, czynią rocznie złp. 1,494.

Jarmarków odbywa się 10 rocznie — nadto Stanisław August nadał jeszcze dwa targi co tydzień; lecz te zjazdy handlowe wcale są nieznaczące.

Szkółka elementarna założona dopiero w r. 1839 utrzymuje się ze składek obywateli miejskich.

W roku bieżącym założoną także tu została nowa dostatecznie opatrzona i porządnie utrzymywana apteka.

Leży to miasto o mil 14 od Lublina, 4 od Hrubieszowa i Zamościa, 3 od Tomaszowa i

mości o Łaszczowie, niosę podziękowanie obywatelowi Janowi Huskowskiemu prezydentowi miasta tego.

Kryłowa, $1\frac{1}{4}$ od Tyszowiec, 2 od Komorowa, milę od Wozuczyna, od granicy ruskiéj o mil cztery, od galicyjskiéj o półtory; znajduje się na saméj linii pasa granicznego i posiada właściwą kontrollę graniczną. Mieszkańcy wyznań chrześcijańskich zatrudniają się uprawą roli lub rzemiosłem, izraelici zaś miernym dość handlem znajdują się atoli liczne sklepiki gdzie różnego rodzaju towarów krajowych i zagranicznych po niskich cenach dostać można.

Kościół tutejszy Katolicki, jak namieniłem fundacyi Franciszka na złotym Potoku, Kitajgrodzie Krystjanopolu, Tatarkowie etc. Potockiego, wzniesiony w narożnéj stronie rynku, dość ozdobną budową jest zmurowany — obecnie jednak wymaga małéj naprawy. Uposażenie plebana składa się z dziesięciny pienięźnéj i snopowéj, opłat za ceremonje, i, z gruntów ornych a oraz dosyć rozległych łąk; obywateli rolnych (chłopów) wcale tutejszy proboszcz na gruntach swych nic posiada.

Kościół czyli cerkiew *unijacka*, zbudowana jest z drzewa, kosztem parafian w roku 1738 jak świadczy napis nad bramą dłutowany — gmach to mały, nieforemny, w nadwerężonym wielce stanie.

Kościół jezuicki o którym wyżéj namieniłem, rozebrany został przez ostatniego dziedzica Fr.

Łukowskiego. Gruzy i fundamenta widziane dziś jeszcze, świadczą o świetności téj budowy, długiéj łokci 70, szerokiéj 40; grubość murów dochodzi do trzy i pół łokcia zkąd widać, iż wysoko wznosić się pewnie musiały. Dwie wieże przodowe i trzecia najwyższa w pośrodku, gockiego stylu, widziane być miały o mil kilka, jak poświadczają opowiadania starców — wydrążenie na cegłach okazuje rok 1754. Na fundacyę tę jezuitów łaszczowskich nie było żadnego urzędowego konsensu czyli zezwolenia; co zaświadcza dziełko p. t. *Instytucya do Nayjaśn. Stanów etc. przeciw wznowionéj Akademi Lwowskiéj. etc.* 1759 *roku.*

Z klasztoru obok tegoż kościoła wzniesionego, kazał Łukowski przerobić dom mieszkalny, nazwisko i postać pałacu dziś noszący; mury w nim są potężne, stoją na rozległych niezmiernie lochach, które nawet wedle tradycyi mają mieć połączenie w podziemném przejściu pod łąką z lochami starego zamczyska, dosyć ztąd odległego — co częste zapadania i tworzące się ciągle otwory, potwierdzają.

Czwarty kościół w Łaszczowie był wyznania ewangielickiego. Mieszkańcy nic już o nim nie wiedzą; ślad został tylko w niektórych dziełach tutejszych pastorów, co sądzę iż największą chlubą i zaletą Łaszczowa będzie. Niepotrzebne jest

oznaczenie daty założenia i upadku tego kościoła — istniał około r. 1600 i aż do roku 1730. Zdaje się że dopiero zniweczyć musiał tę religijną fundacyę dziedzic Józef Łaszcz sufragan, przyjaciel kochanych jezuitów.

Utrzymywali także w Łaszczowie ci proboszczowie ewangieliccy, piękną i zamożną drukarnię, z której atoli dzieł tylko kilka znajomych jest podziś dzień w bibliografii. Drukarnia ta już od roku 1561 istniała, wedle autora Bibliogr. ksiąg Dwoje (T. I. str. 198), w roku tym *Daniel z Łęczycy* Drukarz przeniósł się do Łaszczowa, ztąd zaraz w roku 1652 do Nieświeża się udał. Najpóźniejsze łaszczowskie druki ukazują się z roku 1630. Później przeniesioną została od Paniowiec dziedzictwa Potockich na Podolu niedaleko Kamieńca, a ztąd w niedługim czasie do miasta Baranowa. (*) J. L. mniema, że już w roku 1638 drukarni w Łaszczowie nie było. (**)

Ślady zamku ukazują się w stronie zachodniéj miasta obok drogi z Tyszowiec prowadzącéj. Są to okopy w kształcie olbrzymiéj bateryi o trzech ramionach prostych ze czterema narożnikami, z których każden ma cztery boki. Od

(*) Chodyniecki. *Dykc. uczo. Polaków*. III. 413.
(**) Bibl. Ks. dwoje T. I. str. 198.

strony czwartéj okopów, ku miastu, nie ma żadnego wału i tylko mała spadzistość prowadzi wewnątrz téj warowni. Długość tych trzech ramion wynosi kroków 370, szerokość u góry kroków 10, od łąk wysokie są kroków 25, wewnątrz zaś 18 — długość poprzeczna narożników kroków 25. Przy wale południowym znajduje się gmach okazały murowany, w gotyckim stylu dość ozdobnéj budowy z wielkiemi strzelnicami na działa — obecnie zrobiono w nim świątnicę izraelską. Blisko zaraz wewnątrz ku stronie wschodniéj, stoi podobnyż mniejszy tylko nieco budynek.

W obwodzie miasta stały niedawnych jeszcze czasów dwie bramy potężnie zmurowane, z otworami na rury armatnie — jednę z bram tych sam dobrze zapamiętam.

W roku 1811 w czasie osuszania tu bagnisk, wydobyto z namułu całkowitą żelazną zbroję mieszczącą w sobie szkielet kości rycerza.

Wreście podziśdzień znajdują w polach łaszczowskich liczne rozrzucone kości ludzkie, co przekonywa niejako o mogących tu zajść potyczkach wojennych podczas napadu Tatarów w odległéj zapewne Starożytności.

Od strony traktu tyszowieckiego znajduje się przedmieście Czerkasy. Jak niesie podanie, w dawnych wiekach było ono wioską przez sła-

chcica Czerkieskiego założoną. Dopiero Łaszcz upatrzywszy tam miejsce na budowanie miasta dogodne, zakupił ją dla siebie a uczyniwszy przedmieściem, włościan od pańszczyzny uwolnił, wyznaczając tylko opłatę małego czynszu.

Z innéj strony przy gościńcu tomaszowskim od zamku wozuczyńskiego, leży ustronie czyli wioska Nadolce, przyległe tuż Łaszczowu. Posiada piękny wiejski pałacyk, oraz kilka kształtnych zabudowań z ogrodem angielskim i wzniosłą kolumną, na pamiątkę tych fundacyi wystawioną. Założycielem był Franciszek Łukowski major wojsk polskich i poseł Tomaszowski, zmarły w roku 1828. — Dziedziczką Łaszczowa, równie jak i przyległych a dziś niezmiernie opuszczonych i zaniedbanych włości, obecnie jest wdowa po tymże Łukowskim.

UCZENI ŁASZCZOWSCY.

I. Marcin Łaszcz, jezuita; pod obcém imieniem wydał dziełko którego tytuł:

„*Recepta na plastr Czechowicza Ministra Nowokrzczeńskiego, przez Szczęsnego Żebrowskiego wydana. w Krakowie, w drukarni Łazarzowéj* 1597.”—

4to stron 106 przypis Markowi Sobieskiemu Wojewodzic Lubelskiemu. (A. Jocher. *Obraz Lit. i Nauk w Pol. T. I.* nr. 2328.)

II. Krzysztof Kraiński, urodzony r. 1576 (*) Sprawując chwalebnie obowiązki kaznodziei i pastora ewangielickiego w Lublinie, Opolu i Łaszczowie, w r. 1598 został Superintendentem kościołów prowincyi małopolskiéj, w bełskiém, wołyńskiém i kijowskiém województwie. Poważany dla światła i gorliwości swéj o wiarę, zostawił liczne dowody pracy w pismach treści religijnéj drukiem za życia ogłoszonych. Umarł w Łaszczowie roku 1618. Dzieła jego:

1. „*Dziennik to jest: modlitwy o chrześciańskie potrzeby, należące ludziom powszechnéj wiary apostolskiéj. w Łaszczowie* 1605." — powtórnie r. 1617 in 8vo.
(Bentd. l. c. Siarcz. I. 243.)

2. „*Dawid iezuicki z Belzebuba harfą.*"
(Siarcz. l. c.)

3. „*Harfa. Forma odprawowania nabożeństwa.* 1602." (Tenże)

Jest to zbiór pieśni i modlitw. Oba te dziełka wydane są w odpowiedzi na książkę jezuity Laterzy, p. t. *Harfa duchowna to jest* 10 *rozdziałów modlitw katolickich.*

(*) Bentkowski H. L. Pol. I. 256 Wedle zaś Siarczyńskiego (I. 243) roku 1556, co oczewiście mylne.

4. a. „*Katechizm to jest nauka krótka wiary Krześciańskiey*. 1503."

8vo 175 stron i 5 kart przemowy. Przypis Andrz. z Dąbrowice Firlejowi Kaszt. Radom. Do tego należy Kancjonał albo pieśni Duchowne z naukami y modlitwami i t. d. R. P. 1603. (*A. Jocher*) Siarczyński *l. c.* przytacza wydanie z r. 1602.

b. „*Katechizm z naukami i pieśniami* 1604." b. m.

c. „*Katechizm z naukami i pieśniami. w Krakowie u Sebast. Sternackiego* 1609."

Przytém: Kancionał albo Pieśni Duchowne z Naukami y z Modlitwami, których używa Kościół Powszechny Apostolski w Krystusie jedynym fundamencie zbudowany y ugruntowany słowem bożym R. P. 1609. 8vo, 5½ art. karty nieliczbowane. Z regestru pokazuje się iż katechizm był napoczątku i zawierał około 300 stron. Dwie jego części *Transubstaniatio* i msza były ostatniemi artykułami. Druk Sternackiego podobno mieszkającego jeszcze w Krakowie nie w Rakowie.

d. *b. m.* 1624.

(Adam Jocher II. 234)

5. a. „*Postylla Kościoła Powszechnego Apostolskiego spisana ku chwale Boga w Trójcy ś,*

Jedynego przez Krzysztofa Kraińskiego w Łaszczowie 1608."

(Jocher. II. 444)

In folio, druk gocki, każda z 8miu części przypisana jest innéj osobie. Znajduje się to wydanie w bibliotece słuckiéj.

*b „*Postylla Kościoła powszechnego apostolekiego, słowem bożym ugruntowanego, y zbudowanego na Jezusie Chrystusie. Spisana ku chwale Boga w Trójcy ś. iedynemu przez Krzysztofa Kraińskiego.*" (w Łaszczowie 1611). — Wtora część od Troyce ś. aż do Adwentu.

In folio. W naszym egzemplarzu, z Biblioteki rządowéj w Warszawie, w pierwszéj części tytuł wydarty. Tytuł części wtoréj i następnych odbity czerwonym i czarnym tuszem, otoczony floresami — u spodu położone są godła. Papier we wszystkich częściach piękny, typy gockie, wyraźne i ozdobne, odbicie wyborne i poprawne.

Części pierwszéj przypis Jerzemu księciu Radziwiłowi; kart 15, datowany w Łaszczowie 6 Czerwca 1611 — część ta rozciąga się od 1 do 315 karty, liczbowanie w całem dziele idzie po jednéj tylko stronie: Część druga przypis Krzyszt. Dorotostajskiemu Marsz. W. X. Lit. Kart nieliczb. 13

data 17 Czerwca 1611 na odwrocie drzeworyt herbu i godła. Zajmuje od 316 do 540 karty. Część trzecia, o świętych, przypis Janowi z Goraja Lipskiemu Podkom. bełs.; z drzeworytem herbu, kart nieliczb. 9. Data w Łaszczowie 30 Czerwca 1611. Zajmuje od karty 541 do 763.

Części czwartéj i piątéj w naszym egzemplarzu wcale niema: Lecz gdy szanowny Autor (Bibl. Ks. Dw. II. 222) przywodzi inną tejże książki edycyę w Gnieźnie z roku 1617, w pięciu częściach, która atoli co do trzech u nas części początkowych w całym jego opisie z tą naszą z r. 1611 edycyą najdokładniéj się zgadza, wypisujemy przeto ten opis, nic nie zmieniając: „Trzy pierwsze części składają foljał kazań wielkich. Część czwarta i piąta kazania odwieczorne Część czwarta kazań jutrzennych i odwieczornych od adwentu do ś. Trójce, przypisana Rafałowi Leszczyńskiemu Kaszt. Wiślickiemu dnia 5 Sierpnia 1617 poczyna się od pag. 765 do 1121. Piąta część kazań odwieczornych od Trójce ś. aż do adwentu przypisana Marcjanowi i Janowi Gorajskim, poczyna się od p. 1123 do 1313— poczym od p. 1315 do 1327 Passia— daléj regestrów kart nieliczb. 13, a omyłek Postylle Dru-

kowanéy w Łaszczowie kart 3. Uczone i obszerne przypisanie z tytułami po 14 kart trzymające także nieliczbowane. Tym sposobem część czwarta i piąta, czyli odwieczorne Kraińskiego kazania liczą kart 707." Opisany egzemplarz miał sobie Szanowny Bibliograf udzielony z Biblioteki Andrzeja Koźmiana. Wracam do Warszawskiego egzemplarza, trzech pierwszych części.

W całém dziele idą ciągle treściwe przypiski i cytacye w konkordansie obliniowanym równie jak i cała kolumna. W przypisie do Radziwiła, tak mówi Kraiński o swéj księdze: „Wypuszczam ją na świat, pod imieniem W. X. M. nákładem własnym J. M. pana Piotra z Goraja *Gorajskiego*, Starosty Uszpolskiego, Szwágrá W. X. M. uprzejmie życzliwego, y ná wszelkim plácu W. X. M: szczerego á nieodmiennego przyjacielá, Męźá zaprawdę kościołowi bożemu, y Rzeczypospolitéj wielce potrzebnego, à Pátrona y dobrodzieja mego wielkiego." i t. d.

Każde kazanie składa się z ewangielii, przedmowy i od dwóch do dziesięciu nauk. W Kazaniu na ś. Wojciech przytacza pieśń *Boga rodzica*, zaprzeczając temuż autor-

stwa onéj, zowiąc ją *pieśnią dziadowską*, i treść jéj wcale ganiąc.

Sądzę, że ponieważ w tym exemplarzu brak głównego tytułu, i tylko w przypisach czyli dedykacyach tych trzech części stoi data roku 1611, J. L. zaś daty następnych dwóch części i dzieło odnosi do roku 1617; przeto i tu zapewne tenże 1617 rok na tytule głównym być musiał. Bo lubo i Adam Jocher (*l. c.*) przywodzi wydanie z r. 1611 atoli i jego egzemplarz, zupełnie podobny naszemu, także był niekompletny, i bez tytułu.

W Kazaniach tych Kraińskiego ukazuje się niemała uczoność i pracowitość autora, lubo niekiedy i tu przesądy napotykać się dają, jednakże to nieczęsto, w ogóle sąd zdrowy o rzeczach, obok rzetelnéj wedle Chrystusa pobożności, zdanie otwarte i nader śmiałe, gromy na papieskich katolików silne; nie widać tu żadnej zależności, żadnéj obawy. Styl czysty prawdziwie polski, płynny i naturalny. W przypisie części drugiéj mówi do Dorochostajskiego: „wiem bowiem iżeś W. M. rad słuchał z ust moich słowa bożego, na Trybunale, na Sejmie y na gruncie swoim." i t. d.

Kazania te Kraińskiego są bardzo ciekawe, i szacowne polecam je każdemu zdrowym rozsądkiem czytelnikowi, do gruntownego przejrzenia, a jeśli miłuje prawdę, nie będzie żałować wyłożonego na to czasu. O celu kazań swoich, tak mówi autor w przypisie do Radziwiła: „Pisałem ie ku zbudowaniu niewiernych y ku zatkaniu ust záwiedzionym, którzy bałwochalstwo zmacniają, zabobony zálecają, pogaństwo ożywiàją, práwá boże łamią pismo święte znieważają, doktory chrześcijańskie fałszuią, chwalce boże prześladuią y insze rzeczy pismu świętemu przeciwney *pierwszemu* kościołowi chrześciańskiemu niesłychane, czynią."

III. Jakób Biskupski, porzuciwszy obrządek Katolicki, przyjął naprzód wyznanie Ewangielickie Luterskie, następnie zaś Kalwińskie. Długi czas w województ. Lubelskim pełnił obowiązki dozoru kościoła. W Łaszczowie będąc pastorem, napisał i wydał z tutejszéj drukarni dzieło pod tytułem:

„*Rachunek Summaryusza Prawdy Catholickiéj w przednieyszych artykułach. Które ma Kościół ś. Katholicki z teraźniejszemi Kacerstwy, ku chwale Bożéj y obronie kościoła świętego*

spisany, przez X. Jakuba Biskupskiego (godło z psalmów) *w Łaszczowie Roku Pańskiego* 1610."

(Jocher II. 244. Bibl. Ks. D. II. 221.)

4to 176 kart z jednéj strony liczbowanych i 10 kart w przodzie. Druk gocki. Przypis Janowi i Andrzejowi Firlejom z Dąbrowice oraz Janowi z Wysokiego Kaszowskiemu, gdzie wylicza 56 rodzajów kacerstw kościoła rzymskiego. Na stronie odwrotnéj tytułu, różne łacińskie sentencye, na karcie następnéj herby Lewart i Janina i na nich wiersze. W ogóle kart 194.

Niewiadomo kiedy Biskupski skończył życie, wiemy tylko, iż udawszy się do Litwy w Nowogrodzie został starszym czyli konseniorem tamtejszego kościoła.

IV. Bartłomiéj Sokół podobnież był pastorem w Łaszczowie, poprzednio zaś w Czyżowie. W roku 1615 wydał dzieło pobożne *Bankiet duszny*, które we dwa lata późniéj, po śmierci autora, następny tamtejszy proboszcz powtórnie odbić kazał. Przytacza je badacz dziejów naszych. (Bibl. Ks. Dw. II. 222.)

Odbite drukiem gockim, in 8vo, każda stronica obwiedziona jest kwiatesami —

tytułu i początku w owym egzemplarzu brakowało. Na początku znajduje się pismo wydawcy o modlitwie, signatur A—C i kartka. Dowodzi tu co jest modlitwa i jaką być powinna, używając do tego argumentów nawet Jezuity Skargi. Następuje Bankiet duszny A—z, a—g. Część I. poczyna się od sig. A, IIa od karty 2 sig. K, IIIa od karty 7 sig. J. Broń duchowna od K. 7. sig. g. Wydawca po wypisaniu szesnastu paragrafów tak mówi:

— „Otóż mácie W. M. może M. P. náukę piękną y wielce potrzebną, o modlitwie świętey: wiedźiesz co jest Modlitwá, kogo w niey wzywać, przez kogo, y czego potrzeba do niey. Umieyćiesz się Pánu Bogu modlić, y chćieyćie: Maćie Dziennik którym tak rok wydał, (r. 1616) maćie y Bankiet duszny który ták dwie lećie wydał Xiądz Bártłomiey Sokół Minister Zboru Czyżowskiego (r. 1615) człowiek pobożny, trzeźwi, y w urzędzie swym pilny, który iuż w żywocie wiecznym z Krystusem odpoczywa iáko wierny sługa z Pánem swoim. A słusznie te modlitwy názwał Bankietem dusznym: Albowiem wszelka duszá wierna, báwiąc się tymi modlitwámi, bywa nasycona łaski Bożey, y pokármu Anielskiego,

ná tym tu padole ziemskim, idąc do onéj oyczyźny wieczney, męką Krystusową zàsłużoney. Wiem iż nieprzyiáćiele prawdy, szydzą z tego tytułu, którym nie trzebá dźiwować, bo się na to událi, aby się iako z prawdy Bożey, tak y z pracey wiernych ludzi oszczerzáli y nátrząsáli, iáko ci których Bóg podał w myśl bezrozumną, y którym dał duchá strętwienia. Więc szydzą, iż tym modlitwom dał brát miły zmarły ten tytuł Bankiet. A cóż rzeką Wuykowi Jezuicie, który w Kazániu Wielkoczwartkowym, nàzywa onę wieczerzą świętą, którą Pan na sali w Jerusalem spráwował, Bankietem. Cóż rzeką y swoim nauczyćielom, ktorzy modlitwy swe rozmaićie tytułują, Hárfami, Spiżárniámi, Száfárniámi, Rácámi, Koronkami, Wiankami, A widząc ia M. P. w tym Bánkiecie modlitwy uciesżne, y wiedząc też iáko się ludzie bogobojni oń pytàią, onego prągnąc, przetoż odłożywszy ná czás pracą przedsiewziętą, tegom Bánkietu dusznego zàżądánie ludzi uczciwych poprawił, y on wydał, przydawszy do niego Broń duchowną, przećiwko nieprzyiácielom Maiestatu y urzędu Syná Bożego, y Sentencyéy z pisma y z Doktorow potrzebnych. Którą pracą pod imie-

niem W. M. wypuszczam, y onę W. M. zálecam y oddawam. Dan z Łaszczowá, Roku 1617. Julij 28." — nazwiska swego wydawca niewyraził.

V. Krzysztof Pandłowski, wyznania kalwińskiego; był ministrem czyli pastorem przy kościele łaszczowskim. Gorliwość jego do zasad współwyznawców okazuje się z pogardliwego nazwiska fanatycznych katolików, którzy go z zawziętości zębatym kacerzem nazywali. Niewiadomo kiedy umarł. Dzieła jego:

1. „*Oliva paufera de tranquilitate conscientiae Łaszczow* 1630."

powtórnie, *w Baranowie* r. 1648.
(Czacki Siarcz II 55.)

Juszyński (II. 441) powątpiewa aby autorem tego dziełka był Pandłowski.

2. „*Tumulus heroicus. Kazanie na pogrzcbie Andrzeia Firleia. Leszno* 1630."
(Siarcz l. c.)

3. „*Anna z Radzanowa Gorayska, Usługą pogrzebową wspominana, w Łaszczowie: W Kościele Ewangielickim, Roku* 1638 *dnia* 5 *Julij. Przez X. Krzysztofa Pandlowskiego: Kazno-*

dzieię tamtecznego. W Baranowie, Drukował Gerzy Twardomęski, Roku 1638."
(Bibl. Ks. Dw. II. 220)

4to kart 14 z godłem na tytule.

VI. Macedoński. Pastor łaszczowski. Ślad o nim znajdujemy w J. A. Załuskiego *Progr. Litt.* (str. 69.) gdzie przytoczone jest dzieło jego mające rzeczywiście tytuł zapewne polski który tam niepotrzebnie przełożono:

„*Macedoński Aug. Pr. Łaszczov. In Octavario Introd. recens Beatificati Vincentii a Paulo. Cracoviae.* 731."

Jabłonowski (*Museum Pol.* str. 148) cytuje dzieło tegoż Macedońskiego w wyrazach:

„Concio sub titulo *Sprawa.*"

Seweryn Sierpiński.

Uwagi nad rozbiorem artykułu Ile rolnictwo wpływem chemii zyskać może.

(Roczniki Krytyki literackiéj Nr. 35–38.)

Zawsze byłem tego przekonania, że ktokolwiek prace swoje ogłasza, już je tém samém na własność czytającym oddaje; każdemu znawcy zostawia wolność czynienia uwag, wyciągniętych z nabytego doświadczenia i nauki. Byłem więc pewny, że ta koléj spotka moje pisma, w Gazecie Porannéj i w Przeglądzie Warszawskim ogłoszone. Mogłem nawet spodziewać się silnéj reakcyi, ponieważ w ciągu roku mego zajmowania się piśmiennictwem, przez zbieg nieszczęśliwy, zjawiły się prace z wielu względów zasługujące na rozbiór ścisły, może nawet surowszy od opinii przezemnie wyjawionych. Lecz przyznam się otwarcie, że nieprzewidy-

wałem ruchu, który wzbudził mały odręczny artykuł, umieszczony w Kalendarzu Dra Janickiego na r. 1842 pod tytułem: „*Ile rolnictwo wpływem chemii zyskać może.*” Nie ma w nim recenzyi, któraby dotknęła miłość własną Autorów: wystawienie zaś postępów Chemii w badaniach tyczących się Fizyologii roślin, a tém samém dla rolnictwa najwyższéj wartości; niemogło obrażać, mających na celu dobro ogólne. Owszem, usługa moja w tym względzie powinna była zjednać mi przychylność rolników, za współpracownictwo w ich powołaniu.

Dzieło Liebiga, tak wysoko cenione w Niemczech, we Francyi i w Anglii, którego opinije przyjęli znakomici uczeni, zasługiwało, ażeby rolnicy nasi poznali; ponieważ Obserwator tak wysoko w sztuce badań stojący, bezwątpienia z własnych spostrzeżeń i obcych badań, które nie były dla niego tajemnicą, mógł zrobić najlepszy użytek, i dla fenomenów naturalnych najgłówniejsze przyczyny naznaczyć. Znając znakomite prace Liebiga w Chemii i jego trafność sądu, nie wahałem się całkowicie zaufać opiniom w jego dziele podanym, ponieważ do nieuprzedzonego przekonania trafiają; opierają się na najściślejszych faktach, i ważne zagadnienia żywienia się roślin, rozwiązują prostemi i genijalnie wyprowadzonemi dowodami. (Rudolph

Wagner Lehrbuch der Physiologie Zweite Abtheilung k. 289. Leipzig, 1840).

Musi więc być przyczyna, dla któréj dzieło Liebiga u nas nie znajduje przyjęcia, jakiego w innych krajach doświadczyło; chociaż nikt zaprzeczać nie będzie, że w Niemczech, Francyi i Anglii są znakomici Agronomowie, którzy dzieła swoje wzbogacili własnemi badaniami, i służą za źródła dla innych?

Przyczynę łatwoby odgadnąć; jest ona uboczną we względzie naukowym, może więc zostać niewiadomą; lecz czuję się obowiązanym wyjaśnić: że nauka Liebiga, w chemii organicznéj zastosowanéj do rolnictwa i fizyologii zamknięta, pomimo wszelkich usiłowań do ich wstrząśnienia, stoi niewzruszenie jak każda budowa ręką mistrzowską na silnych zasadach wzniesiona.

Pozwoli mi więc autor rozbioru, umieszczonego w Rocznikach Krytyki literackiéj Nr. 35 i seq. że niepodzielając jego sposobu widzenia, wyjaśnię na co z nim zgodzić się nie mogę.

Jeżelim dobrze pojął dążenie tego rozbioru, zdaje mi się, że autor w artykule moim upatrzył: chęć ublíženia rolnikom naszym, zamiar krytykowania dzieł *Oczapowskiego*, nakoniec dostrzegł błędy przez Liebiga popełnione, i te

zamierzał wytknąć w szczególności zaś, bierze pod obronę bezpośrednią pożywność próchnicy.

Cały ten rozbiór czytałem z przyjemnością, ponieważ widzę, że obudził się u nas ruch naukowy, i piśmiennictwo w przedmiotach nauk przyrodzonych weszło na właściwą sobie drogę dowodzenia faktami, bez uciekania się do osobistości, sarkazmów i bez błahych dowcipkowań, które są najpewniejszym dowodem braku zapasów naukowych, i niezasługują na uwagę w oczach rozsądku.

Pisząc mój artykuł do kalendarza, niemiałem zamiaru wyłożenia nowéj teoryi Liebiga, lecz wybierając z niéj wypadki najwidoczniéj z dotychczasowemi mniemaniami agronomów sprzeczne, chciałem zwrócić ich uwagę na ważne przysługi, których spodziewać się mogą od nauki w małéj liczbie przypadków na pomoc przeciw nich trafnie powoływanéj.

Dlatego autor rozbioru uwag „Ile rolnictwo wpływem chemii zyskać może, ocenia je za nadto wysoko, przyznając im wartość rozprawki; ponieważ w istocie swojéj są one w podobnym guście jak znane artykuły kalendarzowe. Z natury rzeczy wynika, że w pismach tego rodzaju przedmiot niemoże być rozwinięty;

lecz rzucają się myśli czytającym, wskazujące ważność przedmiotu, i drogę do jego poznania. Lecz jakkolwiek uwagi moje są krótkie i niemające rozwinięcia naukowego, jakieby im nadać można, wszelako niezgadzam się na poprawki przez autora rozbioru podane, (k. 139) ponieważ przezto rzecz niezyskałaby na jasności, są to drobnostki filologiczne bez których artykuł mój był zrozumiałym, i nic przeciw logicznemu porządkowi nie grzeszy. W dalszym ciągu rozbioru, autor niewierzy, iż niższy stopień rolnictwa w kraju naszym zależy od usposobienia rolników; lecz sądzi, że przyczyną tego jest ludność mniéj liczna, *żyzność naturalna ziemi w wysokim stopniu*, wynikająca ztąd obfitość pożywienia i tanności produktów, mniej rozległy zakres przemysłu, i t. d. Ztąd wnioskuje, że niemożna rolników obwiniać o niewiadomość, ponieważ trudno sądzić o usposobieniu tak wielkiéj liczby mieszkańców, których w krótkim i doczesnym (mówi autor) życiu naszém, niepodobna poznać nietylko ze strony naukowéj, ale nawet z nazwiska. Niewiem czy to mniemanie wypływa z dostatecznego poznania stosunków miejscowych; lecz przekonany jestem, że bardzo często miejsca w ludność bogate, bywają źle gospodarowane, ponieważ pracy ludności użyć nieumiano. Że ziemia nasza nie jest w wyso-

kim stopniu żyzna o tém przekonywa największa część kraju; ponieważ mało jest okolic, któreby za takie były uznane. Obfitość zaś pożywienia i tanność produktów nie są dowodem wysokiego stopnia rolnictwa; owszem świadczą że płodów surowych nieumiemy właściwie używać. Wszyscy rolnicy produkują samo zboże, i mają je na sprzedaż — produkcya więc przewyższa zużycie; dlatego wartość zboża jest małą, lecz niezajmujemy się innemi płodami, które do zakresu rolnictwa wchodzą.

Codziennie widzimy obszerne łany zasiane zbożem, lecz nieznajdziemy roślin włóknowych, których produkcya, według obliczenia w dziele Prof. Bernharda podanego, wielkorakie korzyści przedstawia. Na jakim stopniu jest uprawa roślin olejnych, pastewnych, okopowych, chmielu hodowanie bydła, koni; i t. d.? Czy więc do zawodu rolnika należy tylko sadzenie kartofli, pędzenie z nich wódki, uprawa pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa? Ale i tu zaglądając wewnątrz gospodarstw na tém się ograniczających, możnaby znaleść wiele przykładów złego użycia przymiotów ziemi, bo czy wszędzie tyle wydaje ile wydać może? Dopóki zaś to nienastąpi, zawsze musimy twierdzić: że rolnictwo potrzebuje udoskonalenia. Jest to zdanie największéj części rolników wyższego usposobienia, w za-

wodzie swoim zamiłowanych, którzy w usiłowaniach do podniesienia rolnictwa znajdowali przeszkody, ufając wnioskom wyprowadzonym z badań niedobrze ocenianych, i mylnie wyprowadzonych. W dziełach Agronomów Niemieckich znajdujemy liczne błędy przeciw wszelkim zasadom Chemii, chociaż wiele działań naturalnych oparto na pojęciach z téj nauki czerpanych; najczęściéj bowiem tłumaczenia ich naginano do sposobu widzenia, utworzonego z obserwacyi mylnie poczynionych.

Pisma agronomiczne (mówi Liebig) w ich własnych teoryach, to jest takich, których niemogli pożyczyć z dzieł naturalistów, są pełne podobnych wniosków nie logicznych, fałszywych i sprzecznych. (Aus der Chemie und Pharm. 1841 Mai 222) Tak *np.* Gruber sądzi, że rośliny za pomocą liści mogą pobierać krzemionkę z wody deszczowéj, która jéj zawiera przeszło gran w funcie.

Ztąd wynikłoby, że w ciągu roku na Mórg Magdeburgski deszcze dostarczają 156 ft. tego ciała. Nadto Gruber sądzi, że w wodzie znajduje się prócz tego nie mniej jak 14 ciał następujących: K. Siarczany, Sólny, Fosforyczny, Siarczan-Sody, Gyps, Sól kuchenna, Chlorek potasium, Chlorek calcium, Sole Amonijaku, Glinka, Niedokwasy Manganczu i Żelaza, Fosforan

Wapna i Magnezya. Sprengel przytacza za pierwiastki składowe powietrza: Amoniiak, K. Saletrzany, Wodoród fosforowy, Wodoród siarkowy, Węglik Wodorodu. Dlaczego te pierwiastki mają się w niém znajdować? Sprengel ich nie okazał, bo niektóre niemogą istnieć w powietrzu, lecz bytnosć ich była potrzebna do wytłumaczenia mniemania, które sobie Agronomowie utworzyli. Tak *np.* dla wytłumaczenia jak glina palona i popioły darni na wegetacyą działają, twierdzą, *że Azot z powietrza absorbowany, łączy się z Wodorodem wody przez Nds Manganezu i Żelaza rozłożonéj, i z nim Amoniiak tworzy*. Lecz glina palona, popiół darni, mogą przypadkiem niezawierać Ndsu żelaza i Manganezu. niepołykają Azotu; a niedokwasy wspomnione nierozkładają wody i niemogą uwalniać wodorodu.

Własności użyzniające wody deszczów ulewnych, przyznają jéj zapasowi Elektryczności i Kwasu saletrzanego, rosa jest według nich bogata w kwas Węglowy i Elektryczność i zawiera 15 pierwiastków w wodzie deszczowéj wyliczonych. Co takie objaśnienia zawierają trudno pojąć. Dlatego Liebig czyni zapytanie.

Czy można bez żartu (ernstlich) od takich niemowląt w nauce badań przyrodzenia, w Chemii i w Fizyce, spodziewać się wyjaśnień dotyczących fenomenów naturalnych? czy można

z płodów ich ducha, z ich książek, mądrość jaką wyczerpnąć? (odprawa dana Dr. Gruberowi i Sprenglowi z powodu ich krytyki dzieła Liebiga. Ann. der Chemie und Pharmazie maj 1841 k. 225). Takich błędów możnaby więcéj znaleść, bo Agronomowie niewiele okazują trafności w zastosowaniu wiadomości naukowych; zdaje się, że znaleźli środek przymusu dla przyrodzenia ażeby według potrzeby ich widoków działania swoje układało. Wszystko jest u nich podobne do wyjaśnienia; zachodzi *np.* pytanie zkąd się bierze Azot w pierwiastkach roślinnych? Rolnicy zaraz odpowiedzą z Gruberem: Rośliny zdaje się niemogą Azotu bezpośrednio z powietrza wciągać, lecz go dostarcza woda, do któréj dostaje się przez absorbcyą z powietrza, albo w stanie Amonijaku i Kw. Saletrzanego w czasie gnicia ciał roślinnych i zwierzęcych. Groch i Fasola, zdaje się mogą Azot z powietrza bezpośrednio assymilować (Ueber den Zustand der neueren org. Chem. in den Anwendung auf Agricultur vor dem Jahr 1840 von Dr. Gruber. k. 4.)

Tymczasem 50,000 części wody deszczowéj zawierają 1 część azotu. Zkąd przeto rośliny dziko rosnące klimatów gorących, dostają azotu, gdy jak *np.* w Egipcie w ciągu roku jest tylko 21—31 dni deszczowych? Niema żadnego dowodu że azot powietrza w organizmie roślinnym może

być na pokarm użyty i przyjąć postać białka lub glutenu. Owszem badacze przyrodzenia okazali doświadczeniami, że azot z powietrzem w wodzie rozpuszczoném wciągnięty, paruje przez liście, i żadna cząstka niezostaje wcieloną. Przeciwnie agronomowie najjaśniéj to rozwiązują: bo *gdy grochy i boby*, (Erbsen und Bohnen) rosną na gruncie niegnojonym, muszą więc mieć władzę użycia azotu na pokarm, inaczéj bowiem skądby się wziął w białku? Lecz objaśnienia tego rodzaju w oczach badaczów przyrodzenia są słowami, bańkami dla zabawy dzieci (Liebig l. c. k. 222).

Lobe w dziełku Populäre Düngerlehre für Landwirthe, Gärtner in Leipzig r. 1842. objaśnia, że rosa powstaje z wyziewów ziemi, które z niéj uchodzą przez lotne cząstki solne i t. p. przejęte ciepłem słonecznem cząstkami wodnistemi rozcieńczone, atmosfera w górę pociąga i znowuż opuszcza po napojeniu palnemi cząstkami siarki.

Równie naukowo tłomaczy: Da wen das Bildungselement der Pflanzen ein wasserstoffhaltiger Kohlenstoff ist, so muß bei der Differenzirung der Pflanzen, der Sauerstoff und der entgegengesetzte Stoff frey werden i t. d.

Po przejrzeniu takich wyjątków z pism agronomów niemieckich, sądzę, że autor rozbioru mego artykułu zechce się przekonać, iż moje

zdanie niebyło mylném; bo gdy błędy takie mieszczą się w dziełach agronomów, którzy naukę rolnictwa więcéj niż inni naukowo obrabiali, co może być w dziełach podrzędnych, lub w wiadomościach czytelników, którzy w nich tylko naukę czerpają. Zajrzyjmy do nich a przekonamy się jak powierzchownie najważniejsze przedmioty traktowano. Poznali się już rolnicy niemieccy na tém nadużywaniu ich zaufania i na 5tem zgromadzeniu swém w Dobrau podano myśl założenia sądu krytycznego do oceniania dzieł rolniczych, mającego na celu: Schutz des Landwirtschaftlichen Publikums gegen die Tauschungen unbefugter Schriftsteller und spekulativer Buchhändler. Landwirtsch. Litt. Zeit. Heft. 1. przedmowa.

Gdy rolnictwo więcéj się z naukami przyrodzonemi zjednoczy, gdy rolnicy przywykną do ścisłéj drogi czynienia badań i wyprowadzania z nich wniosków, postępowanie w ich zawodzie będące mniéj niepewne środki, dopomagania potrzebom działań naturalnych więcéj pod ręką, dzieła staną się zrozumialsze, mniej liczne i obszerne: bo każdy wtenczas będzie mógł sam dokładniéj wiedzieć, więcéj wnioskować i bez przewodników działać.

Gdybyście wy Nauczyciele rolnictwa, mówi Liebig, do agronomów niemieckich, mniéj teoryi tworzyli, mniéj objaśniali, wasza nauka postą-

piłaby o krok naprzód, lecz wy skłóciliście umysł uczniów waszemi teoretycznemi widokami, niezostawiliście nic do zbadania i wyjaśnienia, daliście im przyczyny dlaczego się niepali woda a ogień świeci. Gdybyście uwagę waszych uczniów zwrócili na rzeczy niezbadane, które tylko wasz pedantyzm objaśnił, lecz dowieść niezdołał, gdybyście ich młodzieńczéj sile nadali kierunek, w któryinby wam waszéj nauce najwięcéj mogła być korzystną; weszlibyście z niemi na wyższe stanowisko, któreby wam dozwoliło wyżéj postąpić, i coraz więcéj widzieć. Wszystkie te nauki o gruntach i nawozach (Boden Kunde i Dungerlehre: Dzieła Sprengla) jaką korzyść rolnictwu przyniosły? Trochę wiadomości z Chemii i Geognozyi uczyniłyby zbytecznemi owe grube księgi. (Ann. der Chemie und Phar. Maj 1841. k. 256.) Takie jest zdanie Liebiga, który pracami swojemi niezaprzeczone zjednał sobie poważanie w świecie naukowym. W Chemii organicznéj na każdéj niemal karcie znajdujemy jego imie zapisane, ona mu winna najważniejsze teorye i doświadczenia, w jego szkole kształcą się Chemicy, których prace mają już wartość naukową, nikt więc zapewne zaprzeczać nie będzie, że jest najwłaściwszym sędzią w nauce badań, którą do tak wysokiego stopnia posunął. Nie tak więc trudno jak autor rozbioru mnie-

ma ocenić stopień udoskonalenia rolnictwa, ponieważ usposobienie największéj liczby rólników zapewnie niewyprzedziły wiadomości zawartych w dziełach dla ich użytku pisanych. Lecz w uwagach ile rolnictwo wpływem Chemii zyskać może, bynajmniéj niechciałem oceniać, na jakim stopniu obecnie są wiadomości rolników naszych; wspomniałem tylko, że ojcowie nasi przeznaczali do roli synów niemających zdolności lub chęci do wyższego usposobienia, od nich więc rolnictwo niemogło się spodziewać jakiego bądź wzrostu, dopiero nowa generacya, otrząsnąwszy się z uprzedzeń, które były maksymami zeszłéj, korzystać może z badań naukowych, gdy się przekona, że rolnictwo jest punktem zbiegu zastosowań wiadomości matematycznych, szczególniéj przyrodzonych.

To było dążenie uwag moich; autor rozbioru niechciał go poznać, chociaż jest aż nadto widoczne. Podobny los spotyka i inne myśli w uwagach moich wyrażone. Czyż niejest naturalnym wypadkiem, że w braku wiadomości naukowych na ulepszenie rolnictwa wpływających, musiano je prowadzić rzemieślniczo, bez zasad wyrozumowanych? Lecz autor rozbioru, rozumowaniem przywodzi do wniosku, że rolnikom, którzy niemają stosownych do swego zawodu wiadomości, nienależy mieć za złe, pozostawanie przy dawnéj rutynie; możnaby im więc niele-

dwie na zasługę policzyć: że w spokojnéj niewiadomości trwają przy drodze mniéj doskonałéj, *która*, niewiem jaką rzeczy koleją, ale według zdania autora rozbioru *może być zyskowniejszą i łatwiejszą*. W dalszym ciągu rozbioru autor rozwodzi się nad rzeczami już wiadomemi, lecz niezgadza się na myśli uwag moich i nieżyczył sobie pojąć właściwe ich znaczenie. Żałuję mocno iż niemogłem przewidzieć, że wstęp, zdaniem autora rozbioru zawierający krytykę gospodarzy i gospodarowania, uzna za niepotrzebny: lecz w mojem przekonaniu, miałem powody do zamieszczenia go, ponieważ po uwadze: że jakkolwiek rolnictwo prowadzono rzemieślniczo, to jest: bez zasad objaśniających powody przyjętego postępowania, rolnicy czuli potrzebę, jakiego przewodnika, i w braku lepszego, kierowali się przysłowiami, które niejako nabyły powagi prawd niemylnych: przysłowia te czyli maxymy rolnicze wynikały ze zdrowego rozsądku i obserwacyi, wszelako rolnictwo ani kroku naprzód nieuczyniło, bo wnioski z doświadczenia zbierane były ocenieniem następstwa wpływów naturalnych, albo praktycznie wykonywanych działań rolniczych; lecz niesięgano ich początku.

To miejsce, Autor rozbioru, opatrzył dosyć obszernym kommentarzem, który byłby niepotrzebnym, gdyby wyraz *następstwo* tego co na-

stąpiło (*) wziął w znaczeniu w jakiém go użyłem; to jest: jako synonim „*wypadku.*" Przytoczone przykłady czynią to bardzo jasném, powiedziałem bowiem: doświadczenie nauczyło, że ziemia zostawiona odłogiem nabywa żyzności; korzystnie jest przemieniać zasiewy; pszenica udaje się na świeżym nawozie i t. d. to jest obserwacya rolników oceniła, co następuje gdy zasiew uczyniono na ziemi czas niejaki w spoczynku zostawionéj, gdy pszenicę zasiano na świeżym nawozie i t. d. lecz rolnicy niebadali dlaczego to następuje czyli jakie są przyczyny tego następstwa lub wypadku. Całe więc rozczłonkowanie tego ustępu jest mylne. W końcu autor rozbioru sądzi, że jestem w sprzeczności z przyjętą opinią naturalistów, gdy zarzucano gospodarzom iż niesięgali początku wpływów naturalnych, ponieważ (jak mniema) sięganie takowego początku uważane jest powszechnie, jako źródło samych hypotez często metafizycznych, znikomych a zatem niższych od właściwych teoryi praktycznych, opartych na prawach i związku fenomenów, mogących stosowniéj do granic pojęcia ludzkiego objaśniać wykonywane pra-

(*) W języku naszym często używa się tego wyrażenia np. jakież tego było następstwo, to pociągnęło za sobą smutne następstwo, widocznie użyto tego wyrazu za skutek lub wypadek.

tycznie działania rolnicze (k. 138). Pozwoli mi autor rozbioru, nieuznać takiego objaśnienia uwag moich w Kalendarzu umieszczonych. Ja żądałem śledzenia początku wypadków, przez wpływy naturalne lub praktycznie wykonywane działania rolnicze sprawdzonych, to jest: chciałem ażeby doświadczenia oceniły, czy w ziemi gdy po niejakim czasie spoczynku nabywa żyzności, zachodzą jakie zmiany co do składu jéj pierwiastków; jakie ma części składowe, które z nich szczególniéj wegetacya zużywa, czy się nowe w spoczynku wywiązują i t. d. bo tą drogą można ocenić jak z nią postępować, ażeby dopomagać działaniom naturalnym; dodać za pośrednictwem nawozu albo pomnożyć ilość materyi stanowiących pokarm roślinny.

Jeżeli takiego rodzaju badania będą objaśniać każde postępowanie w rolnictwie, bardzo widocznie się okazuje, że przyjść można do pewnéj teoryi, która niebędzie jak autor rozbioru sądzi hypotezą metafizyczną, znikomą; niższą od teoryi praktycznych, stosownych do granic pojęcia ludzkiego. Lecz jeżeli z następstwa czyli wypadku wpływów naturalnych, będą się tworzyć mniemania, bez przedsięwzięcia badań wykazujących jaką drogą przyszły, niema wątpliwości, że wyrodzą się hypotezy z naturą rzeczy niezgodne. W takie hypotezy rolnictwo obfituje

bo nieumiano czynić badań, albo czyniono je pod wpływem wyobrażeń poprzednio ſuż za prawdę przyjętych. Gdy agronomowie uznali w próchnicy główny pokarm roślin, na téj hypotezie zbudowali teoryą przygotowania nawozu, użyzniania nim ziemi i tworzenia sztucznych nawozów. Katalog Enslina z r. 1842 przytacza nie mniéj jak 70 pism w tym przedmiocie wydanych, uważając samą próchnicę za czynną. Chciano jak największą ilość jéj wyrobić, zaniedbano wszystkie inne pierwiastki, które są skuteczniejsze od garści materyi pruchnowych po zgniciu gnoju pozostałych. Rolnicy nasi i inni poczytywali za najskuteczniéjszą część, odchody stałe; w nich widzieli essencyą nawozu. Zaniedbywano więc urynę i nieraz zdarzyło się że w braku podściołu, wypuszczano gnojówkę jako część nieużyteczną. Lecz gdyby badano, czy rzeczywiście próchnica jest istotnym pokarmem roślin, czy mieści w sobie wszystkie warunki do ich życia potrzebne, czy niemają wpływu inne materye i t. d. przygotowanie nawozów byłoby inne i dla gruntu korzystniejsze.

Schattemann w liście do Dumasa tak mówi: obrabianie nawozów jeszcze bardzo jest zaniedbaném we Francyi, nawet w Alzacyi gdzie przecież uprawę wysoko udoskonalono. Od dawnego czasu użytkują w Szwajcaryi z uryn stajennych,

myją gnój, i rozcieki zlewają w doły, w których po fermentacyi amonijak zamieniają na siarczan amonijaku, przez siarczan żelaza, wapno albo K. siarczany. Wody te rozlane na pola i łąki; wydają silną wegetacyą, pochodzącą od siarczanu amonijaku, który się nieulatnia; jak to ma miejsce z węglanem, przez działanie ciepła promieni słonecznych. Roztworem siarczanu amonijaku rozlanym na łące, można powtórzyć sławne doświadczenia Franklina. Gnój koński uważają za niższy od gnoju bydła rogatego, lecz to zależy od jego traktowania, które na tém się kończy w Alzacyi, Lotaryngii, w ogóle we Francyi, że go wrzucają w doły, gdzie często jest wodą zalany; najczęściéj zaś składają go na sucho około 1 m. grubo, bez dostatecznego polewania. Z powodu przesądu, że gnój koński robi się przerabiając go i poruszając, następuje to wszędzie jeden lub dwa razy. Gnój zalany niefermentuje i słoma się nierozkłada: lekko nałożony i dostatecznie skropiony ogrzewa się do tego stopnia, że często pleśnieje; amonijak który wywiązuje, uchodzi, i przez to ginie część nawozu najskuteczniejsza. Tym sposobem otrzymują gnój chudy, lekki, nierównie mniéj skuteczny od gnoju krów i wołów, który z natury swojéj jest wilgotny, tłusty i do zagrzania się mało usposobiony.

Schattemann następnie opisuje sposób postępowania, na który naprowadziło go badanie przyczyny, dlaczego uryna bydląt jest tak skutecznym nawozem, tudzież własności węglanu amonijaku, i zachowanie się jego z siarczanem żelaza (Annales de Ch. et de Phys. Janvier z r. 1842 k. 116 i nast.).

Czy w tym razie, badanie przyczyn następstwa czyli skutków wpływów naturalnych i praktycznie wykonywanych działań rolniczych, doprowadziło do hypotez metafizycznych, znikomych? Agronomowie zawsze badali i zapewne bogatsi są w teorye, niż inne rodzaje przemysłu; lecz zależy od usposobienia badającego i od sposobu badania, jakie ztąd wnioski, jakie teorye wynikają. Co innego jest robić badania dla wytłumaczenia teoryi poprzednio założonéj, a badać bez uprzedzenia i zbierać fakta, które mają dać początek i podstawę teoryi. Dla tego niesprawiedliwą naganę daje mi autor rozbioru, w słowach: *czyliż to sprawiedliwy jest zarzut autora jakoby i najdoświadczeńsi nawet rolnicy praktyczni zupełnie nieumieli naznaczyć istotnéj przyczyny spostrzeżeń rolniczych wymienionych w tejże regułce? Odsyłam autora do początków gospodarstwa wiejskiego przez Jana Bürgera* i t. d. Mocno jestem obowiązany za wskazanie źródła zkąd mogę wyczerpnąć korzystne dla mnie wia-

domości, ale źródło to, dawno już poznałem i w początkach mojéj praktyki gospodarskiéj, służyło mi za przewodnika, nawet w wykładzie kursu Gospodarstwa wiejskiego dzieło to miałem pod ręką; jednak niesądzę żeby materya o nawozach była w nim właściwie odrobioną a w dzisiejszym stanie wiadomości uważam ją za mylną. To co Bürger mówi o nawozach zielonych, jeszcze nierozwiązuje zagadnienia, bo nieprzytoczył faktów. Na k. 131 wprawdzie mówi: „Warunki zatém, których po każdéj roślinie za nawóz zielony przeznaczonéj wymagać należy, są następne. Powinna więcéj przyjmować pożywnych pierwiastków z wody i powietrza aniżeli z próchnicy w gruncie będącéj, a zatém powinna rość na gruncie choćby nędznym, bujnie się jednak krzewić i rozrastać (właśnie to tak łatwo w rolnictwie osiągnąć!....) daléj powiada Bürger, powinna wydawać ile można tylko najwięcéj korzeni, liści i łodygi skład mieć tyle, ile tylko bydź może najzawilszy (któreż rośliny są takiemi?) a zatem do psucia się i rozrabiania najskłonniejszy. Wreście przyrodzeniu gruntu i własnościom klimatu odpowiednią być musi.” Gdy autor rozbioru przejrzy te warunki, przejrzy je bez uprzedzenia o ich wartości; przekona się, że Bürger żąda rzeczy

niepodobnych i jest w sprzeczności z całą teoryą gospodarowania. Na gruncie w którym niema humusu, według agronomów niemogą żyć rośliny, a zatem nawozu zielonego niewydadzą, jeżeli zaś humus jest w gruncie, dla czego na nim nie zasiać zboża? Bürger podaje za nawóz grykę, którą po okwitnieniu woruje, potém zasiewa rzepnik zimowy i na wiosnę gdy jest w kwiecie także przyoruje, a przez to rola najgorsza *tak małym kosztem* mówi on, tyle otrzyma nawozu, iż jęczmień i owies, a gdzie klimat, sprzyja i koniczynę zasiewać można.

W dzisiejszym stanie wiadomości naszych środki te okażą się mniéj skuteczne: ponieważ wypadki z nich następujące mogą wypływać z przyczyn niezależących od roślin woranych. Nie przeczę, że zakopując w ziemi rośliny na niéj żyjące, powiększy się ilość materyi organicznych, lecz nie tylko one stanowią żyzność gruntu: potrzeba oprócz tego zapasu innych pierwiastków z natury nieorganicznéj pochodzących; a tych roślina stworzyć niepotrafi. Nawóz przeto zielony niepotrafi zastąpić wszystkich potrzeb wegetacyi następnego zasiewu. Może myśl moja jest błędna; niemając doświadczeń na jéj poparcie, nie twierdzę że ma rzeczywiście zasadę, lecz autora rozbioru zapewnić

mogę, że nietylko w materyi o nawozach zielonych; lecz w ogóle o nawozach Bürger nie jest autorem rozstrzygającym. To co on powiedział, co inni agronomowie napisali wymagać będzie wielkiéj przemiany, co do sposobu przygotowania gnoju i jego użycia. Dzisiejsze pojęcia wiele objaśnią przedmiot tyle ważny dla rolnictwa; wykażą jakich badań w tym celu potrzeba.

Doświadczenia Schattemanna co do przygotowania gnoju końskiego, są już ważną poprawką i wiele jeszcze innych spodziewać się należy. Lecz to nastąpi tylko wtenczas gdy Chemicy zajmą się zbadaniem pierwiastków gruntu, rozbiorem roślin i składem nawozów. Że pruchnica nie jest istotnym warunkiem życia, można przytoczyć liczne przykłady. Wiemy że grunta Ukrainy zawierając wiele humusu, zczasem stają się płonnemi: musi więc być jeszcze inny warunek ich żyzności. Agronomowie jeszcze niemogą nam zaprzeczyć, że z ogromnych mass nawozu na pole wywożonych, może tylko mała ilość niektórych pierwiastków jest użyteczną, że gnój od rozmaitego gatunku bydła, rozmaitym pokarmem żywionego, musi być zastosowany do gruntu zboża uprawianego. Że słoma może jest lepszym nawozem od włókna, które przez żołądek bydła przeszło, że w ciągu ugo-

rowania następuje zmiana w składzie gruntu i t. d. Rozwiązanie tych wniosków potrzebuje ścisłych wiadomości chemicznych, bez których agronomowie niebędą mogli przyjść do wyrobienia tak ważnéj sztuki rolniczéj, mającéj podać prawa równowagi, wyczerpania i wzbogacenia gruntu.

Po odesłaniu do dzieła Bürgera względem nawozów zielonych, po wskazaniu gdzie jest mowa o przemianie zasiewów, autor rozbioru tłumaczy, że niema nic trudnego do pojęcia w przysłowiu: „mokry Marzec suchy Maj, da nam żyto jakby gaj" Ja bynajmniéj nieprzeczę temu, gdyby nawet zamiast Marca Kwiecień położono, niechodziło bowiem o wytłumaczenie czy przysłowie jest mylne lub prawdziwe, lecz że *jest*, jako wypadek doświadczeń, które rolnicy zbierali. Dlaczego zaś po suchym Marcu mokry Maj następuje lub odwrotnie, niema nic dziwnego, że rolnicy nieumieją wytłumaczyć przyczyny tego wypadku, kiedy nawet i autor rozbioru zostawia to bez rozwiązania, pomimo przytoczenia prądów wiatrowych, i innych przyczyn. Wreście dociekanie tych przyczyn byłoby dla rolnictwa nieużyteczne, ponieważ niemi i ich wypadkami kierować niemogą.

Po tych uwagach autor rozbioru mniema, że myśl wyjęta z Berzeliusza wystawiająca istoty

organiczne jako pracownią w której mnóstwo wykonywa się działań chemicznych, wydaje się tak mylna, iż żaden dalszy fizyolog znający razem chemiją podzielać go nie będzie, dlatego zaś staje się błędną, ponieważ opuszczono w niéj *als Gegenstand einer Chemischen Untersuchung*; przy tém dostało się także i Berzeliuszowi za to, że się dosyć niezaspokojająco wyraził. Bardzo widocznie autor rozbioru co innego wymaga niż ja potrzebowałem. Myśl Berzeliusza powtórzyłem dla przekonania rolników ile w ich zawodzie Chemija jest ważną, ponieważ życie roślin, które pielęgnują, jest zbiorem processów Chemicznych, mających na celu przerobienie pokarmów, to jest assymilacyą ich pierwiastków do wykształcenia wszystkich części istoty żyjącéj koniecznie potrzebnych. Musiałem więc uważać roślinę jako przedmiot główny rolnictwa, dlatego niewidziałem potrzeby użycia frazesu *als Gegenstand einer Chemischen Untersuchung*; wreszcie myśl przytoczona niebyła tłumaczeniem; lecz była przezemnie użyta jako zdanie w Chemii organicznéj przyjęte i bez dodatku także niebłędne. Niepotrzebnie więc autor rozbioru wmieszał tu Berzeliusza; lecz zapewnie uczynił to dla kompanii z Liebigiem, którego zamierzył skarcić za wszystkie zdania, przeciw opiniom u agronomów ustalonym, wyrzeczone.

W dalszym ciągu autor rozbioru, powtarza znajome fenomena powinowactwa, i sądzi: *że gdy działania chemiczne z powodów niewiadomych, niemogą bydź należycie zaspokojone, dają wtedy w pewnych okolicznościach początek fenomenom kapilarnym*, opisuje działania siły żywotnéj i t. d. rozumuje nad postępami Chemii, broni botaników przeciw zarzutom Liebiga, w końcu przyznaje zasługi tegoż Chemika, i zapewnia mu wdzięczność nowszéj botaniki, za objaśnienie processu assymilacyi pokarmów i t. d. Wszystkie te uwagi więcéj należą do spekulacyi teoretycznych, niemają bezpośredniego związku z rolnictwem i zbaczają od myśli w artykule moim zamkniętych; dlatego muszę sobie odmówić przyjemności odpowiadania na nie, chcąc zachować cierpliwość czytelników na rozpoznanie wartości zarzutów autora rozbioru, przeciw teoryi Liebiga. Przedmiot ten jest dla rolników wielkiej wagi, dlatego starać się będę objaśnić go najnowszemi wiadomościami.

W zakończeniu jednak niech mi wolno będzie uczynić uwagę, że autor rozbioru artykułu w Kalendarzu na rok 1842 umieszczonego, starał się z usilnością wyszukać powody, do czynienia przeciw nim zarzutów. Źródła ich pochodzą z uważania rzeczy z innego stanowi-

ska, niewłaściwego pojmowaniu myśli w nim wyłożonych, dla tego autor wchodził w przedmioty niemające styczności; jedno zdawało mu się zbyteczném, w inném widział brak nawet wyrazów do uzupełnienia myśli i t. d. jednak mimo to, w téj części swéj pracy nieosiągnął celu, który go skłonił do jéj napisania.

(Dokończenie nastąpi).

NARŻECZONA

PRAWDZIWE ZDARZENIE.

Z szybkim dni upływem i szczęście upływa.

LAMARTINE.

W roku 1834 mieszkając w małém miasteczku... pewnéj niedzieli w liczném towarzystwie wyszłam na przechadzkę za miasto, powracając wstąpiliśmy do porządnego dworku na śmietanę. Córka gospodarza ładna ośmnastoletnia dziewczyna, podała nam chłodzący pokarm w małym ogródku: czystość w izbie równie jak i staranny ubiór dziewczyny, zwróciły naszą uwagę, z prawdziwą przyjemnością, i podwojonym apetytem, spożyliśmy śmietanę i smaczny chleb razowy: rozmawialiśmy z dziewicą, która nam się zdawała nad swój stan ukształconą.

Przy pożegnaniu każdéj z nas ofiarowała mały bukiecik woniejących kwiatów. Przed chatą spotkaliśmy podeszłego człowieka, był to ojciec młodéj gosposi: powitał nas uprzejmie i skromnie, dziękował za pochwały dawane córce.

Kobiety chwaliły ładną dziewczynę, męczyźni unosili się nad jej oczami, piękną twarzą i zgrabną kibicią, przyrzekali sobie często wstępować na śmietanę. — W tém jedna z podeszłych dam, osoba bardzo godna, rzekła:

— Moi państwo, znam dawno Michała ojca Maryi, jest to uczciwy człowiek, pierw mieszkał w samym mieście, każdy z was mógłby sobie mieć za chlubę, przyjąć i posadzić z honorowemi u swego stołu prostego mieszczczanina, bo choć Michał nie jest szlachcicem, jest szlachetnym z postępków, a to czasem moi państwo więcéj znaczy! u mnie cnota jest prawdziwém i najlepszém szlachectwem.

— Umieją go też cenić sąsiedzi i znajomi, a gdy Michał przyjdzie do kościoła, każden usuwa się z uszanowaniem, aby wszedł do ławki, i spokojnie mógł śpiewać różaniec — gdy wejdzie do szynku na szklankę piwa albo na pogadankę; tłoczą się, aby mu uścisnąć rękę, ten żąda rady, ów pomocy, a Michał z uśmiechem na ustach,

z wypogodzoną twarzą, nie odmawia niczego, niezraża go niewdzięczność nikczemnych dusz; i postępuje daléj jak mu sumienie i serce nakazuje; dla tego też znajomi zwą go uczciwym Michałem. Żeby was przekonać jak jest godnym człowiekiem, dość gdy wam opowiem jeden czyn jego.

— W naszém mieście był *jeden, jeden* tylko człowiek, który jawnie nienawidził Michała; jego uczciwość, jego sława dręczyła Andrzeja; starał mu się szkodzić wszelkiemi sposobami, spotwarzał go i nie ominął najmniejszéj sposobności, aby mu dokuczyć. a przecież Michał nic mu nie zawinił, owszem starał się jako prawy chrześcianin i wyznawca Jezusa, dobrem za złe płacić, ale wszystko daremnie, i zawzięty Andrzéj wolałby raczéj skonać, jak rękę pojednania podać Michałowi. Andrzéj miał ośmioletniego syna i w niego wpoił nienawiść jaką sam pałał: dzieciuch też jak zły duch czatował tylko, aby płatać figle Michałowi: ukryty szczuł go psami, z kąta rzucał nań kamieniem, przełził a do sadu i niszczył najulubieńsze owoce Michała, zabijał jego drób, albo wpędzał w trzęsawiska krowy; Michał wiedział o wszystkiém, i napełniając kieszenie Stasia przysmakami, starał się

go zjednać i naprowadzić do dobrego; ale równie syn jak ojciec był uparty.

Wreście śmierć choć nie błagana, uwolniła Michała od jego nieprzyjaciela. Andrzéj po kilkodniowéj ciężkiéj słabości umarł — a Stach wygnany od macochy, został żebrakiem. — Michał spostrzegł raz, jak ten sierota wybierał z koryta kartofle dane dla trzody, i chciwie je połykał: wzruszył się nędzą chłopca i wziął go ze sobą.

Przyprowadziwszy do chaty, rzekł do swéj matki, która od śmierci żony gospodarowała synowi. „Matko raczcie mieć o tém dziecku staranie, jak o naszéj Maryi bo od dziś będzie naszym synem." — Stara kobieta równie uczciwa jak syn, uścisnęła z uczuciem radości w milczeniu rękę Michała; a chłopca pocałowała w czoło.

Mała czteroletnia Marja wybiegła z kąta aby zobaczyć przybysza; ale przestraszona jego bladością i podartym odzieniem uciekła na kolana babki.

Michał zaś wziąwszy za ręce chłopca rzekł do niego:

— Słuchaj mnie uważnie Stasiu, jesteś nieszczęśliwy biorę cię, ale żądam posłuszeństwa; dla mojéj matki szacunku i uległości — masz się wystrzegać choćby najlżejszego kłamstwa, nie

bronię ci być wesołym, nawet trochę swawolnym, byle nie ze szkodą drugich; zresztą postępując podług méj woli, ziednasz sobie moją przychylność i miłość; przeciwnie, oddalę cię, a będziesz znów cierpiał głód i zimno.

Staś z płaczem przyrzekł wszystko, i pozostał w chacie.

A że przykład i dobre wychowanie wiele mogą, ze złego Stasia zrobił się najlepszy chłopak; Michał posyłał do miejskiéj szkółki, a nauczyciel chlubne mu oddawał pochwały, dziś jest pracowitym, porządnym młodzieńcem, i pewno nigdy Michał nie żałuje, że syna nieprzyjaciela przyjął za swego.

Często widziałam, jak Staś koło mych okien prowadził Marję do szkółki, jak ją chronił od upadku: od uderzenia kamienia, od napaści psa, a gdy wybiegli swawolić na łąkę, najpiękniejsze kwiaty zbierał dla Maryi, potém splatali wianki, a wracając do domu zawieszali na krzyżu, który stoi naprzeciw teraźniejszego dworku Michała; często brał Staś zmęczoną Marję na ręce i cały zadyszany pod swoim ciężarem, puszczał ją dopiero na progu domu. — Nieraz widziałam modlących się na grobie babki, która kilka lat temu umarła, a zło-

żywszy świeże bukiety na mogile, wracali zwolna do domu trzymając się za ręce; ich oczy były wilgotne od łez, a pogodne twarzyczki, powleczone smutkiem: miło było spojrzeć na te dzieci, tak ładne, tak do siebie podobne.

Michał z zadowoleniem opowiadał mi, ich małe sprawy domowe, ich sprzeczki, w których go obierano zawsze polubownym sędzią.

Rok temu pamiętam jak dziś wyszłam za miasto, Marja wybiegła ze dworku i szła ku mnie, w tém głośny krzyk „pies wściekły" obił się o moje ucho, skamieniałam prawie, i widząc za Marją pędzącego ogromnego psa, całego z ziajanego; byłby niazawodnie dziewczynę pokąsał, w tém koło mnie przebiegł Staś z szybkością błyskawicy, wyminął przelękłą Marję i sam nadstawił się psu, nie miał przy sobie kija ani nic, czémby mógł bronić przeciw napaści zwierza, a pies z zajadłością rzucił się na niego i w kilku miejscach pokaleczył — nadbiegli z pola ludzie, kosami prawie załłukli wściekłe zwierze. Michał zawiózł zaraz Stasia do doktora; i przecie Bogu dzięki młodzieniec nieprzypłacił swéj śmiałości życiem.

Niedawno kilku zamożnych mieszczan oświadczyło się Michałowi o rękę Maryi; ale on nie

chcąc przymuszać córki zostawił jéj wolny wybór: Marja dotąd nie znała, nie badała swego serca, teraz czuła, że kocha Stanisława, a oboje jedną myślą wiedzeni rzucili się w objęcia Michała, prosząc, aby ich połączył. Uczciwy człowiek nieprzeciwił się ich miłości, i synowi swego nieprzyjaciela, chłopcu biednemu, którego z litości trzyma u siebie; oddaje córkę. A cóż moi państwo? czy taki sposób myślenia wart czego. Zdaje mi się nawet że w tę niedzielę ma być pierwsza zapowiedź młodych kochanków."

Szanowna dama skończyła mówić, a my radzibyśmy dłużéj słuchać, tak nas zajęło jéj opowiadanie.

Rzeczywiście w następującą niedzielę ksiądz z ambony ogłosił zapowiedź Maryi i Stanisława. Dziewczyna stała opodal wśród innych, rumieniec mocny ukrasił jagody, gdy proboszcz wymienił jéj imie; uważałam że towarzyszki z radością ściskały jéj ręce. Obok mnie siedząca dama wskazała mi Stanisłowa; był to wysoki młodzieniec, z zadowoleniem spoglądał w stronę gdzie Marja stała; jakiś szlachetny zapał, jakaś myśl wyższa, żarzyła w jego ciemném oku, i nadawała miłéj twarzy niezrównany powab,

siwa kapota naszywana czarnemi taśmami od-znaczała smagłą postać Stasia: wyznam prawdę, cieszyło mnie bardzo, że tak jest ładny kochanek Maryi.

Nadszedł dzień imienin i wesela Marji, każda z nas pragnęła służyć dobréj dziewczynie do ślubu, dowiedziała się o tém i prosiła nas wszystkie do siebie.

Zaraz po południu, udałyśmy się do dworku Michała, aby ubrać pannę młodą — Oh! jakże piękną była Marja, w białéj godowéj sukience, w mirtowym wianku na kruczych włosach, radość niewinna jaśniała na jéj dziewiczém czole. Stanisław był zachwycony, całował ręce Marji pieścił się z jéj włosami i prawie zmysły tracił; Michał wywołał go do ogródka.... Już wszystko gotowe, czekano tylko przybycia drużbów i kapeli.

Było to w końcu Lipca, dokuczający upał od dni kilku zdawał się powiększać, niebo było zasnute nieprzejrzaną posępną chmurą, grobowa cichość panowała w przyrodzie, a najmniejszy listek nieporuszył się od wiatru w ogródku Marji, można się było spodziewać mocnéj nawałnicy, ale któż z nas pomyślał o burzy

przy narzeczonéj! pomyślał o burzy w dzień wesela!

Wreście zdala dały się słyszeć skrzypki, ujrzałyśmy dwóch drużbów, z dwoma różnokolorowemi wieńcami, zatkniętemi na wysokich kijach, postępowali najpierw śpiewając ochoczo, za nimi gromada młodzieńców wtorowała głośno muzyce, a młode chłopięta skakali wesoło; Zdrugiéj strony po za dworkiem Michała błyskawica rozdarła czarne sklepienie nieba, i obił się o nasze ucho głuchy przeciągły odgłos grzmotu. Już weselni coraz bliżéj byli, gdy nagle gwałtowny deszcz spadł na świąteczne ubiory drużbów; zaczęli biedz bez porządku ku domowi, w tém okropny błysk zaćmił nam wzrok: a za nim odgłos piorunu rozległ się tuż przy nas, tak silnie, tak przeraźliwie, żeśmy bezprzytomnie padli na ziemię: głośny krzyk z gromady „pali się,” wrócił nam zmysły, wybiegamy... jakiż przestrach ogarnął nas, gdyśmy ujrzeli dach dworku Michała cały w płomieniach... drużbowie rzucili wieńce i ruszy li d miasta po sikawkę i bhaki. Stanisław z Michałem, którzy byli zajęci w ogródku przyrządzaniem ławek dla gości nadbiegli, prożny ratunek, silny wiatr pomiatał iskry i płomienie, szerzył się

coraz daléj, a nim wrócono z sikawką już nie było co ratować... ogień zniszczył całe zabudowanie... Michał chciał cokolwiek unieść z izby od ogródka gdzie była wyprawa Maryi; wbiegł... a nie zadługo tylko słaby głos wołający ratunku dał się słyszeć; do domu trudno się już było dostać, bo drzwi i okna całe w płomieniach; Stanisław nie zważa na to, dla niego nie ma niebezpieczeństwa..., on ma silną wolę ratować ojca, ściska rozpaczającą Marję: rzuca się wśród ognia do miejsca gdzie słychać głos... a w téj chwili runęły dopalone belki, ściany... Michał i Stanisław niepokazali się więcéj i oni padli ofiarą niszczącego żywiołu... Biedna narzeczona krzyknęła przeraźliwie, i znikła pośród nas...

Jakże okropnie wyglądały posmolone i strapione twarze drużbów przy bukietach zatkniętych u boku; rozpaczające druchny szukające panny młodéj... w miejscu wesela śmierć... o! jakże zwodnicze nadzieje człowieka! jak niepewne jego zamiary! i kiedyż może śmiało twierdzić, że jest panem swéj woli?

Niewidziano więcéj Maryj, jedni dowodzili że ją widzieli biegnącą w ogień: drudzy, a tych było więcéj; że pobiegła utopić się do Bugu;

każden prawił jak się domyślał, bo nikt dokładnéj nic miał pewności. Długo jednak ze łzami wspominaliśmy o uczciwym Michale i jego dzieciach...

W pare lat potém przyjechałam do W. Pogodnego dnia wybiegłam z dziećmi na przechadzkę, prześliśmy wieś; przy drodze pod krzyżem siedziała żebraczka; moje małe uczennice zaczęły wołać „Marja, Marja" i przyjaźnie biegły ku niéj; to imie przykre wspomnienie obudziło w méj duszy, spytałam „co to za jedna." dzieci zaczęły prędko wszystkie razem mówić, tak żem ich zrozumieć nie mogła; prosiłam o chwilę milczenia, i najstarszéj Andzi, spytałam co wie o żebraczce.

— Kochana pani, odpowiedziała, Marja nie dawno do naszéj wsi przybyła, zkąd trudno się od niéj dowiedzieć, bo nic nie pamięta, podobno cierpi pomieszanie zmysłów... zawsze się ubiera biało i nosi kwiaty na głowie; stara Grzegorzowa wzięła ją do siebie, powiada, że to jest bardzo spokojna dziewczyna i nie szkodliwa.

— Gdyby to ona była! pomyślałam; zbliżyliśmy się do żebraczki, dzieci wyprzedziły mnie; otoczyły Marję dając małe wsparcie. Dziewczyna uśmie-

chnęła się; najmłodsze dziécię wzięła na kolana i zaczęła nucić smętnie, kołysząc się lekko. — stanęłam obok żebraczki; i o zdziwienie, ta Marja jest córką Michała... żyła więc biedna narzeczona!... była tak blada jak sukienka co ją okrywała, oczy jaśniały nadprzyrodzonym blaskiem; usta sine; na w pół otwarte bolesnym uśmiechem... na czarnych włosach świeży wieniec kwiatów.

— Marjo zawołałam drżącym głosem, spojrzała na mnie i nie poznała... potém cicho spytała dzieci „kto to jest," odpowiedziały jéj... znów spojrzała na mnie z uśmiechem, tak sprzecznym z obłąkanym wzrokiem, że aż mnie dreszcz na wskróś przejął.

— Nie poznajesz mnie Marjo — spytałam, wstrząsnęła głową. — Na kogo tu czekasz? rzekłam biorąc ją za rękę.

— Stanisław przyjdzie nie długo, szepnęła cicho, pójdziem do kościoła... pani nie wiesz że dziś mój ślub?..

— Dawnoż tu czekasz? — O chwilę tylko... on długo nie daje na siebie czekać; a jeszcze w dzień ślubu!... Spuściła oczy, lekki obłoczek różowy powlekł jéj lica, i za chwilę znikł... Biedna straciła więc pamięć zupełnie... oh!

w téj chwili błogosławiłem prawie traf, który pozbawiając ją ojca — męża — i jéj odjął zmysły, aby nie czuła ogromu nieszczęścia — Obłąkanie było dla Maryi dobrodziejstwem...

— Wróć do domu, rzekłam ze łzami, ja cię zaprowadzę; Stanisław tam przyjdzie. — O nie pani, ja tu muszę na niego zaczekać; potem przyjdą drużbowie z wieńcami, nadejdzie muzyka i pójdziem do kościoła... może pani raczysz mi w druchny służyć?.. to mówiąc ukłoniła mi się wdzięcznie.

Naprózno błagałam ją; aby szła ze mną, w końcu moje naleganie gniewało ją; oczy zaczęły błyskać, rysy twarzy mienić się: lękając się napadu szaleństwa, odeszłam z dziećmi do chaty Grzegorzowéj.

Chciałam się od niéj dowiedzieć cokolwiek o Maryi, nic więcéj niewiedziała jak to, co mi Andzia mówiła, w końcu rzekła: — ,,Jest to najlepsze dziécię, byle jéj się nie sprzeciwiać, ja też jéj ulegam we wszystkiém, bo nigdy mi tak dobrze nie było jak z nią... miesiąc będzie temu, jak jednego wieczora zastukała do drzwi chaty, wpuściłam ją, była okropnie strudzona; sukienka na niéj podarta, włosy potargane; pytałam co chce? skąd jest? — z któréj strony przyszła? nic niewiedziała. — rzekła mi tylko

że „jest Marja, że czeka na Stanisława i swego ojca, aby iść do kościoła ślub wziąść; i że to jest dom Michała! zmiarkowałam zaraz, że musi mieć pomieszanie zmysłów; myślałam jednak, że potrafi co robić: i zastąpi mi nieboszczkę Jagusię; a ja nie będę potrzebowała żebrać; pokazywałam jéj najlżejszą robotę, nic nie zrozumiała, ani pojmowała, rano wyszła z chaty nie było jéj cały dzień, wieczór wróciła: i przyniosła wsparcie w grosiwie i jadle, co jéj przechodnie z litości dają — odtąd co dzień to samo powtarza, siadając pod krzyżem przy drodze; a ja spokojnie siedzę w domu i niepotrzebuję tłuc starych kości po cudzych progach; wieczór gdy wraca, dam jéj jeść, zaraz się kładzie nic nie mówi, nie narzeka; raniutko wstaje, odświeża suknię, plecie we włosy kwiaty, i wychodzi jak mówi „czekać Stanisława pod krzyżem — namawiam ją nieraz, aby szła do kościoła — powiada, że pójdzie dopiero z ojcem i Stanisławem, bo przecież sama panna młoda nie idzie nigdy do kościoła.. Pare razy kiedym ją chciała gwałtem zostawić w domu, dostawała okropnych konwulsyi, teraz jéj się nieprzeciwiam oddalić ją od siebie nie mam serca: bo znakiem, że ją sam Bóg do mnie zesłał.

— Powróciliśmy do Maryi: siedziała w tém samém miejscu, znów spokojna... śmiejąca się, naprózno chciałam w niéj obudzić pamięć przeszłości; przypominałam jéj ogień, uderzenie pioruna, śmierć ojca, kochanka; nic rozumiała mnie, i uśmiechała się niedowierzając, mówiłam jéj o najdrobniejszych okolicznościach, o jéj dziecińslwie; wszystko było dla niéj zagadką, niepojętą rzeczą, wiedziała tylko, że ma iść do ślubu, że czeka na Stanisława, — powiedziałam jéj, jak dawno już czeka naprózno! śmiała się wołając „cóż to pani nie umiesz liczyć — przecie jeszcze dziś raniuteńko mówiłam ze Stanisławem, uścisnął mnie gdy odchodził.

Wzruszona, wróciłam z dziećmi do dworu, naprózno łamałam głowę gdzie się znajdowała przez te pięć lat Marja; co się z nią działo było to dla mnie i dla niéj saméj tajemnicą:.

Przykro mi się stało, że ta skromna dawniéj dziewczyna; wystawiona jest na widok publiczny, prosiłam pani Ł... u któréj zostawałam, aby mi pozwoliła wziąść do siebie Marję, z ochotą przystała na to; ale nie zdołano nigdy nakłonić obłąkanéj, aby weszła do dworu. Chciałam w nią wmówić, że to jest dom Michała, śmiała się szydersko; i pokazując chatę Grze-

gorzowéj mówiła: „Moja pani, dajże mi pokój: czyż ja nie znam dworku Michała mego ojca? Przecież on nie dachówką pokryty, nie ma tyle okien, tak daleko nie stoi od krzyża. — Marjo ale cię tam prędzéj Stanisław znajdzie.— Grzegorz on mnie tam ma szukać kiedy obiecał przyjść pod krzyż, odpowiedziała Marja.

Doktór z Szczucz przyjechał do nas, prosiłam go, aby poszedł zemną zobaczyć Marję — gdy wziął jéj rękę strząchnął tylko boleśnie głową — spytałam coby myślał o obłąkanéj.

— Szkoda ją nawet męczyć lekarstwami, odrzekł: okropnie gorączkuje, jest to przedśmiertnie chorobliwy stan warjatów, niedługo ta dziewczyna skończy... zostaw jéj pani wolność działania według jéj woli; nietrzeba ją pozbawiać błogiéj nadziei, nie wywodź ją pani z błędu, prawda byłaby dla niéj okropną.

— Nieprzewidziany i smutny wypadek powołał mnie napowrót do rodziny z W. nie miałam już więcéj wrócić, myślałam o biednéj narzeczonéj polecając ją czułemu sercu pani Ł. W kilka tygodni pisałam do W. zapytując o Marję... już nie żyła! — tak jak doktór przewidział, w parę tygodni skończyła życie oczekując Stanisława i wtedy nawet; kiedy dusza jéj opusz-

czała ciało, aby go podobno ujrzeć najprędzéj, bo jéj marzenie niestety tylko po śmierci ziścić się mogło.

Pani Ł. odwiedzała ją kilka razy w chorobie, a doktór dawał lekarstwa; ale wszystko naprózno: piorun, który zniszczył szczęście narzeczonéj, i w jéj biedne serce ugodził śmiertelnym ciosem.

Może nigdy nie ujrzę miejsc gdzie się urodziła Marja, ani gdzie jéj zwłoki złożono — czas wiele zmian zdziałać może, ale nigdy nie zapomnę biednéj narzeczonéj.

A. O....

ROZMAITOŚCI.

Wiadomość o naukowych pracach Professorow i Nauczycieli zakładów naukowych w roku 1840.

Dziennik Ministerstwa Oświecenia narodowego w Petersburgu wydawany, na rok 1841 miesiąc styczeń wydany, ogłasza wiadomość o pracach uczonych, między innemi następnych Professorów i Nauczycieli w zakładach naukowych cesarstwa, wyjętą z ostatnich raportów.

W Uniwersytecie St. Petersburgskim. Zwyczajny Professor *Sękowski* kierował redakcyą dziennika Biblioteka do czytania — zamieszczając w niéj własne literacko-krytyczne rozpawy.

W Uniwersytecie Moskiewskim. Zwyczajny professor *Daniłowicz* napisał rzecz: Badania historyczne o początkach powstawania słowiańskich, a mianowicie polskich miast do XIII wieku, zbierał akta i przywilcje pomocnicze wyjaśnienia prawodawstwa i historyi Litwy, oraz zawisłéj od niéj Rusi po r. 1569.

Zwyczajny Professor *Jakubowicz* zajmował się ułożeniem w języku łacińskim dzieła o starożytnościach Rzymskich.

Zwyczajny Professor *Sokolski* tłumaczył z niemieckiégo specyalną patologją i terapią Szenleina, ogłosił także powtórne wydanie dzieła Hufenalda: Enchiridion Medicum.

Zwyczajny Proffesor *Szczurowski* wydał dzieło: o Górach Uralskich.

Nauczyciel kandydat *Granowski* zajmował się ułożeniem elementarnéj książki: historyi wieków średnich.

W Uniwersytecie Charkowskim. Zwyczajny Professor *Walicki* zbierał materyały do „Chrestomatii poetyckiéj greckiéj."

Zwyczajny Professor *Naranowicz* zajmował się ułożeniem „dzieła pomocniczego do wykładu Anatomii."

Zwyczajny Pofessor *Bułkowski* pracował nad wydaniem całkowitego kursu Patologii i Terapii, szczególniéj dla użytku słuchaczów.

Zwyczajny Professor *Wiszniewski* napisał i wydrukował: 1º opisanie instytutu weterynaryjnego przez siebie urządzonego i otwartego. 2º Uwagi o chorobach epidemicznych bydła domowego.

Adjunkt *Mierliński* zamieścił dwie rozprawy w „Charkowskich Guberskich wiadomościach."

W Uniwersytecie S. Włodzimierza. Professor kanonik *Hołowiński* przekładał wierszem na język polski trajedyje Szekspira, wydał także opis odbytéj przez siebie w r. 1839 Podróży do ziemi świętéj.

Zwyczajny Professor *Maxymowicz* wydał część pierwszą swego zbioru pod tytułem „Kijowianin" a przygotował do druku drugą jego część „Małorossyjski słownik" i „Pieśni narodowe ukraińskie."

Zwyczajny Professor *Nowicki* przygotował do druku: „Zasady Loiki."

Nadzwyczajny Professor *Dąbrowski*, z polecenia rady Uniwersyteckiéj, napisał dla odczytania na uroczystym akcie Uniwersytetu rzecz „o wpływie Grecyi na rozwijanie się cywilizacyi w dawnéj Rusi" i przygotował do druku: „Opis historyczny najdawniejszych na Wołyniu miast Ostroga i Łucka."

Nauczyciel *Hryniewicz* posuwał prace swoje około elementarnych dzieł: „Rys staro-

żytności rzymskich i Historya rzymskiéj literatury." skończył przekład mowy Cycerona pro Ligario, oraz 2giéj 3ciéj i 4téj de Catilina, przekład zaś pierwszy ogłoszony przezeń jeszcze w r. 1816 przygotował do powtórnego poprawnego wydania.

W Uniwersytecie Kazańskim. Rektor Uniwersytetu i zwyczajny Professor *Łobaczewski* wydrukował dzieło swoje: ,,Beiträge zu der Theorie parallen Linien" posłał także do umieszczenia w jedném z pism zagranicznych rzecz swoją: ,,Ueber die Konvergenz der unendlichen Reihen.

Zwyczajny Professor *Kowalewski* ogłosił w dzienniku Ministerstwa Oświecenia narodowego rozprawę ,,o rewolucyi politycznéj Chin w połowie XVII wieku, — skończył pierwszą część historyi Mongolskiéj, i pracował daléj nad dykcyonarzem mongolsko-ruskim.

Zwyczajny Professor *Skandowski* ogłosił w dzienniku literackim Uniwersytetu Kazańskiego przekład z Junkena ,,tablic dyagnostycznych, chorób oczu" oraz dzieło: ,,uwagi o operacyach oczu i następném po nich leczeniu"

Zwyczajny Professor *Łątowski* zajmował się układaniem ogólnéj terapii, jako też traktatu: ,,o chorobach dziecinnych i żeńskich."

W Uniwersytecie Dorpackim. Lektor *Pawlowski* ułożył „krótki rys jeografii rossyjskiéj" i „skróconą praktyczną grammatykę rossyjską dla niemców.

W Liceum Ryszeliego. Professor *Michniewicz* napisał i w dzienniku Ministerstwa oświecenia narodowego wydrukował rozprawę: „o godności, przedmiocie i częściach filozofii."

Professor *Zieleniecki* przygotował do druku: „kurs loiki i literatury „dla użytku pośrednich instytutów naukowych.

Adjunkt *Linowski* ułożył: „krótki rys historyi prawa karnego" — „rzecz o okopach i mogiłach w Gubernii Kijowskiéj" — przekładał także z polskiego języka na rossyjski dzieło Rakowieckiego: *Prawda ruska.*

Adjunkt *Pietrowski* wydrukował rozprawę nową konkursową do stopnia Magistra „Ueber die bestimmten Integralen."

W gimnazym w Wologdzie. Starszy Nauczyciel *Iwanicki* zajmował się ułożeniem „elementarnych kursów logiki i retoryki," tłumaczył także poezye Homera.

W gimnazyum w Kostromie. Młodszy Nauczyciel *Łagowski* przekładał z francuzkiego dzieło: „o życiu i podróży Krzystofa Kolumba."

W gimnazyum w Twerze. Starszy Nauczyciel *Kossowicz* przetłumaczył z niemieckiego:

„Grammatykę grecką Kunza," pracował oraz dalćj nad dykcyonarzem grecko-rossyjskim.

W Gimazyum w Kursku. Starszy Nauczyciel *Zaleski* przetłumaczył z greckiego traktat Lucyana: o sposobie pisania historyi."

W Gimnazyum drugiem w Kijowie. Starszy Nauczyciel *Rogowicz* zajmował się opisaniem Flory gubernii Czernichowskiéj.

W Gimnazyum w Żytomierzu. Młodszy Nauczyciel *Baranowski* ułożył geografią dla użytku klassy pierwszéj w témže Gimnazyum.

Żałujemy bardzo, że do tego obrazu, w pracach uczonych, dokonanych w obrębie królestwa, nie możemy dodać innych wiadomości nad te, które o wyszłych z pod prasy dziełach, zamieściliśmy już w ciągu naszego pisma.

WSPÓŁCZESNA KRONIKA LITERACKA.

WARSZAWA.

Encyklopedya i Methodologia obejmująca ogólny rys Nauk i wiadomości prawnych przez Jana Kołodzińskiego O. P. D. Członka Towarzystwa naukowego z Uniwersytetem Jagielońskim połączonego, Sędziego Sądu Appelacyjnego Królestwa Polskiego ułożona. Warszawa w drukarni przy ulicy Długiéj N. 591. 8. *str.* 447 1842 *roku.*

Encyklopedya i Methodologia prawa jest przedstawieniem naukowéj całości prawa, w któréj całkowita treść przedmiotu, jego kształt i istota w systematycznym się pojawia porządku. Pomimo przyjęcia w przedmowie przez szanownego autora pojęcia tego, z niemałém zadziwieniem spostrzegliśmy w dalszym ciągu dzieła, że zamiast stanowić harmonijną i organiczną całość, jest ono raczéj niesystematycznie nagromadzonym zbiorem wiadomości prawniczych właściwych i pomo-

cniczych. Przyznając należną wartość dziełu pana Kołodzińskiego, które jak sam się wyraża dla młodzieży kształcącéj się do zawodu prawnego przeznaczył, żałujemy tylko, iż pomimo ścisłego badania, niemogliśmy odkryć dzisiejszego stanowiska nauki prawa. Kładziemy to na karb nieudolności naszéj.

Sylwan, zbiór nauk i urządzeń leśnych i łowieckich tom XVIII. nakładem Redakcyi w drukarni pod firmą Chmielewskiego. 8. str. 344 w Warszawie, roku 1842.

Wedle przyjętego systematu, dziennik ten na trzy części podzielony, obejmuje:

W Pierwszéy Części: Urządzenienie lasów, Szacowanie lasów, o rysowaniu planów pomiarowych.

W Drugiéj Urzędowéj: O wiarogodności zeznań oficyalistów leśnych w sprawach defraudacyjnych — O wyznaczaniu osad dla służby leśnéj; O uposażaniu służby leśnéj; O sądzeniu i karaniu oficyalistów leśnych; O składce emerytalnéj i o strącaniu przewyżki na pensyach strzeleckich. — O examinowaniu kandydatów leśnych, tudzież wiele innych urządzeń dotyczących leśnictwa.

W Trzeciéj Rozmaitości: Wełna leśna i wyroby z niéj otrzymywane; Strachy, Ballada.

Dziennik ten, jako poświęcony specyalnéj nauce, zajmuje się ciągle staranną jéj uprawą celem ogólnego dobra i spółecznych korzyści.

Morena albo powieści blade, przez autora Amerakanki w Polsce. Nakładem G. Senewalda w drukarni pod firmą Chmielewskiego 12. str. 149. Warszawa r. 1842.

W zbiorze obecnym mieszczą się trzy powieści: *Zaprzaniec, Prospera i Zimio*: każda z nich pod względem formy wiele ma oryginalności, wiele pięknych myśli, ale jako utwor artystyczny, wiele zostawują do życzenia.

Powieści ludu spisane z podań przez Karola Balińskiego, wyboru i wydania K. Wł. Wojcickiego, w drukarni Dietrich 8. str. 160 Warszawa roku. 1842.

Znane są zdolności pana Karola Balińkiego do obrabiania podań ludu, z zamieszczonych w Bibliotece Warszawskiéj powieści. Obecna publikacya, tém więcéj okazuje, że prace jego na téj drodze bez korzystnemi niezostaną; zwłaszcza jeżeli autor przejąć się zechce dostateczném tego przedmiotu pojęciem.

Bajki i przypowieści do użytku Instytutów publicznych zwłaszcza żeńskich, przez Radę wychowania publicznego zatwierdzone i polecone, napisane przez Ludwika Edwarda Rajszla, wydanie drugie, nakładem Merzbacha 8. str. 150 w Warszawie r. 1842.

W książce téj, na trzy podzielonéj części, znajduje się niemało bajek, przypowieści i powieści, ma-

jących zalety zwięzłości, szczęśliwie użytéj formy dramatycznéj i wykończenia. Wydanie dość staranne mieści także cztery ryciny.

Przewodnik dla dam czyli rady dla płci pięknej, w drukarni Piotra Baryckiego 12 *str.* 252 *Warszawa, rok* 1842.

Jest to przewodnik toaletowy, podzielony na trzy części: w pierwszéj występuje toaleta dam pod względem porządku i zdrowia: sposoby utrzymywania włosów, zębów, płci, rąk i t. p. w drugiéj pod względem przyzwoitości i elegancyi: o sznurowaniu, obuwiu, odzieży stosownej do okoliczności, pory roku, i godziny; w trzeciéj nakoniec przez wzgląd na oszczędność, wykładają się sposoby robienia gorsetów w domu, robienie i naprawa bransoletek, podwiązek, szycie rękawiczek, chowanie futer; Słowem jest to kurs encyklopedyczny, moralno-przemysłowy *najpożyteczniejszych i najważniejszych* dla płci pięknéj wiadomości.

Notatki mojego męża Komedja we trzech aktach oryginalnie napisana przez Kozłowskiego w drukarni pod firmą Chmielewskiego. 12. *str.* 116 *Warszawa roku* 1842.

Autor na tle miejscowości skreślił tu kilka zajmujących obrazów, które dowodzą, iż z korzyścią w tym rodzaju pracować może. Komedyjka ta, chociaż w akcyę uboga, z tém wszystkiem ma obrazowe zalety, i dla tego się podobała.

Pobyt krzyżowców Słowiańskich w Palestynie albo Mirosław i Zdzisława powieść z XII wieku przez Stanisława Dolińskiego. Tomów 2. 12. str. 200—175 w drukarni Kaczanowskiego. Warszawa, roku 1842.

Łatanina przestarzałych romansów, upiór z grobu powstały, zjawisko rzadkie już teraz na literackim horyzoncie.

WILNO.

Pan Kasztelan powieść historyczna z początku XVIII wieku, przez Michała Jezierskiego. Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego. tom 1. 8. *str.* 164 *rok* 1841.

Michał Jezierski, który kilka lat temu wydał był zbiór swoich poezyi pomniejszych, dziś obdarzył nas nową, historyczną powieścią, za co mu słusznie wdzięczność należy. Treść jéj prosta i dość pospolita: zawikłanych, długich, ciemnych intryg napróżnobyśmy w niéj szukali, również jak i wrzących wylewów namiętności; całą jéj zaletą jest ścisła historyczność. Jest to naturalnie skutkiem nieodwołanym formy przez autora użytéj. Autor głosu swego opowiadania nie nastroił wcale na tę wysoką nótę pieśni, jaką Wallenrod, Zamek Kaniowski, Marja jaśnieją; użył on owszem potocznego sposobu mówienia, który jak najwyborniéj oddaje wprawdzie obrazy wiekowe, prze-

nosi nas niemal całkiem w życie obranéj epoki, ale nie oddała nigdy z należną mocą uczuć, niewstrząśnie nigdy sercem słuchacza. To też każde miejsce *pana Kasztelana* gdzie uczucie występuje, jest jałowe i nudne: *np.* Pierwsza Rozmowa, Spowiedź: one są jedynym ważnym i widocznym powieści błędem. Ale te usterki rzadkie, z chęcią przebaczamy, również jak i słabość wątku powieściowego, bo ten oczywiście nie był tu celem, lecz użyty został tylko do powiązania szczególnych obrazów, a jakichże obrazów! Oto widzicie przed sobą jakby w zwierciedle odbite, to zamek kasztelana, gwarną ucztę kontuszowéj szlachty, to burzliwy sejm elekcyjny, to obóz pod Pułtuskiem rozwiniony, konfederatów, panów rycerzy dworzan — a wszystko to żyje, i drży zapałem różnym, kręci wąsa, pije i rąbie! Zaiste *pan Kasztelan*, każdemu wpadnie do serca, każdy mu wybaczy pomniejsze wady. Co do naśladownictwa, jakie autorowi powieści podobało się niektórym recenzentom zarzucić, nie możemy tu nic powiedzieć, nie mogąc porównać owego dzieła, które wzorem być miało. Wreście cobądź to bądź, zawsze odbicie prawdziwego życia minionych ludzi i czasu, zdaje się nam lepszym niż mistyczne, ciemne lub romansowe tyrady: dlatego też *pana Kasztelana* polecamy czytelnikom najbardziéj ze wszystkich poezyi tak u nas jak za Niemnem od kilku lat wydanych.

Pisma Edwarda Marjana. Tomów 2. *Wilno, nakład i druk Józefa Zawadzkiego.* 8. *str.* 233—212. *rok* 1842.

Pierwszy tom pism niniejszych zawiera prozę, drugi Poezye. W pierwszym znajdzie czytelnik kilka prawdziwie zajmujących ustępów, jako to: *Inez de Castro*, *Szkic filozofii Greckiéj*, a osobliwie wiadomość o *Paracelsie*, którego jak rzadko żeby kto nie znał z nazwiska i sławy, tak też często nieświadomych jego zawodu i życia znaleść się zdarzy. W artykule *Fatalizm i Duch* i w innych miejscach podobnych materyi, autor wpada w deklamacyą, gdzie trzeba rozumowań i dowodów. Język wszędzie czysty i wyraźny, ale sposób pisania zbyt rozwlekły, a przez to samo nie dość silnie wyrażający pomysły pisarza.

Dla podobnéj rozwlekłości, *poezye* w 2gim tomie zawarte tracą z wartości bardzo wiele: Charakter ich jest w największéj części egotyczny, smutny i żałobny; objawia on młodzieńcze myśli i nieskalane uczucia oto wyjątek:

O—znam aż nadto, znam ten świat zwodniczy,
Znam—w samo serce zajrzałem mu śmiało;
Karmiony długo oddechem goryczy,
I moje serce nieraz zabolało.
Znam śmiech bez szczęścia, co się na nim świeci,
Jak śmiech upiora co przestrasza dzieci.
Znam ludzkie czyny i ich zimną mowę,
Serce zimniejsze i szatańską głowę.

Cały świat z wierzchu żywy i czujący,
Jako trup w głębi — martwy i gnijący.
I siebie znałem — choć mi świat powiadał:
Ty jesteś dziecko z niespokojną głową,
Z sercem drażliwém i myślą niezdrową.
Lecz nim wzgardziłem, jam mu kłamstwo zadał,
Bo świat mnie nie znał, a ja znałem siebie.
Kochać go, kochać! to treść myśli była.”...

Jakkolwiek te poezye nie odznaczają się ani śmiałością, ani siłą, przecież przyznać trzeba iż pomiędzy ogłoszonemi dotąd w Wilnie zbiorami, do najlepszych niewątpliwie należą.

Pomieszanie Jarosza Bejły objawione przez A. Filipowicza, drukiem Teofila Glucksberga 8. *str.* 64. *Wilno r.* 1842.

Autor pod imieniem *Filipowicza* ukryty, miał zamiar ogłoszenia rozbioru i krytyki na *Mieszaniny Bejły*: w rozbiorze tym dowcipkując przechodzi wszystkie rozdziały téj książki, dowodząc co złe i dla czego? ale dowody słabe, *argumegtacye* tylko z pretensyą do dowcipu, a czcze i nudne: stanowisko w dążeniu od rozbieranego autora nieróżne. Styl łatwy, krój czysto francuzki, składnia polska łamana.

Ostatni upiór w Bielechradzie dosłowny wyciąg z kroniki Czeskiéj, wieku XVI. podał John of Dycalp. Wilno, nakład i druk Józefa Zawadzkiego. 8. *str.* 126 *rok* 1842.

Niniejszą książkę jak i poprzednie autora prace zaleca humorystyczność. W mniejszéj objętości sprawiłaby większy effekt, z jednego tematu trudno walczyć długo bronią śmieszności, dlatego i tu rzecz rozpływa się czasem w nudy, lubo zdobiona znanym autora dowcipem.

INNE MIASTA.

Miłostki Poety przez Józefa Kalasantego z Sidorowa. Wydał i historyczno-krytycznym komentarzem opatrzył Witalis Kukułka. **Lwów** *Stanisławów, Tarnów, nakładem* **Milkowskiego**, *tom* **1. 16.** *str.* **124** *rok* 1841.

Książkę tą składają: *Do pięknéj dziewczy ze Szląska grającéj na arfie, Elegii księga jedna.* 1839 tudzież: *Wanda i Kwiaty*, 1840.

Pomimo całéj przesady, częstéj śmieszności i dzikich kowanych konceptów, tak samych erotycznych wierszy, jak i komentarza, trudno jest zaprzeczyć autorowi wszelkiéj zdolności, a jego pracy wszelakiéj zalety. Oto próbka z Elegii IIéj.

Tam w budzie z arfą w ręku siedziałaś, o miła!
Twoja bieluchna rączka po strónach błądziła,
I słodkie, chociaż proste, obudzała tony;
Do nich czasem i głos twój wmieszał się pieszczony.
Ale któż tam uważał na śpiewy, na dźwięki,
Kiedy duszę do oka przykuły twe wdzięki?

Rój zalotnéj młodzieży otaczał cię w koło,
Umizgiem i żartami strzelając wesoło.
Ty, luba! przyjmowałaś ochoczo zaloty,
Nęciłaś żywszem okiem do żywszéj pustoty;
Każdy rzut twoich kształtów nowy wdzięk odsłaniał;
I do darów, do ofiar najtwardszych nakłaniał.
Tych ruchów zgrabna lekkość i rzutność figlarna,
Twoja twarzyczka śliczna i źrenica czarna,
I usteczka uśmiechem obwiane przyjemnie,
Wszystko to dziwny pociąg obudzało we mnie.
Tak siedząc z duszą w oku, prawie do wezbrania,
Piłem wielkim potokiem truciznę kochania. i t. d.

***Swiętojanka noworocznik gospodarski wydany przez Karola Langiego w drukarni Gieszkowskiego nakładem wydawcy* 8. *str.* 132 *Kraków, rok* 1842.**

Jest to zbiorek, po większéj części znanych, z różnych dzieł gospodarskich przepisów, zakończony wierszem St. W. tudzież gawędą K. Wł. Wojcickiego *Łowy na wilka* i *obrazem wiejskiego życia polaków w XV i XVI wieku* przez W. A. Maciejowskiego.

POEZYE.

PORANEK.

Majowe słońce nad mgławą wód tonią
Bladawym brzaskiem do koła strzeliło,
Wionął poranek balsamiczną wonią,
Tysiące jasnych kwiatow się rozwiło;
Tonęły gwiazdy płoszone świtaniem,
Rozlane łąką wstały mgły zaraniem,
Skrzyła po krzewach djamentowa rosa
Żywszemi farby świetlały niebiosa.

Gdzie tylko oko w zachwycie zasięga,
Wschodzącéj zorzy złocone rumieńcem
Na okół lasy wymżyły się wieńcem,
Widne na modrym pasie widnokręga,

I jako śpiewna pierś skromnéj dziewicy
Zagrała wisła hymn rannéj swobody,
Gdy po samotnéj wieczoru tęsknicy
Różanym blaskiem płomieni jagody.

Na jéj wybrzeżu zadumał dąb stary,
I rosochate przechylił konary;
Wierzba błyszcząca skrami rannéj rosy.
Długie, promienne rozpuściła włosy:
Topazowemi świeci jaskry łąka,
Uśmiechem młodéj wiosny umajona,
Gdzie tylko wzrok się w zachwycie zabłąka
Cała natura jasna, wycieplona,
I w żywych wzorach rozsiane dokoła,
Dziewicze kwiaty, woniejące zioła.

Jeżelić w piersi gorycz się obudzi,
I na twarz śmiałą wybije boleści;
Gdy wątłe serce więcéj niepomieści,
To porzuć miasto, i zdala od ludzi,
Ciężarem cierpień umysł kołatany
Ponieś na ciche mazowieckie łany.

Tam całém czuciem zakuwszy wzrok w ziemi
Z bijącém sercem świeżych uczuć wiarą,
Zasute wiekiem, odgrzebuj myśl starą,
Rozmawiaj z duszą i myślami swemi,
I stare jodły skryte wieków pleśnią
W żywe, ogniste przyciśnij ramiona,
I do wrzącego póty garnij łona
Aż ci zawtórzą cichą, niemą, pieśnią

Umarłych wieków, niby trąb ostatki
Gdzieś tam w oddali samotne, drgające.
I tłumną wrzawę, i głosów tysiące,
I cichą piosnkę Zbawiciela matki.
O, w tedy wspomnij zeszłe, zmienne życie,
Złóż na pierś ręce i zapłacz jak dziécie.
To cała boleść w twéj piersi, przeminie,
Mętami świata osiadłéj do koła,
Młodzieńcze serce w grę uczuć przywoła
I we łzach słodkich na lica wypłynie.

Seweryn Filleborn.

W Imionniku Józefowi K.

Oto xiężyc trupią twarzą
Po ruinach starych kroczy,
Liście z wiatrem o czemś gwarzą,
Smutno patrzą duchów oczy.
Drzemią w grobach męże sławne,
Cichy wieczór śni w komnacie,
Swiecą w blasku zbroje dawne,
Wiatr drze chwasty w okien kracie:
Księgi prawa niezgorzałe
Popiół stroi w szaty białe.

Dawne czasy, czasy złote!
Mężne ojców naszych cienie,
Na wspomnieniach, przez wspomnienie,
Widzę waszą dzielność, cnotę.

Cóż nad pamięć lepsze w świecie?
Ona jakby liście wina
Koło serca się rozpina,
Z myślą, z duszą węzeł plecie.

Ależ tego bóztwa ślady
Przyjaźn w sercach nie zostawi,
Przyjaźń co się tylko jawi
Jak cień zmarłych zimny, blady.
Ghcąc w pamięci czyjéj zostać,
Trzeba zbawiać albo chłostać.

Ludzie biedni, ludzie marni
Nie pochlebnych proszą słówek,
Dajcie ziemi na podgłówek,
Na okrycie kawał darni.

Ja z tych ludzi ród wywodzę
W smutku każdy witam dzionek,
Jeślim chmurą na twéj drodze
W Loretański brzęknij dzwonek.

T. L.

SZATAN.

I któż mnie nie zna w świecie?
Wszak o mnie dzieciom plecie
Niańka okropną baśń,
Znacie mnie, jam zwykł szaléć,
Zamki i grody palić
I wieczną toczyć waśń.

Siedziba moja w borach,
Po bagnach, wilczych norach
Tułacze życie gnam,
Czasem na zgliszczach siadam,
I wichrów pieśń spowiadam,
I śpiewam z niemi sam.

Zwaszych się modłów śmieję,
Na waszą plwam nadzieję
W mém wnętrzu tylko żar,
Nie cudno-lica kwiaty,
Nie świetne drogie szaty,
Przynoście mi na dar.

Dno piekieł moje kraje,
Piekielne obyczaje
Nawykłem wiecznie śnić,
Chciałbym też sypać skrami,
Przed wami i za wami
I krwią świat cały zmyć.

Nim szyby lodu pękną,
Nim ptacy piosnkę brzękną,
Na biednych cisnę szron,
Z mrozu się oni wściekną,
Straszną klątwę wyrzekną
Innym ludziom przysięgną zgon.

Hejże wrony do jadła.
Zaraza na świat padła
Dokoła trupów stos;
Przyzwijcie siostry, braci
Dziś wam się głód odpłaci
Zbierajcie złoty kłos.

W piersi dawno okrzepłéj
Nie szukajcie krwi ciepłéj,
Krzywym dziobem targajcie kość,
Hej na stypę kto głodny
Wielkich stołów żer godny,
Pięknego ścierwa dość.

Ja nad ziemię wylecę
Łuną ognia zaświecę,
Spalę złych w ogniu tym;
Prochy zmiotę w puchary
I pamiątkę ofiary
Zaniosę braciom swym.

Sady zielono-strojne,
Ptaki w śród nich spokojne,
Błyszczącą wstęgę wód;
Ptaki z duszę w siedlisku,
Drzewa spalę w ognisku,
Strumienia zniszczę chłód.

Moja piosnka nie lutnia
Gdy wam serce osmutnia,
Moje słowa nie palmowy kwiat.
Ni przyjaciel rozkoszy,
Które czas, mój brat płoszy,
Ja opiekun minionych lat.

Dzisiaj cichy, spokojny,
Sowy puchem dziś strojny,
Z ruin patrzę na światów gwar,
A nademną szeleszczą,
Stare duchy gdzieś wrzeszczą,
Smolny podemną bucha war.

Zawieszony na sośnie;
Spiewam huczno rozgłośnie,
Ulubiony puszczyka śpiew,
I lud słyszy chichoty,
Słyszy wichrów poloty,
I ucieka z zaklętych drzew.

Niech przeklina, ucieka,
Jeszczęć znajdę człowieka,
Co mi przyjaźną poda dłoń,
Oj zapłacę sowicie!
Własne oddam mu życie,
Żelazny wieniec na jego wtłoczę skroń.

T. L.

Do * * *

Nie bądźcie jako księżyc gdy po modrych falach
Zimny, blady przeciąga, pogrążony w żalach
Nad ziemią, co śpi martwo pod jego wejrzeniem;
Nie bądźcie jako słońce w południowym skwarze,
Gdy krople potu ciska na zgorzałe twarze,
I ciało jak kwiat zwarzy ognistym promieniem.
Wam trzeba stać się liściem gałęzi dębowych,
Chłodem co najsilniejsze dobywa uczucie
Magnesowanym drutem na wieżach zamkowych,
By w serca braci iskra biegła po tym drucie:
Wam trzeba łzy porzucić, i żale porzucić
I przywdziać inną szatę, nie trupią, nie czarną,
Lecz jasną jak Jutrzenka, by nią ze snu cucić
Za nim się dzienne światła po ziemi rozgarną.
Taki śpiew przynosimy, taki pleciem wianek,
Bierzcie dary na jakie ubogiego stało,
Bierzcie i dalej wiążcie — dla was świeci ranek,
Nasze słońce już w chmurach wieczornych skonało.

ZAMKNIĘCIE (*)

Muza umilkła; oblicze łabędzie
Panieńskim wstydem zrumieniwszy pięknie
Staje przed wami, sądźcie ją o sędzie!
Ceni wasz wyrok, lecz się go nie zlęknie;
Poklask dobrego w jedynym ma względzie,
Co fałszem gardzi, na głos prawdy mięknie;
Tylko kto w piersi wieczyście młodzieńczej
Czci boską piękność, ten ją godnie zwieńczy.

Nie dłużéj pragną żyć te pieśni moje,
Jak pokąd dźwięk ich tkliwe serce wzruszy.
Piękniejszych marzeń nasunie mu zwoje,
I wyższych uczuć świat obudzi w duszy;
Z potomnym wiekiem nie pójdą w przeboje,
Czas je po świecie rozbrzmiał, czas je zgłuszy,
Chwila ochoty zrodziła je, z chwilą
Lekkim Hor pląsem w przepaść się pochylą.

* Wiersz ten Szyllera służył do zamknięcia wydanego przezeń Noworocznika *Musen almanach*; niemożemy stosowniéj zamknąć poezyi naszego *Przeglądu*, jak powtarzając w przekładzie zwrotki tyle cenionego Poety.

Wiosna nadchodzi: obegrzaną błonią
Radośnie życie młodociane tryska,
Kwiat nektarową wiatr zaprawia wonią,
Pieją w podniebiu piewców rojowiska,
I młódź i starce za roskoszą gonią,
Dźwięk poi ucho, z oczu radość błyska;
Wiosna ucieka: z młodych pączków źrały
Powstaje owoc, kwiaty obleciały.

A. B.

Kilka uwág o sztuce w stosunku do religii i filozofii.

Zwracając uwagę na całkowitą treść istnienia naszego, niewznosząc się nawet do spekulacyjnych badań, w zwyczajném uznaniu naszem, natrafiamy na nieskończoną rozmaitość potrzeb, celów, i rodzajów ich zaspokojenia. Naprzód, rozległy system potrzeb fizycznych, nadający ruch i życie obszernym zakresom przemysłu, handlu, żeglugi, i sztuk technicznych w ich wielostronném z sobą połączeniu; — dalej, — świat prawa, ustaw, życie rodzinne w miłości, życie towarzyskie w różnicy stanów, wszystkie społeczne stosunki pojęte w jedności państwa; dalej jeszcze, potrzeba religii w każdego umyśle poczęta, zaspokojenie swe w związku ko-

ścielnym znajdująca, — nakonicc, — czynność wiedzy, jako całkowitéj treści wszystkich pojęć i uznań. W pośród tych rozmaitych dążeń powstaje i wznosi się działanie *sztuki*, uczucie i potrzeba *piękności*, i duchowe jéj zaspokojenie w utworach sztuk pięknych. Wszystkie te sfery znajdujemy, w życiu istniejące, lecz stanowisko wiedzy nie pozwala nam poprzestać na saméj świadomości o ich bycie; wykryć powinniśmy ich wewnętrzny istotny związek, pojąć jego konieczność, któréj cechą nie użyteczność, lecz wzajemne uzupełnienie.

Obszerne rozwinięcie stosunków zachodzących pomiędzy sztuką a wszystkiemi wyżéj wymienionémi sferami, przechodziłoby zakres i cel tego pisma. Niemając przeto pretensyi do wyczerpania z gruntu przedmiotu, ograniczymy się jedynie na podaniu kilku uwag nad stosunkiem sztuki do religi i filozofii. Zajmować się zaś będziemy témi trzema kierunkami ducha dla tego mianowicie, że wszystkie obejmując najwyższą prawdę jako absolutny przedmiot uznania, stanowią trzy sąsiednie państwa absolutnéj dziedziny ducha, i różniąc się jedynie kształtem w jakim przedmiot swój urzeczywistniają treścią na jednéj, i tejże saméj żyją ziemi.

Przedmiotem sztuki, religii filozofii jest *prawda* niezależna, całkowita w sobie, nieskończona. Prawdą w ogólności zowiemy zgodną jedność wewnętrznéj istoty przedmiotu z jego zewnętrznym pojawem. Wszystko co nie jest istotném, — lub co pomimo swéj istności niema dostatecznéj siły do urzeczywistnienia się, lub wreszcie gdzie rzeczywistość nieodpowiada wewnętrznemu pojęciu, to wszystko cechy prawdy na sobie nosić niemoże. Ażeby zaś zgoda wyżéj wspomniona nie była jedynie co do kształtu, treść sama przedmiotu powinna być niezależną, samoistną, całkowitą. Zgoda *takiéj* treści z jéj zewnętrznym pojawem wprowadza nas w świat wyższéj substancyjnéj prawdy, w któréj rozbrat wolności z koniecznością, ducha z naturą, wiedzy z przedmiotowością, i t. d. znika, każdy w ogólności rozdwój traci znaczenie i siłę, i do zgody z przeciwnym sobie światem dąży.

Że religia, odnosząc wszelką kończenną rzeczywistość, całą naturę do Istności Najwyższéj, że prawdziwa spekulacyjna filozofia pojmując również tę naturę, świat, dzieje jego, i t. d. jako pojedyncze pojawy jednéj i téjże saméj absolutnéj prawdy. *Boga*, ową wyżéj skreśloną nieskończoną prawdę za swój przedmiot mają, to jako istniejące w uznaniu każdego dowodzenia nie potrze-

buje. Zastosowanie tego pojęcia do sztuki, nie jest tak oczywistém. Mogłoby się zdawać, że sztuka przedstawia zawsze przedmiot zmienny, oznaczony, ale ten jéj charakter jest tylko pozornym; bo jakkolwiek sztuka w swych utworach oznaczoną i ograniczoną jest, przedstawia w nich jednak zawsze prawdę nieskończoną, a to nie w ogólnych kształtach, ale w jéj indywidualnych pojawach, i przeprowadza to w sposób tak ścisły, że rozdwój pomiędzy prawdziwém znaczeniem, a kończennym pojawem prawdy jako taki, istnieć przestaje.

Ta harmonia myśli i rzeczywistości stanowi niekończenną stronę sztuki, któréj przedmiotem prawda w chwili swego pojęcia *już* oznaczoném istnieniem obdarzona, piękność któréj wszystkie pojedyncze strony, nie jako obce, przydane, ale jako konieczne i wolne w związku z sobą istnieją. Kształt tego *pięknego* samejże treści jest wypływem; zasadą *pięknego* zatém wewnętrzne znaczenie, które tak jest w sztuce przeważném, że treść nawet sama z siebie mało znacząca, sprowadzona do swéj zasadniczéj prawdy, staje się nieskończoną i całkowitą. To uzasadnienie treści na jéj wewnętrzném znaczeniu dwojakiego jest rodzaju:

1. *Sztuka opiera* wszelką indywidualność na jéj najbliższéj prawdzie; pojedynczy *np.* zwierz

lub bydlę uobecnia w krajobrazie cały gatunek lub rodzaj do którego należy.

2. wystawia prawdę ogólną, niezależną, całą Wieczną harmonią treści boskiéj, w sposób umysłowi za pośrednictwem zmysłów zupełnie przystępny. Dar takiéj twórczości nie każdemu dostał się w udziale. Jeniusz jedynie iskrą boską obdarzony może być twórcą prawdziwego *pięknego*, mającego cel swój ostateczny w sobie samém. Fałszywe bowiem dają *pięknemu* stanowisko ci, którzy sztukę za rozrywkę, zbudowanie lub naśladowanie natury uważają, zapominając o tém, że to, co jest prawdziwie niezakończenném, zabawném być nie może, że rozrywka tam tylko ma miejsce, gdzie nie potrzebujemy wznieść się nad poziom i zgłębić prawdę, i że to, co jest tylko zabawném na pozór charakter *pięknego* przyjmuje, gdy przy bliższém rozbiorze traci blask pożyczany.

Ale nie sama jedynie sztuka przedstawia prawdę w swych utworach; *dobre* czyni toż samo w kształcie swych pojawień tylko od sztuki różne. Stosunek *dobrego* z *pięknem* jako z jednego wypływających źródła, już przez Platona rozbierany, tak jest ważnym, że nie od rzeczy będzie, nim do właściwego założenia naszego dojdziemy, bliżéj się nad nim zastanowić. Naturą *dobrego* jest praktyczne wykonanie prawdy; dzia-

łanie to, ma cel ostateczny, prawdziwy w sobie, który ażeby odpowiedział wewnętrznemu swemu znaczeniu, koniecznie urzeczywistnić się musi. Cel ten w rzeczywistym świecie rozprasza się i rozdrabnia na pojedyncze cele każdego człowieka, które wtedy tylko są dobre, kiedy prawdę za swój żywioł mają. Swiata zewnętrznego używa ogólny cel *dobrego* za środek swego urzeczywistnienia; bo w całéj naturze jedno drugiemu za środek służy, i tylko człowiek jeden wolny od tego prawa, za największą uważa obrazę gdy go inny używa za środek do celu, który nie jest jego własnym, ani też celem ogólnym, w którym i on swój znajduje, lub przynajmniej znaleść może.

Stosując się zatém do ogólnego prawa, *dobre* zatrudnia niższe od siebie sfery, uważając tylko ściśle na stosowny wybór środków, które aby odpowiedziały swemu przeznaczeniu, w zupełnéj harmonii z powziętym celem być winny. W wykonaniu celu tego zachodzi zasadnicza rożnica *dobrego* od *pięknego*; ponieważ bowiem w zasadzie *dobrego*, nie jest koniecznem, ażeby postać zewnętrzna zupełnie mu była odpowiednią, przeto wystawiając ją jako nie istotną na działanie zewnętrznych wpływów, wewnętrznym celem, treścią się tylko zajmuje. I z téj właśnie przyczyny pomimo zupełnie powzięte-

mu celowi odpowiedniego przeprowadzenia, z trudnością nam częstokroć przychodzi w rzeczywistym świecie rozeznać to, co jest prawdziwie *dobrém*. Ta jego kończenna strona stanowi zarazem różnicę od *pięknego*, którego celem usunięcie powyższego rodzaju i najsilniejsza jedność wewnętrznéj istoty z jéj zewnętrznym kształtem.

Dobre dumne ze swego celu zachowuje zawsze pewien rodzaj wyższości i przewagi nad swą zewnętrzną postacią. *Piękne* przeciwnie stara się jedynie o harmonijną jedność treści z kształtem, i właśnie na téj drodze przybiera charakter samodzielny, niekończenny; kształt bowiem jego zupełnie od obcego wpływu wolny, własnéj jedynie treści jest wypływem. *Dobre* ostatecznie uważane, nie jest samodzielném, ale ulegając powszechnemu prawu, służy również za środek do urzeczywistnienia wyższych od siebie celów; *piękne* natomiast nieuznaje wyższéj nad sobą władzy, i w swych utworach siebie za ostateczny cel uważa.

Niezależność jednak ta i swoboda *pięknego* niezyskała ogólnego uznania. Bardzo upowszechnionem jest nawet uważanie sztuki, jako dla moralnéj poprawy i zbudowania istniejącéj. *Dobre*, takie jest zwyczajne mniemanie, nie mając samo dosyć siły do wykazania swéj treści, i do

urzeczywistnienia się w człowieku, przybiera w pomoc inną sferę ducha, *sztukę*, która w swém prawdziwém i moralném pojęciu wystawia nam świat cnoty i sprawiedliwości, w którym zwyczajny stan złego w rzeczywistym świecie istniejący zupełnie znika. Podług tego tłumaczenia, moralność z początku za cel ostateczny rodzaju ludzkiego uważana, musi potém używać sztuki, która się podług dalszego rozwinięcia wyższą od moralnéj rzeczywistości okazuje — za środek poprawy niedoskonałego człowieczeństwa. Tłumaczenie powyższe w swéj zasadzie nieprawdziwe i z sobą niezgodne, ustąpiło miejsca następującemu, dla dowiedzenia tego samego zdania oddzielono naturalną stronę człowieka od jego duchownéj istoty, jako dwa zupełnie sobie przeciwne światy, których połączenie ciągłém jedynie jest lecz bezskuteczném dążeniem. Nie zdolne podług zasadniczych praw natury do pojednania się, dwie te strony w ciągłéj z sobą zostają walce, zwycięztwo może tylko jedna z nich odnieść z pognębieniem drugiéj, i to właśnie pognębienie naturalnéj strony, subjekcyjnych popędów w człowieku, stanowi *dobre*. Tłumaczenie to, jakkolwiek na pozór zdawać się może prawdziwém, chybia w tém, że nierozróżnia abstrakcyjnéj moralności od całego rzeczywistego świata, że tę moralność jedynie w walce poj-

muje z naturalną stroną człowieka, którą również uważa raczéj za dziką zwierzęcość aniżeli zastronę zmysłową rozumem miarkowaną. Wewnętrzna moralność, jako cel ostateczny; jest w dalszym następstwie tłumaczenia tego miarą i celem praw, historyi, sztuki, religii, które dlatego tylko istnieją ażeby człowiek moralnie postępował.

Ta wojna i pognębienie natury z małymi wyjątkami już nie istnieje; trwała ona dosyć długo, aż mniej więcéj w środku drugiéj połowy zesłego wieku, kiedy sztuka obudziwszy się ze swego uśpienia wznosić się poczęła, moralność podała przyjazną rękę naturze. Młoda, pełna życia i poezyi sztuka przyjęła ją na swoje łono i kocha ją dla niéj saméj, bo mądrość, dobroć i sprawiedliwość Boska w niéj się okazuje.

Okazawszy bezzasadność powyższych twierdzeń, obaczymy jakie jest prawdziwe pojęcie *dobrego* i jaki jego stosunek do sztuki.

Każdy naród w samém już dzieciństwie ma własne, bezpośrednie uczucia i pojęcia religijne, podług których kształci zasady państwa, praw, życia socyalnego, a mianowicie wyobrażenia o *dobrém* i *moralném*, uważając je za stronę boską w działaniach ludzkich. Swiat na tych zasadach stworzony żyje, starzeje, a w końcu straciwszy siłę musi ustąpić miejsca innemu, młodszemu od sie-

bie, nowym wyobrażeniom. Przemiana ta nie dzieje się wprawdzie bez rozdwojeń, kollizyi, walk, ale rozum i *dobre* odnoszą zawsze zwycięztwo w harmonii wszystkich sfer ducha. Bo w *dobrém* nie idzie o formalną jego stronę, o przezwyciężenie naturalnych popędów, ale o prawdziwą treść zawartą w życiu rodzinném, towarzyskiém, narodowém, prawach, państwie, religii, miłości. Moralność zaś pojedynczego indywiduum zależy na nadaniu całéj téj treści, wszystkim powyższym sferom, ciągle ożywioną i prawdziwą rzeczywistość, inaczéj prawdziwie *dobre* istnieć by nie mogło. Stosunek pojedynczego indywiduum do *dobrego* w trzech różnych okazuje się kształtach.

1. *Bezpośrednia* jedność indywiduum z *dobrem*, wolna od wszelkich refleksyi, rozdwajania i walki, wystawia nam naturalną, naiwną moralność ową bezpośrednią pełność życia natury ludzkiéj. To pierwsze stanowisko *dobrego* bardzo blisko graniczy z *pięknem*; a co więcéj, nawet pierwiastkowe istnienie *złego* kiedy inndywiduum działa namiętnie, źle, ale *bezpośrednio* do zakresu sztuki przyjętem być może, lecz wtedy tylko, kiedy w dalszém rozwinięciu *złe* to nieokazuje się samodzielném, lecz ginie lub przez własne wypośredniczenie bez obcéj pomocy w *dobre* się zamienia.

2re Indywiduum widzi nikczemność abstrakcyjnie uważanego człowieka, stara się zatém uwolnić swe wnętrze od wszelkiéj myśli, uczucia, życzeń, opuszcza swój właściwy ludzki charakter, i staje się zupełnie *nieoznaczoném*, czysto negacyjném. Stanowisko to Budaizmu a w pewnym względzie i Sceptyków w religijném swém znaczeniu przeważny przybrało wpływ w średnich wiekach. Życie zakonne, ascetyzm, jest jego wypływem, gdzie człowiek zły i grzeszny z natury swojéj powinien sam sobie zadawać męki i udręczenia ciała i duszy, powinien pokutować za niepopełnione grzechy. Kierunek ten moralności zupełnie jest *pięknemu* przeciwny; bo człowiek wypowiedział w nim walkę wszystkiemu co *piękne* rzeczywiście w sobie zawiera, walkę wszystkiemu co jest *indywidualnie-duchowem*, i *zmysłowo naturalném*.

Ascetyzm jest zupełną abstrakcyą zaprzeczeniem wszelkich rzeczywistych stosunków człowieka, zaprzeczeniem małżeństwa, miłości, rodziny, społeczeństwa, a nawet związku kościelnego, i dlatego *pięknem* być nie może, bo ażeby nim został, powinien dojść do rzeczywistych rezultatów, to jest: do pojednania człowieka z Bogiem, do zaspokojenia duszy — walka nie powinna być wieczną, ale przechodnią.

3cie Negacyjność ascetyzmu ustępuje przed prawdziwą treścią życia ludzkiego, przed całym rzeczywistym światem, i o tyle tylko miejsce mieć może, o ile jéj potrzeba dla indywidualności człowieka do połączenia się i pojednania z *dobrem.* Sfery świata rzeczywistego są dobre zawsze z siebie, i w nich czynnym się okazywać jest to wykonywać *dobre.* Bezpośrednia naiwność i ascetyzm łączą się z sobą, człowiek uczy się poznawać siebie, jeżeli indywidualność jego z *dobrém* się niezgadza, w tedy musi walczyć z sobą samym i przezwyciężyć się; jeżeli zaś wnętrze jego celom *dobrego* odpowiada, — naówczas wybiera z mnogich sfer świata rzeczywistego te, które z indiwidualnością jego najbliżéj są z pokrewnione i w nich działa, a *dobre* stąd wynikające, jako wypływ rozumowego starcia indywiduum ze światem i następnego ich pojednania, oparte zatem na prawdzie i rzeczywistości, jest zarazem światem *pięknego.*

Zastanowiwszy się nad *dobrém* dłużéj aniżeli z początku zamierzyliśmy, przejdźmy do właściwego założenia naszego, to jest do stosunku sztuki do religii.

Religia w ogólności pojmuje w *czuciu* i *wyobraźni* prawdę boską, nieskończoną, wieczną, w jéj przeciwieństwie do znikomych rzeczy; zajmuje zatém serce i umysł. Wszystkim religiom cha-

rakter ten jest wspólny, lecz dopiero w Chrześciańskie prawdziwie się odbija, bo poznanie Boga przez człowieka nie jest jego czynem, lecz dziełem Stwórcy, który się kończennemu człowiekowi objawił; religia zatém jest *własném* objawieniem Stwórcy, a jéj treścią pojednanie świata z Bogiem w miłości. Różnica *religii* od *dobrego* zachodzi jedynie w odmiennéj i zupełnie odwrotnéj do dojścia do zamierzonego celu drodze. *Dobre* bowiem wychodzi z ogólnych celów, i stosuje je do pojedynczych oznaczonych, praktycznych stosunków, gdy tymczasem *religia* wznosi cały swiat rzeczywisty, całe istnienie człowieka do Boga, jako do ogólnéj prawdy. Wschód, wieki średnie są dla nas pięknym przykładem harmonijnéj jedności religii zewszystkiemi sferami ducha i całą treścią człowieka. W nowszych czasach stosunki rodzinne jedynie nie opuściły dawnego stanowiska; inne zaś kierunki ducha, zamiast uczuć serca, *myślenie*, *rozum* przybrały za swą zasadę.

Uważmy bliżéj związek treści religijnéj z jéj kształtem.

Religia objawiając kończennemu człowiekowi Stwórcę w celu połączenia go z Nim, znajduje człowieka mającego pojęcie o tém tylko, co w rzeczywistości istnieje, to jest w naturze, usta-

wach społeczeństwa, państwie. — Ponieważ prawda absolutna ma się objawić kończennemu człowiekowi w sposób jemu przystępny, powinna mu się zatém okazać w rzeczywistych dla niego kształtach (Stosunek Boga Ojca i Boga Syna przedstawia nam tego najlepszy przykład.) Kształt ten nie jest religijnéj treści przeciwnym, ale koniecznym jéj wypływem, bo podług religijnych pojęć o Bogu całe życie człowieka właściwy sobie kierunek przybiera. Podobnież i sztuka mając za swą treść nieskończoną prawdę, nie przedstawia jéj w czystéj abstrakcyi, ale przyodziewa ją w kształty w rzeczywistości istniejące, w zwyczajne przez siebie pojęte i stosowne do treści zmienione formy. Przy *téjże saméj* zasadzie i podobném postępowaniu, różni się jednak sztuka od religii o tyle, o ile przy wyborze kształtu dla oddania treści zapatrywanie się jéj jest różném. *W ogólności* różnica *religii* od *sztuki* jest podobną do różnicy *dobrego* od *pięknego*. Religia bowiem ogranicza się na ogólnych wyobrażeniach o istności Boga, człowiek zaś oprócz *czucia* ma jeszcze dwie władze umysłowe — *spostrzeganie* i *myślenie*, a czucie zajmując środek pomiędzy niemi, uogulnia wprawdzie pojedyncze spostrzeganie, jest dla niego drogą do dojścia do myślenia, ale samo nim jeszcze nie jest, i dla

tego nie zaspakaja zupełnie człowieka chcącego zgłębić zasady w ich prawdziwém znaczeniu, a znajdującego to zaspokojenie pod względem spostrzegania i myślenia w *sztuce* i *filozofii*. Religia starownie przestrzegając ażeby nic jéj przeciwnego nie nabrało znaczenia i siły, nie troszczy się wcale o pojedyncze uobecnienie naszych myśli i spostrzegań w sferze ogólnych religijnych wyobrażeń zawartych, i nie wymaga ażeby zewnętrzne przedstawienie treści przez nią podanéj odpowiadało we wszystkiém wewnętrznemu znaczeniu. Modlitwa nie potrzebuje być w piękne słowa odzianą, bo religijne uczucie jedynie jéj wartość stanowi, podobnież np. postacie świętych po drogach publicznych umieszczone, zwykle przez rzemieślników wykonane, nie mają i niepotrzebują mieć pięknéj postaci, bo ich celem jest jedynie przypomnienie i wzbudzenie w nas religijnéj pokory. *Sztuka* przeciwnie wolna od wszelkich rozdwojeń, uskutecznia to, co dla religii jest obojętném, to jest zlanie się w harmonijną jedność wewnętrznego znaczenia z zewnętrzną postacią, przerzuca i przerabia tysiące kształtów, nim trafi i przyjmie postać któraby była dokładném odbiciem prawdziwéj istoty rzeczy. Odmienne to zapatrywanie się religii i sztuki prowadzi także do odmiennéj treści. *Re-*

ligia przedstawia nam dwa światy jako sobie przeciwne i rozłączone, jeden nieskończony, boski, niewidzialny, drugi świat natury, skończony, widomy. *Sztuka* natomiast łączy te dwa przeciwne sobie światy, jednoczy duch z ciałem, dozwala nam zapatrywać się na to, co przedmiot wiary stanowi, i czyni widomém to co religia za niewidzialne podaje, nie raniąc ani uczuć estetycznych ani religijnych pojęć; pojęcia te bowiem chociaż w zmysłowym przedstawione kształcie, zachowują zawsze prawdziwe swoje znaczenie. Sztuka przedstawia *przedmiotowo* to, co w religii *negacyjnie* tylko pojmuje, jak np. w malarstwie nagość, koloryt ciała aniołów, w którym całe ich duchowe znaczenie pojęte, i niebiańska niewinność wystawioną być winna. Liść figowy w prawdziwém dziele sztuki, jest zbytecznym, bo nagość zmysłowych myśli nie poda temu, kto na nią oczami sztuki spogląda. *Prawdziwa sztuka* przyjmuje na swoje łono najbardziéj zmysłowe przedmioty, a jednak pozostaje niepokalaną; dla tego też inną jest sferą od religii, potrzebuje innego zapatrywania się, innego hołdu. Działanie jéj w sferze światowych czynności i przedmiotów jest takie same, jak w religijnych pojęciach. *Sztuka* może przedstawiać wszelkie przedmioty natury, albo w ich bezpośrednim sto-

sunku z Bogiem, albo jako samoistne. Religia i w tym nawet razie stanowi ich zasadę; stosunek ten tylko nie jest tak widocznym, bo prawda, na któréj świeżość, życie i samodzielność pojédynczego przedmiotu oparta, nie jest samą zasadniczą prawdą wszech rzeczy, ale zasadą pewnéj oznaczonéj, najbliższéj przedmiotowi sfery. Wielką bezwątpienia jest korzyścią dla sztuki jeżeli przedmiot ze świata rzeczywistego wzięty, zamiast bezpośredniego połączenia z Bogiem na najbliższych mu prawach opiera; kształt będzie w tenczas do treści najstosowniejszym, bo zmysłowa postać światowéj treści, nie jest obcą. Ztąd do wytłumaczenia pełność życia w posągach bogów greckich, i niedokładność pierwszych Chrześcijańskich obrazów i rzeźb.

Jakkolwiek wzniosłą i piękną jest dla sztuki treścią religia, niestanowi jednakże najwyższego szczeblu jéj skończoności; bo tam gdzie dzieło sztuki, czy to w malarstwie, czy w rzeźbiarstwie czy w muzyce, czy w poezyi religijne znaczenie mieć ma, tam piękność nie powinna być główným celem, to jest: zamiast oderwania od uczuć religijnych przywięzując nas za nadto do pięknéj postaci, dzieło sztuki wzbudzić w nas winno pobożność i pokorę. *Prawdziwie nieskończona sztuka* niezostaje ani w usługach religii,

ani moralności, ani wiedzy; moralnego zbudowania za ostateczny cel nie zakłada, poświęcenia siebie przez religią niepotrzebuje, bo w sobie saméj jest już świętą; słowem, pojmuje i przedstawia *piękność* jako niezależną i samoistną istotę w absolutnéj harmonii stwórcy i stworzenia.

Z powyższego pojęcia prawdziwéj sztuki wypływu to ważne pytanie, czy sztuka znajduje się w jakichkolwiek stosunkach z *filozofią*, czy myślenie i wiedza na sztukę wpływać, a mianowicie jéj rozumowe pojęcie ukształcić mogą i powinny, czyli, czy jest, czy może być *filozofia sztuki*? Od rozwiązania tego jednego pytania zależy rozwinięcie wszystkich stosunków sztuki z filozofią. Nie zagłębiając się zatém w dalsze rozumowania i wnioski, ograniczymy się jedynie na rozwiązaniu założonego zadania.

Nie każde *myślenie* jest *już* filozofowaniem; bo i w zwyczajném życiu, najmniejsza czynność człowieka w skutku myśli się dzieje, wszelkie wnioskowanie i dowodzenie cechę myślenia niezaprzeczenie na sobie nosi. *Prawdziwe spekulacyjne myślenie*, jest to pojęcie pewnéj treści w myśli tak, że wewnętrzna zasada téj treści, jako jéj istotna prawda się okazuje. Wewnętrzna istota przedmiotu nie pojawia się zmysłowo; siedliskiem jéj jest *idea*. Do niéj zatém, któréj

ani dostrzec zmysłami, ani sobie wystawić wyobraźnią podobna, jedynie *myślą* jako najbardziéj idealnym kształtem dostąpić można, myślą, która wszelkie różnice i wypośredniczenia zewnętrznych pojawów pojmuje w kształcie ogólnym, ogólniejszym od tych, jakich sztuka i religia używa. Tak tedy zadaniem filozofii jest dowiedzenie na drodze wyżéj wskazanéj, prawdy absolutnéj, boskiéj, za stanowiącą zasadę wszechrzeczy.

Jak podług pospolitego mniemania, ugruntowanego na zdaniu Kanta, myśl ludzka niezdolną jest do pojęcia, a tém bardziéj do dowiedzenia téj prawdy, tak możnaby również mniemać że *sztuka* jest tylko *subiekcyjną potrzebą* człowieka. Lecz, jak myśl spekulacyjna istnieje nie dla tego jedynie, że człowiek myśléć chce, ale dla tego że *jest* Pan Bóg, tak i sztuka i piękność absolutną mają zasadę. Dla téj ich niekończennéj zasady *piękność* tak w naturze, jak i w sferach ducha ludzkiego się znajduje, dla téj przyczyny mamy *sztukę*. Zasady jakiéj bądź treści są zawsze *ogólne*, idealne, przenikające wszystkie pojedyncze, szczególne pojawy. Zasady te w swéj *ogólności* również urzeczywistnienie znaleść muszą, to zaś jedynie w *spekulacyjnym myśleniu* miejsce mieć może. Ponieważ *są* zasady, prze to potrzeba ażeby były przemyślane, potrzeba ażeby były *pojęte*. To, co się w ogólności po-

wiedziało, stosuje się i do *sztuki*. W utworach sztuk pięknych są zawarte zasady piękności; w każdym z nich jest wprawdzie *inna* piękność, urzeczywistnia się w każdym ze swych utworów, jako szczególna postać, ale też w każdym z nich istnie jako *ogólna zasada*. Dla tego też, nietwierdząc bynajmniéj ażeby za zakresem *filozofii sztuki* piękności nie było (*np*. w bezpośredniéj naturze) przyznać musiemy, że spekulacyjne myślenie o sztuce, nietylko że miejsce mieć może, ale miejsce mieć powinno, dla tego *filozofia sztuki umiejętnością prawdziwą*, *uzasadnioną i konieczną*.

Tą myślą kończąc pismo nasze, wyznać jesteśmy obowiązani, że ważność mało dotąd przerabianéj treści, nikogo bardziéj nad nas nie przekonywa, że uwagi nasze dalekie od wyczerpania przedmiotu, jak wielu punktów wcale nie tknęły, tak w innych bardzo wiele do życzenia zostawiają, ale téż, wolni od zarozumienia, mieliśmy jedynie na celu, ażeby przy ciągłych sporach, przy uczonych rozprawach o religijnem i filozoficznem pojmowaniu prawdy, zwrócić uwagę piszących na trzecią sferę *ducha*, podnieść głos w imieniu *sztuki* nieuprowadzonéj dotąd do żywotnéj walki, a mając słuszne do tego Prawo. Pismo nasze tak uważaném być winno.

Kontrakty drammat wpięciu aktach, przez Karola Drzewieckiego. Wilno.

Kontrakty dowodzą znakomitego talentu autora. Drammat ten, jest artystycznym szkicem: zwyczajnego związku i całości, do jakich przywykliśmy, w więcéj wykończonych pracach tego rodzaju, nie masz tu wcale; dla tego nazywam go szkicem: jest jednak związek i całość myśli, w czém właśnie cecha artyzmu. Miłość, jedyny element literatury dramatycznéj; miłość, którą wszystkiemi językami i we wszystkich formach określić usiłowano, którą karmią nas codziennie jak chlebem powszednim — miłość ta, jest i tutaj, niby główną, czasem podrzędną, a czasem zapomnianą myślą; tak właśnie, jak bywa w życiu zwyczajnych i niezwyczajnych nawet ludzi,

ale zawsze ludzi, i na tym świecie żyjących. Osoby przedstawione, nie dzielą się jak zwykle bywa w drammatach, na aniołów i szatanów, ale wszystkie są *ludźmi*, mającemi chwile anielskie i chwile szatańskie i chwile pośrednie między temi — takie których cechą jest to właśnie, że żadnych wyraźnych cech nie mają.

Wpleciony w stosunek *zwyczajowy* nie serdeczny, jedną Maryą, kochankę, co się samo z siebie rozumie, wyjąwszy, Leon młodzieniec szlachetny zarodem, lecz woli nie wykształconéj, przez uległość tym stosunkom, jak przez ogień czyscowy, przejść musi między ludźmi, którzy zwodząc jego zaufanie prowadzą go do smutnego rezultatu, do uznania ujemnéj strony człowieka. Lecz rezultat ten zamiast złamać, hartuje duszę jego, wiodąc do wytrwałego zniesienia ciosów jakie go uderzają.

To co powiedziałem daje pojęcie o charakterze, o zarysie drammatu; walka młodzieńca ze światem zwyczajów, opinii towarzyskiéj; treści dać niepodobna, bo chcąc treść napisać trzebaby *przepisać* tę książkę, naszkicowaną w przelotnych, przerywanych a jednakże ciąg i stosunek mających rysach.

Wreszcie dając treść, możnaby było właśnie pominąć to, co główną wartość dzieła stanowi,

zalety bowiem tego rodzaju utworów, są téj natury, że tylko bezpośrednio, a bardziéj jeszcze w myśli i uczuciu niżeli w słowach ocenić się dają. Lekceważenie form przyjętych, posunięte prawie do ostateczności—i dla téj przyczyny ogół uważa *Kontrakty pana Drzewieckiego* za niepodobne do wystawienia na scenie. Mnie się zaś zdaje, że główną przyczyną tego wyroku, jest właśnie sumienność zjaką nasladuje naturę, naturę, którą *prześladować* zwykliśmy tak łatwo, szczególniéj też na scenie, a którą tak trudno nam wiernie przedstawić.

L. Norwid.

Uwagi nad rozbiorem Artykułu Ile rolnictwo wpływem chemii zyskać może.

Roczniki krytyki literackiéj Nr. 35—38.

(*ciąg dalszy*).

Roztrząsnąwszy zarzuty uczynione artykułowi: *Ile rolnictwo wpływem chemii zyskać może*, winienem wyjaśnić, jak dalece autor rozbioru był szczęśliwym w dowodach przeciw opiniom Liebiga. W naukach bowiem doświadczenia, jestto rzeczą zwykłą, podane opinie, wnioski z badań lub teoretyczne widoki, poprzednio rozważyć, zanim nabędą powagi praw naukowych. Roczniki umiejętności podają częste przykłady takich rozpraw; ponieważ one służą do ustalenia przedmiotu, albo wyświecenia słabéj jego strony. Kiedy Dumas objawił prawa swéj teoryi substytucyi, okazały się przeciw niéj głosy Pelouza,

Millon, Liebiga i Berzeliusza i wykazały co właściwie ona wyraża. Podobnie kształcono naukę o radykalach złożonych organicznych, naukę o Amidach, kwasach organicznych, eterach, solach, i t. d. Wszystkie te pojęcia teoretyczne przechodziły, kamień probierski doświadczenia, podobna koléj jest nieuchronna dla teoryi Agronomów, jeżeli one niemają pozostać w rzędzie mniemań dowolnych, lub hypotetycznych. Lecz jeżeli naprzeciw opiniom nowo wyprowadzonym, stawiamy proste zaprzeczenia lub owe obojętne *zdaje się*, czy rozprawy niemi popierane mają jakąkolwiek wartość naukową? Przeciw badaniom potrzeba badań. Na nich opierać się winny zasady, z których w rozumowaniu wychodzimy; wnioskowania i analogiczne wywody w tenczas przekonywają, gdy je doświadczenie popiera, można bowiem łudzić się podobieństwem, bo prawdziwa przyczyna głęboko ukryta, może się odziać zwodniczą powłoką. Czy *np.* to, że Kanionka i Jemioła, wogóle pasożytne rośliny, czepiają się pni i łodyk innych roślin, może nas upoważniać do wniosku: że *żywotność roślin jest podobna, chociaż w małym względzie zwierzęcéj*, a ztąd że *gdy zwierzęta przerabiają szczątki organiczne jestestw, téj saméj władzy niemożna odmawiać roślinom?* (k. 151). Zda-

nie to z pewnéj analogii wyprowadzone, bez wątpienia niezgadza się z dzisiejszemi wyobrażeniami fizyologii.

Że opinie Liebiga znalazły przeciwników w agronomach, było to koniecznym wypadkiem, ponieważ zupełnie przewracają ich mniemania. Że przeciwnie Sprengel powstał, jest rzeczą bardzo naturalną; on bowiem z trudem i wysileniem pracował nad swoją *Bodenkunde Dünger-Cehre*, które po upowszechnieniu się teoryi zawartéj *w chemii organicznéj, do rolnictwa i fizyologii stosownéj* tracą wartość w literaturze agronomicznéj a zniemi upadają wszystkie nadzieje autora.

Lecz kiedy p. T. R. zamierza bronić teoryi dawniejszéj, do tego zapewne skłoniły go ważne powody; to jest doświadczenia, któremi wnioski Liebiga osłabić albo całkowicie znieść potrafi. Tę więc część rozbioru winniśmy starannie przechodzić; ponieważ o to rzecz idzie: czy wiadomości nasze mają zatrzymać się *in statu quo*, to jest pozostać w stagnacyi, albo też posunąć się z postępami doświadczenia. Jeżeli się niemylę, autor rozbioru jest *conserwalystą naukowym*, teorye w agronomii ustalone uważa za niemylne; jako drogi bite po których lekko się jedzie, nieufa nowym pojęciom, chociaż opierają się na doświad-

czeniu; żąda ich więcéj. Naukę Liebiga ze ścisłéj obserwacyi wyprowadzoną, pobija dawniéjszemi badaniami *Saüssura* i *Sprengla*. Niewierzy, że Liebig umiał ich rzeczywistą wartość ocenić. Jestto sceptycyzm zadaleko posunięty, bo Liebig wysoko stoi w nauce badań, wie co przed nim zrobiono i z badań poprzedników swoich, bez wątpienia umiał właściwszy, niż kto inny użytek zrobić. Lecz chociaż nauka Liebiga okazuje, że teorye rolnicze opierają się na błędném tłumaczeniu obserwacyi, albo na mylnie robionych doświadczeniach; nieujmuje to zasługi mężom, którzy sami błądzili lub błędy innych powtórzyli. W naukach bowiem doświadczenia, nasze pojęcia, teorye, rozumowania i wnioski, są prawdami warunkowemi; zależą od badań, i dopóty tylko uważamy je za pewniki, dopóki nowe doświadczenia nieokażą ich mylności. Dla tego zmiana opinii w nauce, nie niszczy zasług ich tworców; one nieprzestaną być cechą znakomitych epok historyi postępu wiadomości naszych; lecz uporne trwanie w mniemaniach upadających, wstrzymuje postęp nauki, który przecież winien być głównym dążeniem uczonych.

Autor rozbioru nieprzyznając teoryi Liebiga, zgodnie z dawniejszemi wyobrażeniami twierdzi, że *ziemia roślinna z rozkładu pruchniejącego*

(Verwesung) *pochodząca, zawiera w sobie rozmaite ciała organiczne, nieco mineralnych, bywa przejęta ciepłem, powietrzem, światłem* (?) *i innemi działaczami naturalnemi a mianowicie wodą, która, spadając zwykle pod postacią deszczu napojona jest w części k. węglowym, lub węglanem amonii, zawiera więc istotne w łonie swojem wszystkie warunki do życia roślin potrzebne.* W takim zdaniu, autor rozbioru twierdzi, że się Liebig myli i prawda pozostaje przy dawniejszych wyobrażeniach agronomów. Lecz możnaby wiele podać przykładów, że próchnica nie służy za pokarm roślinom, najważniejszy zaś jest ten, że najpiękniejsza bywa wegetacya, w miejscach, gdzie próchnicy niema; najgorsza może być na gruncie w próchnicę bogatym. Na piaszczystych brzegach Peru, grunt użyzniają nawozem *guano* w którym niema i śladu k. próchnowego, Wrzosowisko zaś Lumburgskie z 18% k. próchnowego, jest okolicą w Niemczech najważniejszą. Autor przytacza kanionkę jeniałę które czepiają się roślin żyjących, wypijają pożywne z nich soki (k. 151); czy i w nich znajdują się zapasy humusu kiedy jest tak potrzebny do życia roślin? Zapewne drzewa i inne rośliny, część pokarmów bez przerabiania zostawują dla swo-

ich wychowańców. Doświadczenia Hartiga okazały że korzenie roślin niewciągają roztworu kwasu próchnowego. Sok z drzew wypływający jest czysty jak woda, chociaż go z najniższych części pnia upuszczono. — Korzenie więc niewciągają brunatnego rostworu k. pruchnowego lub pruchnianów. W innćm miejscu obszerniéj mówiłem o tym przedmiocie, niewidzę więc potrzeby powtarzać się w niniejszych uwagach. Lecz nie odrzeczy będzie autorowi krytyki udzielić téj wiadomości, że już i agronomowie niemieccy nie tak żarliwie obstają przy obronie próchnicy; sam nawet Sprengel powiada: „rośliny mogą bardzo bujnie rosnąć chociaż w gruncie nie będzie najmniejsza ilość humusu lub kwasu humusowego; na co zeszłego lata dostarczyłem dowodów. (Ann. d. Ch. ünd. Phar. 1841 r. Maj. k. 227.)

W ogólności żadna roślina, mówi Liebig, w zwykłym stanie swego rozwinięcia, niewyczerpuje z gruntu zapasów węgla; przeciwnie czyni go weń bogatszym. Jeżeli zaś roślina może oddać gruntowi węgel zabrany, przeto jest widocznćm: że ta ilość, którą w jakiejkolwiek postaci przy źniwie z gruntu zabieramy, winna swój początek atmosferze. Działanie humusu jest bardzo widocznćm z tego co poprzednio powiedziano. Humus nie tém żywi rośliny, że może być

od nich w stanie rozpuszczalnym połknięty; lecz że jest trwałém źródłem k. węglowego, który, jako główny pokarm rośliny, zaopatruje korzonki pożywieniem, w czasie gdy nięma zewnętrznych organów, do żywienia się z a mosfery potrzebnych. Sprengel, znakomity Autor-agronom, czyniąc nadtém miejscem swoje uwagi mówi: „prawie tož samo poprzednio już powiedziałem; wszelako opierając się na moich doświadczeniach wniosłem; że humus albo k. humusowy także wiele się przyczynia do żywienia roślin. Znalazłem, że grunt przez cztery lata po sobie idące, wydając wykę zielono zbieraną, corocznie $\frac{1}{2}$ p. C. humusu tracił; ztąd wniosłem, że gdy rośliny największą część węgla z atmosfery otrzymują, jak doświadczenie naucza, te $\frac{1}{2}$ p. C. humusu w k. węglowy zamienione, po największéj części ulotniły się, albo też z wodą dészczową wgłąb wsiąkły. „Ann. d. Ch. und. Phar. l. c. k. 232. Lecz gdyby rośliny gruntu niewzbogacały, gdyby tenże corocznie poł p. C. tracił, jaka jest przyczyna, że grunt w Morawii, którego analizę Sprengel przytacza (Bodenkunde k. 554), jeszcze $2\frac{1}{2}$ p. C. humusu k. humusowego i materyj organicznych zawiera? Grunt ten od 160 lat niebył gnojony i nieugórował; więc mu niedodawano węgla — wszelako od tak długiego czasu najpiękniejsze

zbiory wydaje. W jednym gruncie ze Szwecyi, z którego od niepamiętnych czasów bez gnojenia obfite plony zbierają, Berzeliusz znalazł 7$\frac{0}{0}$ materyi organicznych. Zkąd przeto one pochodzą?

Niemożna więc wnosić: że próchnica zawiera wszystkie warunki do życia potrzebne; jest najpierwszém ogniwem łańcucha istot organicznych i t. d. bo chociaż to zdanie pochodzi od Thaera, Schwertza i innych agronomów, jednak go doświadczenia niepopierają; odstępują go sami agronomowie; niemożna więc powiedzieć że jest *zupełnie uzasadnione*. Chociażby w materyi zostającéj po zgniciu ciał organicznych, mieściły się pierwiastki jakich rośliny do życia potrzebują, nie możemy powiedzieć, że próchnica rośliny żywi, tak jak niemożna utrzymywać: że *człowiek żyje trawą lub sianem dla tego że używa za pokarm mięsa z wołu, który te materye przerobił*. Próchnica bowiem, za nim stanie się pokarmem roślin, przejść musi właściwe sobie przemiany.

Mówiąc o próchnicy, agronomowie mają na uwadze k. próchnowy, przez Sprengla bliżéj zbadany. Autor rozbioru także sądzi, że „nauczam rolników niewyraźnie, skoro ziemię roślinną czyli humus i kwas próchnowy za jedno biorę; zwłaszcza kiedy ten sam błąd powtarzam dwa

razy i t. d. W moich uwagach błędu niema. Autor zechce się przekonać w dziele *Thaera*, co pod wyrazem humus agronomowie rozumieją. Z doświadczenia zaś mogę mu zaręczyć, że odróżnienie humusu od kwasu huminowego nie jest tak trudne, ażeby obadwa ciała za jedno poczytywać. Znaleść je można na kar. 155 *Rysu Chemii organicznéj i jéj zastosowań z r.* 1840 Lecz pisząc artykuł do Kalendarza dla ogółu rolników, obok języka naukowego używałem wyrazów więcéj rolnikom znajomych. *Thaer* nieużywa wyrazu *kwas próchnowy*, lecz w ogóle nazwał *humusem*, część ziemi ornéj dla roślin pożywną (T. 2 k. 127) Niektórzy zaś radzą, dla nieteoretyków używać wyrażenia *Düngererde*. (Landw. Litt. Zeit. Heft 1. k. 43) Autor rozbioru przytacza wyjątek z Chemii Berzeliusa, dla okazania z czego się składa ziemia roślinna. To już oddawna wiadomo. Jeżeli zaś nieprzestaniemy na samém dziele Berzeliusa, lecz zasiągniemy nowszych badań, można się przekonać, że materya *Humusem* zwana: nietylko kwas źródłowy i pożrodłowy, próchnowy i próchnicę zawiera, lecz są w niéj i inne związki. Naturę tego ciała wiele wyjaśniły prace Muldera; w nowszych zaś doświadczeniach godnych poznania, Herman odróżnił 16 materyi odmiennych, które

zasługują na uwagę rolników; ponieważ mogą się znajdować między rozmaitemi materyałami, do użyznienia gruntu używanemi. W ogólności produkta gnicia materyi organicznych są:

1) *Nitrolin*, materya w alkaliach nierozpuszczalna; pierwszy produkt gnicia drzewa, a tém samém w ogóle włókna roślinnego.

I. *Kwasy strącane przez kwasy mineralne*

a) Kw. próchnowe, strącane przez k. octowy

2) *Kwas drewno próchnowy* $C_{70}\ H_{70}\ O_{28}\ N_7$

3) *Kw. meta próchnowy* $C_{50}\ H_{30}\ O_{20}\ N_5$

4) *Kw. cukro próchnowy* $C_{30}\ H_{30}\ O_{12}\ N_3$

5) *Kw. anitro próchnowy* $C_{30}\ H_{30}\ O_{15}$]

b) w k. octowym rozpuszczalne (k. źródłowe)

6) *K. anitro po źródłowy* (anitro satz säure) $C_{30}\ H_{24}\ O_{12}$

7) *K. torfo po-źródłowy* (Torf satz säure) $C_{30}\ H_{24}\ O_9\ N_3$

8) *K. rolopo-źródłowy* (Akėr satz säure) $C_{30}\ H_{24}\ O_6\ N_6$

9) *K. porla po źródłowy* (Porla satz säure)?

II. *Kwasy niestrącane hwasami mineralnemi*

a) dają osady z solami metalicznemi zasadowemi (kwasy źródłowe)

10) *K. humoźródłowy* (*Humusquellsaure*) $C_{18}\ H_{18}\ O_9\ N_2$

11) *K. torfo źródłowy* (Torf quell saure) $C_{15}\ H_{24}\ O_{12}\ N_2$

12) anitrokrenowy, (Anitro kren säure) $C_{15}H_{24}O_{14}$

b) Strącają się solami metalicznemi obojętnemi, z roztworów kwasem octowym słabo zaostrzonych (kwasy oxykrenowe)

13) Torfoxykrenowy $C_{12}H_{6}O_{4}N_{2}$

14) Humusoxykrenowy?

15) Anitroxykrenowy $C_{12}H_{6}O_{6}$

Nakoniec, 16 materya obojętna, *extrakt próchnowy* (Humus-extrakt) $C_{32}H_{32}N_{2}O_{14}$

Przy takiéj rozmaitości pierwiastków, znajdujących się w produktach gnicia, którego wyrazu używać? Jeżeli autor rozbioru znał te doświadczenia Hermana, albo wcześniejsze Muldera, zarzut uczyniony że nauczam rolników niewyraźnie, jest w tém miejscu nie właściwy; jeżeli zaś uczynił go z przekonaniem, należało wiadomości te przejrzyć, ażeby mię w położeniu wątpliwém niepostawić á linea. Do zbicia opinii Liebiga autor używa badań Sausura, mających już wiele powagi, ponieważ sięgają roku 1805. *Fizyologowie i Agronomowie*, są słowa rozbioru, *niemogą zaprzeczyć znacznego stopnia prawdy wtém mniemaniu* (to jest że kwas próchnowy nie może służyć na pokarm roślinom; ponieważ jest bardzo mało rozpuszczalny i własność tę łatwo

traci) *lecz niemogą zarazem uważać za nic dowodzeń znanego ze ścisłosci Sausura.* Może więc być *tak* i *tak*. Lecz doświadczenia Sansura były znane Liebigowi. Jeżeli więc autor rozbioru chce opinie jego obalać, należało zdaje się przywieść badania późniejsze, któreby przeciw nim mówiły. Autor rozbioru cytuje wyjątek z dzieła Berzeliusa, w którym znakomity Chemik szwedzki tłumaczy wpływ Humusu na żyzność gruntów, według opinii Saussura i Sprengla. Liebig zaś okazał, że drogę roztworu bardzo mała ilość kwasu próchnowego mogłaby przejść do rośliny; objaśnił to z dat przez doświadczenie podanych. Autor rozbioru sądzi, że ta mała rozpuszczalność humusu, jest bardzo korzystną dla wegetacyi, ponieważ każdy zbytek szkodzi (*z nauki moralnéj*).

Z tego, co Agronomowie i ich stronnicy przytaczają, nie widzę powodów dla czego cała czynność żywienia roślin, ma zależyć od próchnicy; kiedy dawniéj już uważano, że ona nie jest bezwarunkowo konieczną. Berzelius tylokrotnie przytaczany mówi „Fizyologowie roślinni uważali, że rośliny dosyć dobrze bez humusu żyją, dopóki nienastąpi tworzenie się ziarna Lecz od téj chwili, wyciągają z ziemi ornéj wiele pierwiastków, i jeżeli jéj na nich zbywa, kwiat

opada, bez wydania owoców" (Tom VIII karta 442) Wydanie owocu jest niezaprzeczenie najważniejszą funkcyą organiczną istot żyjących; agronomowie utrzymują, że rośliny zielono zebrane niewyczerpują gruntu; dla czegoż więc owoc koniecznie wymaga obecności humusu, kiedy massa materyj do budowy rośliny użytych, jest nie równie większą od materyałów potrzebnych do utworzenia ziarna? Widocznie ta jest przyczyna: że wykształcenia ziarna nietyle zależy od obecności kwasu próchnowego, ile od pierwiastków nie organicznych, do składu tegoż ziarna potrzebnych. Roślina więc, mogąc się do téj chwili utrzymać wodą, kw. węglowym i amoniakiem, przez organa zewnętrzne czerpanym; szuka w ziemi pierwiastków właściwych, i jeżeli ich nie znajduje, przy najobfitszym zapasie próchnicy nie wyda owocu. Zależy więc od składu i przysposobienia gruntu, jakie rośliny na nim żyć mogą. W stanie dzikim, same wybierają miejsca, w których pierwiastki gruntu mogą zaspokoić wszystkie ich potrzeby; jeżeli zaś zniewalamy je żyć na ziemi przez nas wybranéj, potrzeba im dostarczyć pierwiastków odpowiadających składowi ich ziarna. Może obojętną jest rzeczą, czy rzucamy ziarno w gruncie gliniastym, piaskowym, marglowatym, rędzinnym i t. d. jeżeli

w nim znajdują się materye do wykształcenia wszystkich części rośliny potrzebne. Sperengel przytaczając rozbior gruntu z okolic Brunświku, zawierającego 1$\frac{0}{0}$ glinki, powiada: „Widzimy jak niekoniecznie potrzebny jest grunt gliniasty, ażeby wydać bardiej piękną pszenicę". (Bodenkunde wyda. z. r. 1837 k. 483).

Zadosyć uczynienie takim potrzebom rośliny, następuje za pomocą nawozów; przez mechaniczną uprawę, i poddanie na mniéj więcéj długi wpływ atmosfery, dopomagamy rozrobieniu części składowych ziemi, w którém uwalniają się pierwiastki do wegetacyi istotnie potrzebne. Zdaniem Liebiga jest główny cel ugorowania.

Dowodzenia autora rozbioru, że prochnica żywi rośliny, wiele polegają na *extrakcie prochnowym*, ponieważ według doświadczeń Saussura, „grunta z niego pozbawione stają się całkowicie nieżyznemi".

W dziełach agronomów wytłumaczono: że „działaniem kwasorodu powietrza na ziemię roślinnę, tworzy się z niéj woda, k. węglowy tudzież istota szczególna w wodzie rozpuszczalna którą pozniejsi chemicy extraktem ziemi roślinnéj nazwali". Tym sposobem agronomowie objaśniają zkąd się extrakt bierze. Jednak ciało to dotąd jest zgadkowém. Nieznając jego skła-

du chemicznego, nie można przewidzić jaką koleją przemian tworzy się z materyi organicznych w czasie ich butwienia (Verwesung). Po odkryciu k. źrodłowego i poźrodłowego, można było przypuścić, że extrakt jest roztworem źródłanów, poźrodłanów lub prochnianów. Szczegołowo bliższem jego wybadaniem zajął się Hermann, i z analizy związku z niedokwasem ołowiu wyprowadził wzór $= C_{32} H_{32} O_{14} N_2$.

Autor rozbioru chce nam ogólnemi wyrażeniami wyjaśnić, jak się tworzy extrakt ziemi roślinnéj; lecz tłumaczenie jego nieposuwa ani na krok daléj; przypomina ogólny bieg działania, w zmianach, którym materye organiczne podlegają; niepodając szczegołowych faktów, tworzenie się extraktu wyjaśniających.

W ogólném rozumowaniu p. T. R. wychodzi ze składu k. próchnowego $= C_{30} H_{30} O_{15}$. oznaczonego przez *Boullay*. *Mallagutti* w materyi otrzymanéj działaniem kwasów na cukier, drzewo; potażu na trociny, cukier owocowy. Lecz ciało podobnego składu nigdy się nie znajduje w ziemi ornéj. Podług doświadczeń Muldera, próchnica w niéj będąca, stalecznie zawiera azot, który jego zdaniem jest w stanie amoniaku, oznaczył on rozmaite jéj gatunki; lecz we wszystkich, 40 at. węgla są połączone z kwasorodem i wodorodem w takim stosunku jak w wodzie;

albo przemaga kwasorod lub wodorod. Może to ztąd pochodzi, że materye przez Muldera otrzymane są mieszaninami kilku odmian znajdujących się w ziemi i z rozmaitym stopniem amoniaku połączonych. Doświadczenia Hermona wyżéj przytoczone potwierdziły bytność azatu; znalazł go we wszystkich prodoktach gnicia materyj roślinnych. Materyą $C_{30}H_{30}O_{15}$ Herman nazywa *Anitro humussäure* i *Anmitrohumin*. Jeżeli zaś kwas działa na cukier w przystępie powietrza, oprócz kwasorodu zoje połknięty azot jak okazuje wzór następujący:

$3(C_{13}H_{28}O_{41})+3O+3N=C_{30}H_{30}O_{12}N_3$ nitrohumin i k. cukro-prochnowy.

$3(C_2H_2O_3)$ k. mrówkowy.

$24(H_2O)$ Woda.

Na tę okoliczność, że w tworzeniu się kwasów prochnowych w przystępie powietrza, azot zostaje absorbowany, Herman szczególniéj zwraca uwagę; ponieważ to objaśnia zkąd się bierze w drzewie zbutwiałem, w torfie, węglu kamiennym i t. d.

Doświadczenia Muldera i Hermanna znane są pod względem chemicznym,— może mniéj obchodzić będą praktycznych agronomów, ponieważ wszystkie materye wydadzą mniéj więcéj jednakowe ostateczne wypadki rozkładu. W teoryi Liebiga nic też na tém niezależy, jaki zbiór

materyi prochnowych tworzy część ziemi rodzajną—zaprzeczając bowiem bezpośredniéj pożywności prochnicy, za istotny pokarm roślin uważa k. węglowy, wodę i ammoniak, które są ostatecznym wypakiem rozkładu wszystkich ciał zawierających węgiel wodoród i azot. Lecz to mniemanie Liebiga ma wielu przeciwników, szczególniéj agronomowie przeciw niemu powstają, nieprzewidując jak ważnem jest wyjaśnienie sposobu odbycia funkcyi żywienia się roślin.

Nie jest bowiem obojętném, czy próchnica tém rośliny żywi, że się rospuszcza i w stanie ciekłym przez korzenie wchodzi; czy też służy na pokarm zamieniając się na k. węglowy; ponieważ od tego zależą środki użyznienia gruntu, przygotowania nawozu i jego użycie.

Nie należy więc uprzedzać się przeciw opinijom nową drogę postępowania wskazującym; lecz zdrowy rozsądek radzi pojść za ich wskazówkami i badać.

Niewątpię że i powtarzane doświadczenia okażą wartość nowych pomysłów. Jeżeli zaś badanie z należytemi ostrożnościami przez rękę wprawną wykonane, dadzą wypadki przeczące, wtenczas dopiero można wystąpić z zarzutami uzasadnionemi.

Badanie przyrodzenia rationalne, mówi Liebig, przypuszcza że gdy jakiéj materyi przyznają działanie, jéj exystencya jest niemylnie dowiedzioną.

Przyznaję że k. humusowy rozpuszcza się dopiero w ługu potażu i amonijaku; lecz zaprzeczam bytowi tych związków jako soli; ich obecności w gruntach na których rośliny zasiane lub dzikie rosną—zaprzeczam z téj prostéj przyczyny, że ich obecności nie można okazać i przez nikogo nie była okazaną.

Wszystkie roztwory tych soli są brunatne, łatwo je więc dostrzedz—ługując zaś wodą ziemię rodzajną, rościek jest jasny jak woda, nie ma śladu k. prochownego.

Gdyby prochniany przez Sprengla za część składową gruntu uznane, rzeczywiście w nim się znajdowały, wszystkie wody źrodlane na łąkach i polach, musiałyby jak kawa być brubrunatne; każdemu wiadomo że tak nie jest (Ann. der. Ch. und Phar. Maj 1831 k. 227. 228).

Dosyć już zdaje się przytoczyłem dowodów popierających naukę Liebiga—jeżeli im rolnicy nieufają, niech zechcą zająć się doświadczeniami, dla przekonania czy bez prochnicy rośliny żyć nie mogą. Na ziemi wyługowanéj, lub wypalonéj można zasiać oznaczoną wagę zboża; dodać kwasu fosforycznego; wapna, magnezyi, pota-

tażu, amonijaku w ilości stosownéj do utworzenia; gruntu właściwego dla rośliny, a zobaczemy czy bez szczątków materyj organicznych, nierozwinie się i owocu niewyda; oznaczmy potém wagę całéj rośliny, wtenczas można wyrokować czy teorya Liebiga jest urojeniem. Jeżeli się to okaże, dobréj staréj próchnicy powrócimy całą powagę, jakiéj dzisiaj u agronomów używa. Wszelako nim to nastąpi należy mieć tyle szacunku dla pracy Liebiga, ażeby nie występować przeciw niéj z gołosłownemi ladajakiemi dowodami; ponieważ pomysły jego są dla rolnictwa nadzwyczaj ważne i opierają się na wytłumaczeniu faktów przez wielu badaczów zebranych.

Popierając sprawę prochnicy, autor rozbioru przytacza wyjątek z chemii Berzeliusa na dowód, że ziemia rodzajna z południowéj Rossyi i Syberyi, zawiera dosyć znaczną ilość extraktu. Nigdy nieużywana (Jungfernerde) ma go 3% przeszło; długo bez nawozu uprawiana przez to wyjałowiona 2%; nakoniec dolna warstwa gruntu (w głębokości 18 cali) do któréj pług nie sięga, wcale go niezawiera. Lecz rozczytując się w saméj rosprawie Hermana, znajdujemy następujące wnioski z badań nad czarnoziemem przez niego wyprowadzone, które nieosłabiają nauki Liebiga, ale jéj nadają więcéj powagi.

1. W ziemi rodzajnéj (Ackererde) oprócz poprzednio znajomych pierwiastków organicznych, znajduje się jeszcze kwas źrodłowy i pożrodłowy.

2. Ziemia rodzajna wypłoniona, ma mniéj materyi organicznych niż nowina (Jungfernerde). Ilość ich jest w stosunku 7,96, 8,65, 10,42.

3. To zubożenie okazuje się głównie na kwasie humusowym i extrakcie; przeciwnie kwas źrodłowy i pożrodłowy w ziemi wypłonionéj jest w większéj ilości, niż nawet w saméj nowinie.

4. Ziemia w głębokości 18 cali wzięta, nie zawiera extraktu prochnowego (Jur—für prakt. Chemie von Erdmann Tom XII Hefl. 5 k. 290).

Jeżeli więc materye prochnowe stają się pokarmem dla roślin, gdy są rozpuszczone; raczy autor rozbioru wyjaśnić: „dla czego ziemia mająca więcéj kwasu źrodłowego i pożrodłowego staje się mniéj żyzną; gdy obadwa kwasy są rozpuszczalniejsze od kwasu prochnowego“? Czy tylko sam extrakt (rozpuszczalność jego nieoznaczona) o którym przytoczono nam wyjątek z Berzeliusa, ma przywiléj żywienia roślin?

Obliczając ilość materyj początku organicznego razem wziętych, w ziemi jeszcze nietykanéj (a), w ziemi bez gnojenia zasiewami wy-

płonionéj (b); na koniec spodniéj warstwy pod ziemią uprawioną leżącéj (c); znajdujemy:

	a)	b)	c)
kw: źródłowego	2,12	1,67	2,56
kw: pożrodłowego	1,77	2,34	1,S7
kw: prochnowego	1,77	0,78	1,87
Extraktu	3,10	2,20	0,00
Korzonków węgla prochnowego	1,66	1,66	1,66
	10,42	S,65	7,92

Widocznie że ziemia wypłoniona (b) ma dosyć pokarmu dla roślin i powinnaby nadzwyczaj być żyzną, ponieważ wyżéj przytoczony gruut z Morawii ma tylko $2\frac{1}{2}$; ze Szwecyi zaś (k....) tylko 7 procent materyi organicznych i od niepamiętnych czasów najpiękniejsze zbiory wydają. Czy nie jest to dowodem że nie same tylko szczątki materyi organicznych są potrzebne do życia rośliny? i że prochnica nie zakreśla obwodu, w którym śmierć i życie nieustannie krążą?

W dalszym ciągu rozbioru autor twierdzi, że doświadczania Hartiga są niepewne; ponieważ „niezrobił należytego wyboru z rośliny, która nie zwykła jest do wegetacyi w saméj cieczy“ lecz gdy roślina żyła i rosła, widoczna że wykonywały się funkcye do życia potrzebne, zarzut przeto jest niewłaściwy. Doświadczenia

Saussura nie są dokładniejsze od Hartiga. Saussure nie dowiódł ze ścisłością że prochnica jest przez rośliny połykaną; nie sądzi, ażeby była głównym pokarmem roślin; owszem wnosi: że sucha massa rośliny, nie licząc wody, w małéj tylko ilości pochodzi od extraktu ziemi, gazów i wszystkich materyi w wodzie rozpuszczalnych, które zgruntu do korzeni roślin przenikają.

Jednakże sądzi, że one widocznie wstępują do roślin, i pomimo bardzo małéj ilości, mocny wpływ na ich wzrost wywierają. Nakoniec okazuje się że woda, którą roślina z gruntu i z powietrza czerpie i zagęszcza, największą część jéj wagi stanowi; że węgel dostaje nierównie w większéj ilości z powietrza, niż z jakiegokolwiek innego źródła i t. d. (Geblen's nenes allg. Jour. der Chemie Tom. IV. k. 702).

Po takiem rozwinięciu nauki o żywieniu roślin prochnicą zdaje się nie ma wątpliwości, że dotychczasowa teorya wegetacyi, mając tyle przeciw sobie doświadczeń, nie może się utrzymać tak, jak ją agronomowie wyznają. Wprawdzie trudno jest wyrugować głęboko wkorzenione zasady, chociaż nawet błędne; pozbyć się z niemi nabytego nałogu, wyrzec się mniemań że tak powiem assymilowanych; lecz prędzéj czy poźniéj nauka Liebiga, lepiéj przez rolników po-

znana, wprowadzi radykalną że tak powiem zmianę w dzisiejszych pojęciach.

Może ona jeszcze jest dla rolnictwa za wczesną; dla tego dziwić się nie można pociskom przeciw niéj wymierzonym.

Znakomici uczeni w Niemczech i innych krajach, uznali jéj ważność i zalety; przeciwnie ze strony agronomów była przedmiotem cierpkiéj krytyki. Oprócz Sprengla i Grubera którym Liebig dał dobrą odprawę i wiele prawdy powiedział, świeżo wystąpił bezimienny recenzent w drugim poszycie gazety rolniczo-literackiéj Fischera; lecz sposób w jakim rozbierał całą teoryą Liebiga, jest jasnym dowodem, że i tam są jeszcze agronomowie przyuczeni patrzeć przez grubę powłokę empiryzmu i brunatny roztwór prochnianów. Takiego rodzaju przeciwnicy nie są niebezpieczni; nie osłabią wartości pracy tak ważnéj znakomitego professora z Giessen.

Mógłbym w niniejszych uwagach wyjaśnić i inne zarzuty przez autora rozbioru poczynione; sądzę jednak, że na tém poprzestać mogę, ponieważ w rozbiorze swoim za główny cel położył *obronę prochnicy*. Inne uwagi są podrzędne, lecz i one wyjaśnię, gdy mi czas i zatrudnienie pozwolą. Żeby zaś z pewném przekonaniem przedmiot ten wyrobić, uważam za naj-

właściwsze, jeżeli zbierać będziemy doświadczenia według teoryi przez nas bronionych wykonane; i wypadki z nich porównamy. Doświadczenia tego rodzaju, najbliżéj obchodzą rolników i agronomów; dla tego nie wątpię, że zechcą także przyczynić się do wyjaśnienia przedmiotu próbami na większą skalę wykonanemi.

Nim jednak przyjdziemy do tego stopnia, korzystném będzie niezaniedbywać dzieła Liebiga; zajmuje bowiem ważne stanowisko w literaturze. Rolnicy czytając je z przyzwoitem usposobieniem, znajdą w niém wiele światła, rozjaśniającego prawie każdą gałęźiach zawodu, i przekonają się, ile rolnictwo wpływem chemii zyskać może.

Pisałem d. 24 *Maja* 1842 *r.*

S. Zdz.

Mieszkania i postępowanie uczniów Krakowskich w wiekach dawniejszych, napisał Józef Muczkowski professor Bibliografii i Bibliotekarz. Kraków, nakładem i czcionkami Józefa Czecha 1842 roku.

Po kilku latach wypoczynku i ciszy, doczekaliśmy wreszcie téj szczęśliwéj w dziedzinie prac literackich chwili, iż dzieła uczonych ziomków, ważnością, oraz dokładném, mistrzowskiém obranych przedmiotów wykonaniem, stanęły w równi z pracami innych europejskich mężów. Historya Literatury polskiéj, szanownego i uczonego Michała Wiszniewskiego, będzie trwałym pomnikiem, pomnikiem który sam nawet jużby wystarczył do uświetnienia czasów naszych. Obfita liczba dzieł polskich w każdéj niemal stolicy obecnie wychodzących, tém milszą dla nas

pociechą jest i chlubą, iż między niemi, wiele bardzo, prawdziwie użytecznych znajduje się. W oddziale filozofii, historyi, poezyi, literatury i nauk przyrodzonych, ziomkowie nasi nie dopiero /już zapewne obok cudzoziemców celują. To też i w życiu społeczném widziemy niemałe u nas zmiany, niknie gruby średnio-wieczny fanatyzm nikną uprzedzenia tamujące cywilizacyą i oświatę, a w łonie myśli narodowéj zawięzuje się miłość bratnia, która nam błogą nadzieją się uśmiecha — dążmy więc za celem, nietracąc dobréj nadziei; ale wracam do rzeczy.

Pisma historyczne bezwątpienia są jednemi z najważniejszych w każdym przedmiocie, to nie-wymaga dowodzenia. Dzieje naukowości krajowéj, wskazują nam jeszcze środki nowe jakie przedsiebrać, ducha którego ożywić i wzmocnić wypada, żeby tę naukowość oswobodzić do reszty z tamujących ją przeszkód, i rozkrzewić w narodzie.

Pan Józef Muczkowski, mąż światły i uczony, zasłużony professor Uniwersytetu Jagielońskiego w Krakowie, ze skrzętną gorliwością i pracą, przysposabia obfite nader materjały do historyi tegoż uniwersytetu. Dzieło o którem mówić mamy, jest częścią tejże historyi. Wydaniem onego zamierzył szanowny autor wskazać, co i w jakich granicach wypracować zamyśla, czytamy w przemowie:

„Ogłoszając mały ten ustęp z dziejów uniwersytetu, mający służyć za wskazówkę w jaki sposób wypracować je postanowiłem, dołączam do niego rozkład całéj historyi, z usilną prośbą do uczonych i gorliwych miłośników literatury ojczystéj, by poznawszy z niego zakres méj pracy, ze względu na ważność tego przedsięwzięcia, na nieznane, rzadkie, w ich ręku znajdować się mogące dokumenta i pomniki, życzliwie uwagę moję zwrócić, swą pomocą i radą chęci moje wesprzeć, a tak czynnie przyłożyć się raczyli do dokładnego skreślenia blisko pięciowiecznych dziejów téj starożytnéj wspólnéj nam szkoły; boć akademja Krakowska, że się słowy Dobrocieskiego wyrażę, komu nie jest matką, pewnie jest babką.

Dzieje Uniwersytetu Jagielońskiego składać się będą z dziesięciu części. Z tych obejmować będzie:

Tom I. II. Historyą jego początku, wzrostu, upadku, reformy i t. d. aż do r. 1809.

III. Skład uniwersytetu. Wydziały i ich historya. Rektor, professorowie, uczniowie. Administracya uniwersytetu, jego dobra, beneficya, fundusze, dochody.

IV. Kollegia, bursy, borkany, archiwum, biblioteka.

V. Szkoły w Krakowie. Akademie, kolonie, a w dodatku wiadomość o szkołach w dawnej Polsce.

VI. i VII. Wspomnienia o professorach i ich Dziełach.

VIII. Przywileje uniwersytetu, nadania i statuta.

IX. Księgi promocyi, to jest spis osób które od roku 1400 różne stopnie akademickie w wydziałach Uniwersytetu Jagielońskiego otrzymały.

X. Ważną, nie tylko dla nas ale i dla obcych, *Metricae studiosorum pars prima* od r. 1400 od r. 1508 dochodzącą.

Ogłoszone dziełko, pomimo tytułu Mieszkań i postępowania uczniów; zawiera jeszcze wiele bardzo szczegółów ważnych i ciekawych, w ogóle z Historyi uniwersysetu,— jako:

Wstęp.

I. *Kollegia*. Tu Autor skreśliwszy nam najprzód treściwą wiadomość o początku i tworzeniu się kollegiów zagranicznych, w Anglii i Francyi; mówi dalej o Krakowskiém Kollegium większem, mniejszém, nowem, prawnem, lekarskiém— o professorach obszerne szczegóły ich stanu dotyczące, urządzenia, o wykładzie nauk i przedmiotach wykładanych; o dziełach do nauki i t. d.

II. *Bursy*— o bursie Isnera, Jerusalem, prawników czyli Długosza i drugiej prawnej, Filozofów, Sisiniego, Smieszkowicza, Starnigielskiej, Majętnych, Grochowej, Węgierskiej, Czeskiej, Niemieckiej. Bursy te, jak same nazwiska ich wskazują, posiadając liczne fondusze zamieszkane były różnemi narodami w Krakowskiej akademii niegdyś oświecenia i nauki szukającemi

III. *Szkoły parafialne.*

IV. *Zachowanie się młodzieży.* Znajdzie tu czytelnik niemało ciekawych wiadomości o niecnem niegdyś postępowaniu żaków szkolnych w Krakowie; ich niesłychane swawole, łupieztwa, zdzierstwa, bitwy, napaście i wszelkiego rodzaju prześladowania wywierane szczególniéj na żydach i akatolikach— nawet przez samych nauczycieli protegowane, i podsycane przez księży osobliwie zaś przez *jezuitów* tych to wierutnych bigotów, którzy nic świętego nie mieli gdzie tylko zachodził ich interes.

V. *Srodki powściągnienia młodzieży*, przywiedziono dokładnie różne w tym względzie postanowienia, i szczegóły rzecz wyjaśniające.

VI. *Otrząsiny.* są tu opisy ciekawego obrzędu z nowo przybywającemi do uniwersytetu uczniami, czyli beanami.

Dodatki zawierają. Przepisy tyczące się biblioteki bursy Jeruzalem, przepisy tyczące się kar-

ności uczniów— postanowienia Zygmunta I. Zygmunta Augusta względem akatolików: edykt Zygmunta I. względem Jana Seklucyana; edykt Zygmunta Augusta względem wywołania akatolików z miasta Poznania— instrukcya dla professora astrologii, tudzież zatwierdzenie funduszu téj posady przez Macieja z Miechowa uczynionego i t. d.

Po zrobieniu podobnego przeglądu, niepotrzebujemy przypominać, ile szanowny Autor znany już jest z gruntowności wypracowanych przez siebie dzieł, których zalety, i pismo obecnie rozbierane posiada. Styl zwięzły i treściwy nieodbiegający nigdy od rzeczy — wszędzie, okazuje się tu głęboka znajomość różnorodnych wiadomości i niepospolita erudycya, skrzętność w zebraniu szczegółów światło na przedmiot rzucających. Podzielamy to szczere życzenie powszechne, ujrzenia przyobiecanéj historyi uniwersytetu Krakowskiego, która, obok najszacowniejszego dzieła P. Michała Wiszniewskiego, oraz już wyszłych lub zapowiedzianych dzieł treści podobnéj; nie mało przyczyni się do uzupełnienia szczegółowych dziejów naukowości w Polsce.

S. Z. Sierpiński.

ROŻMAITOSCI.

SPOJRZENIE NA PISMIENNICTWO KRAJOWE.

Przegląd Warszawski kończy drugi rok swojego bytowania; kiedy się zjawił, był sam wśród pustyni umysłowych prac, zwracał na siebie uwagę jak osobliwość, która dla tego tylko jest czemściś, że jest sama; późniéj około niego zaczęły się jawić pisma inne różnéj treści i interesu,—mniejsza oto, czy Przegląd wywołał ich życie, dosć że był pierwszym który rozpoczął nowy okres piśmiennictwa w Warszawie. W drugim roku swojego zawodu, w Przeglądzie zamie-

szczane były rozbiory i obszerniejsze rozpatrzenia w dziełach ważniejszych; ta część badania i uwagi zajęła karty tego pisma, jako stosowniejsza dla celu, który to pismo osiągnąć zamierzyło, zwłaszcza, że w obecnym czasie inne rodzaje naukowych zatrudnień przyjęły redakcye nowo wychodzących pism peryodycznych w Warszawie. Przegląd z niniejszym numerem kończy swój zawód: czytelnicy bezstronnie może kiedy osądzą, ile wywiązać się starał z przyjętych zobowiązań;—dalszy ciąg swoich prac zostawia w puściźnie następcom, swoim braciom ducha, żywiącego wiedzę spraw, uczuć i myśli; a teraz przy skończeniu swojém, chce zostawić ogólne jeszcze postrzeżenia nad tém co się w około niego dzieje i myśli, chce coś powiedzieć o tych twórcach i apostołach myśli, co zrządzą nowe światło dla nowych postaci prometeuszowych, i co mogą kiedyś zaświecić słońcem poznania w martwe członki ludzkości. Będzie to ostatnia wola, testament poznań nabytych dwóletniem przypatrywaniem się śmiesznościom i błyskotkom, nadziejom i pociechom, niedorzecznościom i charakterom, talentom i miernościom.

Chcąc poznać myśl społeczności jakiéj czy to moralną, czy socyalną, dość popatrzyć się z uwagą na

to, co ta społeczność lubi, czém się bawi, albo do czego najwięcéj ma skłonności. Każdy człowiek ma pewne upodobania, toż i społeczności mają swoje. Był czas kiedy w Warszawie lubiono obrazki malowane, rysowane, i to było dobre, to było potrzebne dla téмczasowego upodobania. Było to zdaje mi się w roku 1834 i następnych: w epoce gdzie się lubi obrazki, broń Boże dawać coś dla rozumu, lub serca; sensacya jaką sprawia zmysł wzroku, nie pogodzi się ze smakiem duszy w dziełach rozsądku. Potém należy zawsze bawić się w powiastki, ale nigdy w rosprawy poważne i uczone; w sonety i ballady, ale nigdy w natchnienia talentu; po latach czczości i zmysłowych sensacyj następuje wiek zapału i marzenia; biada tym pisarzom, którzy wyprzedzą wiek i czas, którzy będą pisać dla późniejszéj epoki; każdy żyć powinien ze swemi i dla swoich, nierozsądny, kto wyprzedza ducha powszechnego ogólnego. I tak się stało: w roku 1840 potem, zaczął wychodzić Przegląd, bo sądzono, że był czas podać co silniejszego dla rozumu, i zapewne nie zmylono się w rachubie czasu, bo zewsząd myślić i działać zaczęto; i tu i owdzie głoszono, że literatura, że dostatki piśmienne dowodzą wielkiéj epoki, okazują potęgę umysłową towarzystwa, a więc pisać i czy-

tać i drukować należy. A jednakie popełnił się błąd, który był skutkiem pośpiechu. Od dziecińśtwa do uwagi i rozumu nie kilka lat upływa: dzieło i owoc co nagle dojrzewa, jest niezdrowy bo niezupełny; że liliany wśród pierwszéj wiosny zakwitną toż przecie nie czas, aby wszystkie drzewa kwiatami się okryły.

I myślano, że gdy wonieją młode kwitnące wcześnie myśli, a więc czas zapalić ognie ludzkości po przestrzeniach umysłowych prac i robót. Zobaczmy co zrobiono w szczególnych wydziałach literatury, i czy massa myślących i czynnych była stosunkową do stanowiska, z jakiego działać zaczęto na ogół] czytelników.

Poezya.

Cd czasu kilku ostatnich europejskich poetów nowéj szkoły, sądzono, że natchnienie nieprędko się objawi w nowych tworach; każdy czuł i dostrzegał, że geniusz zostawia po sobie próżnię w czasie, i że upływa zawsze dość lat, nim się nowy rozwinie i dojrzeje. I tak prawie było u nas. Zarzucano nam, że nie mamy poetów, coby potrafili stroić struny lutni swéj na nutę wzniosłą,—do serca, jak było przed dziesiątkiem lat. I słusznie tak zarzucano: nie było piewców, bo nie było poezyi, a choćby i

była, bo gdzież jéj nie ma, to nie było takich, coby ją w serce przyjąć mogli i dobrze przetrawiwszy, uradowali nią potém słuchaczów swoich, rozkładając przed ich oczami i ustami akorda tak nowych uczuć. Teraz dopiero, zaczęto mówić, że są i u nas poeci, poeci, którzy nie kłamią uczuć, i umieliby wznieść się do wysokości, na któréj stanęli twórcy nowéj ery w poezyi europejskiéj. Chciwie zaczęliśmy przypatrywać się utworom téj młodzieży natchnionéj, która po tak długim spoczynku, zaczęła znowu swemi pieśniami wprowadzać nas w czarowne koło prawd i myśli upostaciowanych, i znaleźliśmy, że to są dusze poetyczne, a w mowie mają silne narzędzie do wydania nowych uczuć. Cypryan i Ludwik Norwidowie prawdy filozoficzne, łatwo wystawiają w formach poezyi. Antoni Czajkowski na tle religijném, wyraziste kreśli kontury myśli moralnych. Roman Zmorski podania ludu w kształty poetyczne z łatwością przerabia. T. J Lenartowicz z naturalnością, i bez przesady maluje pojęcia urzeczywistnione w praktyczném życiu. Jozéf Paszkowski dość szczęśliwie wzniósł się do stopnia tonu i muzyki myśli, dla odszkicowania utworów Getego.—Z młodych dam naszych, Gabryella..... dowiodła, że pojmuje stanowisko natchnienia.—Oto nie wielki szereg uznanych poetów naszych, ale ich talen-

ta przy stosunkowém ukształceniu smaku w sądzeniu rzeczy i ludzi, jeżeli nie stracą nic ze swéj dzielności i czucia, zdolne są wznieść sztukę do wyższego nierównie stopnia, niż ją naszéj epoce zostawiono.

A przecież niezrozumiano, niepojęto wielu utworów tych młodych piewców; zaprzeczono niektórym i talentu i sztuki obrazowania, a ich muzykę mowy nazwano niepojętą, niezrozumianą kombinacyą słów i dźwięków. I jakże więc, czy nie zawcześnie ci poeci tak śpiewać zaczęli?—ale to pociesza, że owi nieliczni sędziowie, są wyznawcami dawnéj szkoły, a więc pojmujemy ich. Nie uczuje kompozycyi Szopena ten, komu tylko kuranty grane na machinach smakują.

Filozofia.

Po epoce zapału i natchnienia, następuje epoka rozumowania i badania, jak tylko więc są poeci, muszą być następnie i mądrzy dostrzegacze prawdy. Twierdzą, że u nas nie może być filozofii, bo i mowy do tego celu brak, i głów dostatnich nie znajdzie. Jakie sobie ci ludzie zrobili wyobrażenie o filozofii, nie pojmuję; zaprzeczać ludziom możności filozofowania, jestto zaprzeczać im możności rozsądku, a chcieć, abyśmy tak, i z taką siłą w badaniach prawdy

postępowali, jak to widzimy u obcych, jestto chcieć, abyśmy cudzy rozum wzięli, a wyrzekli się swego. A więc nakłaniać nas do przyjęcia filozofii niemieckiéj lube klektyzmu, nie jestże to największą niedorzecznością, skoro do tak wzniosłych i spekulacyjnych systematów, jeszcze nie jesteśmy usposobieni?—Zatem pracujmy na drodze badań według naszych sił i pojęć, bogaćmy doświadczeniem i reflexyą naszę wiedzę, a przyjdzie czas, że nareszcie sięgać zaczniemy za granicę naszych zwyczajnych widoków, a ująwszy w systemata wypadki czystego rozumu, zaczniemy przez zrównanie przeciwieństw dochodzić najwyższego stanowiska, do jakiego wolno wznieść się myśli ludzkiéj. Dziś nawet przy szczupłéj liczbie osób oddających się wyższemu badaniu, widoki filozoficzne nie są poślednie.—Z rozpraw T. Kurchanowicza zamieszczanych w Przeglądzie, dostrzedz można dążność do wykrycia logicznych form na dopełnienie myśli ludzkich. Libelt jeszcze daléj posunął prace pod tym względem, a jego obraz literackiéj cywlizacyi w Niemczech, okazuje wielkiego znawcę i dostrzegacza charakterów ludzi, zwyczajów i faktów, jakotéż znakomitego estetyka.—W rozprawach zamieszczanych w drugim tomie Przeglądu r. 1840 starano się wypadki dostrzeżeń w umiejętnościach przyrodzonych,

wystawić w poetycznej syntezie.— August Cieszkowski w rozprawach zamieszczanych w Bibliotece Warszawskiéj okazał silną wolę i głęboko badawczy rozum do zgłębienia analitycznego treści instytucyj socyalnych. Ukształcony na najnowszych systematach niemieckich, usiłuje zajść duchem badania w istotę naszych ustaw, i okazać czem są i czem będą przy danych warunkach.—Talent p. Ziemęckiéj jest uznany, ale chwiejący się, trwożliwy, piękny jak każdy talent kobiety. Tłem jéj jest pietyzm czysty, chrześciański, a kolorytem substancya widoków Heglowskich. Panteizm stanowi przycień, który nie zawsze daje się rozpościerać światłu. Traktat: o moralności dla kobiet, jest całością, w któréj się najlepiéj dają dostrzedz charaktery usposobień i skłonień autorki.—Pomysły filozoficzne E. Dembowskiego drukowane w Przeglądzie Naukowym nadto są oderwane, aby o nich publiczność warszawska sąd dawać mogła; znakomity ten pisarz wyprzedził czas obecny, i przeniosł się w epokę, któréj może i kilka dziesiątków lat do nas nie zbliży. Z prac takich chyba przyszłe pokolenie skorzysta. — Rozprawy w Bibl. Warsz. rozwijające zasady prawne, względnie do pewnych warunkow w spo-

łeczeństwie, okazują tylko, że dziś znajomość człowiecka w całéj jego treści, łączyć się ściśle musi, ze znajomością historyi jego i całéj ludzkości; niedokładna znajomość jakiejbądź karty tak obszernego dzieła ludów i ich ducha względnie do czasu i miejsca, stanowi szczerby w instytucyach prawnych, które sprawiają choroby moralne całych społeczeństw i pojedynczych ludzi.

A więc u nas niewiele zrobiono na drodze poszukiwania prawdy, a mniéj jeszcze, na drodze wprowadzania wypadków owych poszukiwań w rzeczywiste myślenie. Z tém wszystkiem, początki, niektóre noszą na sobie piętno spekulacyjnéj dojrzałości (jak np. traktat o finansach w Anglii, ochronach, filozofija sztuk pięknych). Zapytájmy jednak czytelników, czy prace uczone w tym względzie sympatyzują z potrzebami ich serca, i jaki jest stosunek mass czytelników do wyobrażeń upowszechnianych w pracach pisarzy obecnéj epoki? Mnie się zdaje, że bardzo nieodpowiedni.—Jedni mówią, że rozprawy czysto naukowe są dla nich nudne, trudne, niepotrzebne; drudzy, że im *najsmutniejszy widok sprawiają*, bo ich pojąć nie mogą, czy nie umieją (Krytyk Bibl. Warszawa Sierpień r. z.). Inni jeszcze

doznają jakiejś ckliwości, gdy słyszą coś o piętyzmie, o attrybucyach bezwzględnego czasu, wieczności i t. p.—Jakiż ztąd wniosek? oto: *mało u nas jeszcze chcą myślić, choć ci, co dają myśli, nie sięgali po nie daleko, i brali je zbliska.*

Historya i Powieść.

W ostatnich dwóch latach, tu w Warszawie dla historyi właściwéj nic nie zrobiono.. Cudzem tylko okiem patrzą u nas na historyą, własnego systematu, obejmującego w syntezę wszystkie słowiańskie żywioły naszéj historyi dotąd nie mamy; nikt się dziś nie zajmuje krytycznémi zbadaniem mnogich faktów naszéj przeszłości z różnych epok, niektórych prawie jeszcze nietkniętych, nikt się nie odważa czynów ludzkich z dawnych lat równać z dzisiejszemi wyobrażeniami o cnocie, sprawiedliwości, ekonomii, polityce, i tym sposobem ze zrównania takowego, szukać wypadków prawdy bezwzględnéj do czasu i miejsca i prawdy względnéj do miejsca i czasu, czyli jak mówią *ducha wieku.* Dla czego u nas taka nieczynność pod tym względem? dla czego to archiwum powszechne pamięci, tak zaniedbanie stoi? Jakiekolwiek zrobi-

libyśmy do niego dopełnienia, zawsze byłyby one dowodem, żeśmy patrzyli w siebie, żeśmy mieli znajomość naszego sądu i bytu, naszych sił i pojęć: lata podobnéj obojętności na historyczne życie nasze, lata, w których się zaniedbuje rachunku krytycznego z tego co się zrobiło, można uważać za stracone w życiu narodów, podobnie jak one dni, w których się nic dobrego nie uczyniło.

Poszukiwania p. Maciejowskiego nad społeczném życiem naszych przodków, ich instytucyami, zwyczajami, są wielkiéj wagi i pewne światło rzucać będą na nie jednę kartę historyi naszéj: z jakąkolwiek ideą spółczesną równa autor swoje odkrycia kronikarskie, zawsze wypadek jest interesujący, bo z nowego stanowiska ukazuje przedmioty. A w historyi i filozofii właśnie zależy, na odkrywaniu jak najwięcéj takich zrównań, aby potém równając same wypadki z nich, względnie z pojęciami rzeczywistéj prawdy, zbliżać się nareszcie coraz więcéj, do tego nie zaciemnionego niczem świecznika rozumu, przy którym już jasno widać, co czem było, i dla czego tém było, a nie innem. Ci co się skarżą na nowe systema i widoki, czy to w filozofii czy w historyi, są jak owi starcy chorujący na oczy, którym każde nowe i mocniejsze światło ból sprawia, i dla tego najdogodniéj im zawsze przy zmroku i chcieliby zawsze jedno-

stajności, to jest, zmroku. Błogosławiona literatura, w któréj jak najwięcéj i nowych i różnych wynaleziono stanowisk dla przypatrywania się temu samemu przedmiotowi; tam wszystko się wiąże, całe szeregi rozumowań, płyną w rwistym potoku myśli zewsząd wzbierającym, a oczyściwszy się z mętów, przebiegłszy tysiąc razy, przez mnogie pojęcia fałszu i błędu śmieszności i głupstwa, tworzą nareszcie czyste źródło prawdy.

Hip. Gawarecki przez zbieranie wiadomości historycznych o dawnych grodach, kościołach i zamkach, ustanowi znakomity skład kronikarskich szczegółów dla historyka. Cześć każdemu kto w jaki bądź sposób robi dobrze dla przyszłości.

Wł. Wojcicki zasługuje się dobrze wspólnéj potrzebie naszéj, jego gawędy, obrazy, pieśni i t. d. chociaż przekształcone niekiedy nawet w niewłaściwe formy i stroje, zawsze mniéj więcéj obznajmiają, z naszą przeszłością. Łatwiéj będzie odtrącić to, co niepotrzebne lub dodane, gdy będzie materyał, niżeli zrobić coś z niczego.

Co do powieści historycznéj, ta jako obraz, jako sztuka łatwiej się u nas udać może, jak historya; mieliśmy prób kilka w ostatnich latach mniéj więcej szczęśliwych, co do osnowy po-

wieści, ale wszystkim prawie brakowało owego kolorytu narodowego względnie do epoki czasu i osób, wszędzie zgrzeszono przeciw jednym lub drugim warunkom. U nas wszelkie walter-sko-tyzacye dopóty udawać się nie będą, dopóki lepiéj nie poznamy tła historycznego życia naszych przodków, bo kto chce przedstawiać drobiazgi życia domowego, namiętności i zabawy społeczeństwa, musi koniecznie objąć, związać w ogólny widok wszystkie jedności społeczne, wszystkie indiwidua myślące i działające, urobić sobie z tego jednę miarę na ludzi, myśli, i czyny, i do niéj przykładać i stosować wszystki obrazy i kontury; co od niéj odstawać będzie jest fałszywe i nieprawe.

Z autorów powieści któremi tu w Warszawie zbogacono literaturą polską, wymienić należy: I. Osipowską, Paulinę z L. W. i Paulinę Kraków. Wszystkie dość wiernie malują osoby, zwłaszcza gdy przechodzi przedstawić uczuciową stronę serca; wątek i dykcya epizodów zawsze interesowna i nowa, ale prawda historyczna, o ile ta powinna być zachowaną, w rysunku tych szczegołów, które charakteryzują wiek, zawsze bywa zatartą lub sfałszowaną. Powiedziałem, że dopóki będą naśladować obcych, powieściopisarzy nie poznawszy wprzód własnych zasobów do historycznego wątku powieści, dopóty ta

ędzie nie wierną i nieprawdziwą naszą. — U nas nic podobnego być nie może, jak w Szkocyi np. u nas rzeczywistości potém dopiero przechodzą w myśli, stają się duchem żywiącym poezyą i życie, jakże więc praca udać się może, gdy kto przeciwną obiera drogę, dla wykreślenia obrazu owéj gry życia i poezyi, który stanowi treść powieści. Zresztą warunki historycznéj powieści, są te same co utworu artysty-malarza, skreśliliśmy je w numerze X Przeglądu za r. : widzimy je dopełnione w dziełach najznakomitszych pisarzów;—u nas z pociechą wyznać musimy p. Miniszewski w powieści *Jan Pieniążek* kazał talent artystycznego obrazowania, jaki np. w Bulwerze tak wysoko cenimy.

Ale, ale, zapomniałem téż powiedzieć choć słówko o stanowisku krytyki i krytyków w Warszawie których nie słusznie tak się obawiają;—alež ja znam tylko Alexandra Tyszyńskiego Jg. Rychtera. A więc panowie poeci, grammatycy, powieściarze i t. d. nie macie się czego zrażać,—możecie pisać jak wam się podoba, jak umiecie, — alboż nie dowodem tego Wiesław i Wiesława?

Józef A. Czajkowski.

Nowo-odkryte groby w Hiszpanii

Przy dobywaniu kamieni w wąwozach Sierra de Elvira o milę od Grenady, odkryto groby rozmaitéj budowy, stawiane z pięknie i starannie gładzonych ciosów, w grobach tych wszystkie szkielety leżą twarzą ku wschodowi. Pomiędzy kościami znajduje się mnóstwo pasów, drogich kamieni, naramników, zapinków, i pierścieni ze złota, a więcéj z miedzi. Tém odkryciem rozdraźniona chciwość robotników pobudziła ich do staranniejszéj pracy, i tym sposobem napadli na ogromną przestrzeń grobów z czasów rzymskich. Z kosztownych grobów jakie się tam znajdują wnosić należy że należały do znakomitego i obszernego miasta. Wyprawiona Kommissya z Lyceum Grenady zajmuje się badaniem tych szczątków starożytnych. Uczeni jednak dotąd nie zgadzają się czy miasto obok tych grobów będące nazywało się Hiberja czy też Ilurco, gdyż obadwa te miasta w okolicach Grenady były położone. W każdym przypadku to jest pewném, że groby te przed 1200 laty istniały, nigdzie bowiem dotąd nie odkryto napisów arabskich (*Corresponsal*).

B. War.

WSPOŁCZESNA KRONIKA LITERACKA.

WARSZAWA.

Hodowla koni czyli nauka żywienia, rozmnażania pielęgnowania koni i t. d. z dodatkiem osobnych przepisów chodzenia około koni wyścigowych, przez S. J. Łyszowskiego. 8 2 Tomy z rycinami Warszawa r. 1842.

Dzieło to obejmuje historyą naturalną konia, dzieje postępu sztuki u nas nad jego hodowlą i samą tę sztukę na zasadach praktycznych opartą — nad to naukę poznawania i leczenia chorób końskich, tudzież wiadomość o utrzymywaniu wyścigowych koni — słowem jest ono wyższe nadto wszystko, co literatura krajowa w tym przedmiocie dotąd posiadała.

Uwagi nad teraźniejszym stanem starozakonnych pod względem policyjno-lekarskim

przez B. R. Lekarza 8 *str.* 40 *Warszawa r.* 1842. .

Wyliczywszy autor najważniejsze punkta obrządków religijnych, zwyczajów, i obyczajów starozakonnych, ze względu policyjno-lekarskiego, dopełnianych nader szkodliwie, doradza aby te niezbędnie znacznym zmianom uległy, bez nadwerężenia religii i świętości jéj przepisów. Zbawienna rada, oby tylko wyznawcy starego zakonu chcieli usłuchać głosu prawdy.

Historya naturalna rodu ludzkiego przez J. J. Virey doktora Medycyny paryzkiego fakultetu:, przełożył p. E: L. Tom IV o kobiecie, Warszawa r. 1842 (*wychodzi poszytami*).

Virey należy do rzędu najwymowniejszych wieku naszego pisarzy w przedmiotach naukowéj treści: sztuka, jakiéj używa w wykładzie najpowszechniéj obchodzącéj nauki, któréj obecne mamy tłumaczenie, jest nieporównana: jest to książka, należąca bez wątpienia do nader korzystnych i zajmujących.

WILNO.

Pielgrzymka do ziemi świętéj odprawiona przez X. Hołowińskiego 8 *T. I. str.* 246 *T. II. str.* 452 *Wilno r.* 1842.

Dzieło to za ukończeniem całości, wzbogaci nasze piśmiennictwo pięknym i pożytecznym wzorem

w rodzaju podroży: jest to zajmujący i pełen interesu obraz zwiedzonych przez Autora krajn, który wskrzesza zaszłe w nich historyczne wypadki, przedstawia obyczaje i sposób życia mieszkańców, rektyfikacye jeograficzne i t. p.. Tu poznajemy Odessę, gród Konstantyna, Smyrnę, Cypr, Damaszek, ruiny Balbeku—w ogólności, zaleca to dzieło dokładność i rzetelność opisów i wiele starannych poszukiwań miejscowościom poświęconych a służących do objaśnienia przedmiotu.

***Aksel**, romans **Izajasza Tagnera**, **przez Jana Wiernikowskiego** z prozaicznego przekładu **P. Chak** przerobiony 16 str. XV — Wilno r, 1842.*

Znane i wysoko cenione w literaturze szwedzkiéj prace Biskupa wexioskiego Tagnera, znalazły tłumaczów w kilku eurepejskich językach. P. Wiernikowski, którego Ody Pindara, i przekłady z Perskiego objawiły już dawno niepospolity talent, przyswoił obecnie naszéj pismienności poemat Tagnera *Aksel*. Przekład ten jest nowym dowodem ile P. Wiernikowski zdolny jest władać językiem odziewać poetyczną szatą wszelkie obrazy, słowem nietłumaczyć ale tworzyć, odwzorowywać obcéj literatury płody.

Przygotowania do nauki dziejów powszechnych i historyi przez Tytusa Szczeniowskie-

go 8 str. 160 *nakład i druk Teofila Gluksberga Wilno r.* 1842.

W dziele tém, jak mówi autor, postanowił wykreślić ogólne postępy człowieczeństwa dla tych, którzyby chcieli wpatrzyć się w naukę historyi: praca więc ta należy do filozofii historyi.—Recenzent w Bibliotece Warszawskiéj T. III. kar. 175 okazał w jakim stosunku zostają objawione pojęcia autora w obecnem dziele, do najznaczniejszych utworów filozoficznych, nowszych czasów—my wszakże dodamy, że z przyniesionych owoców zebranych w podróży w dziedzinie przeszłości, chociaż nawet niezupełnie dojrzałych, mamy prawo się cieszyć, gdyż z nich powstać mogą nasiona w ziemi rodzinnéj nowe zapowiadające plony.

Wspomnienia Żmudzi przez X. Ludwika Jucewicza 8 *str-* 211 *nakładem Glucksberga. Wlno r.* 1842.

Jeszcze w r. 1840 wyszły w Warszawie te wspomnienia o których w swoim czasie daliśmy w piśmie naszém wiadomość—tu więc tylko dodamy, że dzieło to X. Iucewicza doczekało się powtornego wydania.—Nadmieniamy także że edycya Wileńska znacznie jest powiększona, tak dodaniem nowych artykułów, jako też rozszerzeniem zawartych w pierwszém wydaniu.—Żmudź jest to kraina stanowiąca ostatnią zdobycz chrześciaństwa, na pogaństwie. — Oblicze jéj

zajmuje niemałym interesem, i Ksiądz Jucewicz umiał przedstawić jéj postać jako ziómek w dobitnych i wyrazistych farbach, zająć nowemi obrazami domowego życia, i przesłać rzetelnie i korzystniejsze o swojéj braci na odleglejsze strony wyobrażenie.

Kontrakty dramat w pięciu aktach przez Karola Drzewieckiego—wydanie Adama Zawadzkiego 8 str. 205. Wilno r. 1842.

Dramat ten zasługuje na baczniejszą uwagę jako odznaczający się nową stroną sztuki — uwagi nad nim zamieszczone powyżéj.

Umarli i żywi albo wszystkiego po trosze dramat w pięciu aktach przez Józefa Korzeniowskiego wydanie Adama Zawadzkiego 8 str. 176. Wilno r. 1842.

Dramat ten jest rozwinięciem końcowego w nim zdania: że na świecie więcéj jest występnych mężów niżeli żon, ale mąż może się upamiętać i powróciwszy do cnoty, może powrócić żonie szczęscie i pokój, biada zaś kobiecie która się zbłąka — dla niéj nie ma drogi nazad.“ Wyborny język, bogactwo poezyi, żywość i ogień, malowidło dobitne zepsutéj strony serca ludzkiego, znamionują jak inne prace, tak i obecny utwor znamienitego autora.

Listy oryginalne Zygmunta Augusta do Mikołaja Radziwiłła czarnego Wojewody Wileńskiego Marszałka i Kanclerza W. K. L, Księcia na Ołyce i Nieświeżu Brzeskiego, Szawelskiego, Kawieńskiego, Boryssowskiego i t. d. starosty, tudzież niektore jego listy do Mikołaja Radziwiłła Wojewody Trockiego, Beaty księżnéj Ostrogskiéj, Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Wojewodzica Wileńskiego, X. Alberta Palatyna Reau i t. d. z autentyków spisane i wydane, przez Stanisława Augusta Lachowicza nakładem i drukiem P. Glucksberga 8 str. 323. Wilno r. 1842.

W przedmowie wydawca oświadcza, że listy te są najwierniejszą kopią autentyóów znajdujących się w bogatym zbiorze rękopismów Cesarskiéj publicznéj Biblioteki w Petersburgu, pochodzących z Biblioteki książąt Radziwiłów w Nieświeżu. Publikacya ta należy do ważnych historycznych źródeł, tém bardziéj że dotąd jeden tylko z tych listów był w *Pamiętnikach o dawnéj Polsce w Tom. I.* zamieszczony, Znajdujemy tu ważne i interessujące szczegóły co do politycznych dziejów panowania tego Króla, tudzież wierne zwierciadło wieku i wielu zdarzeń mianowicie co do Bony, Dymitra Wiśniowieckiego i księżnéj Beaty Ostrogskiéj.

Dzieje wewnętrzne narodu litewskiego z czasów Jana Sobiewskiego i Augusta II królów panujący w Polsce, wyciąg z różnych notacyów i manuskryptów przez Justyna Narbutta Połkownika b. w. p. 8 2 Tomy str. 128 — 130 w Drukarni Dworca Wilno r. 1842.

Książka ta obejmuje jedno tylko historyczne zdarzenie, to jest kłotnie między księdzem Konstantym. Brzostowskim biskupem Dyecezyi Wileńskiéj, a księciem Kazimicezem Sapiehą Wojewodą i Hetmanem wielkim litewskim — źrodło to tylu nieszczęść i zamieszek na Litwie, spowodowało znaną pod *Olkiennikami* bitwę, która tak nieszczęśliwie zdecydowała los Sapiehów. — Autor w końcu zamieścił niektóre historyczne źródła, mianowicie: list od Hetmanów koronnych i Hetmana Pol. Lit. za Hetmanem W. L. z obozu z pod rzeki Tyru d. 10 7bris 1694 do Ojca ś. pisany. Przysięga na pospolitem ruszeniu. Traktat puzewicki. — Manifest Hetmana Sapiehy. — Ostatnia ugoda na sejmie 1702 roku.

INNE MIASTA.

Biblioteka naukowego zakładu imienia Ossolińskich, jako dalszy ciąg Czasopisma naukowego wydawanego przez tenże zakład w 1824 1834 r. 8 Tom 2 str. 232—158 wytłocznia Józefa Schnaydera. Lwów 1842 r.

Czasopism ten, rozpoczęty pod redakcyą F. Siarczyńskiego odznaczał się ważnością przedmiotów,

językiem, i zajmował umysły czytających — następnie P. Słotwiński mniéj starannym doborem zniżył o wiele jego wartość i dla tego nastąpiła siedmioletnia przerwa. — Obecnie Dyrektor zakładu Adam Kłodziński znowu go powołał do życia. — Wymienione powyżéj 2 tomy, oprócz wstępu i rozmaitości, zawierają: Polonentychia panowania Zygmunta I. z dawnego rękopismu Andr. Lubienieckiego—Gotfryd Lengnich rękop. Józ. Mak. hr. Ossolińskiego. Wiadomość o Ormianach w Polsce.—Początkowe dzieje Polski przez Aug. Bielowskiego. — Rosprawy o języku polskim i jego grammatykach przez Deszkiewicza i t. d.

Piosnki ludu wiolko-polskiego zebrał i wydał J. J. Lipiński część I. 12 *str.* 216 *nakładem i w Czczonnicy nowéj Księgarni, Poznań r.* 1842.

Część ta zajmuje, wedle podziału P. Lipińskiego, pieśni ludu wielkopolskiego, powieściowe—w dalszych, ma zamieścić pieśni urzędowe, z opisem obrzędów, pieśni weselne z opisem porządku weselnego, odrobinę dziejowych, nieco wojackich, drwinkowych, kolebkowych, i dwieście z gorą *Wielkopolanek.*—Pieśni powieściowe w obecnym zbiorze objęte, niewszystkie do tego rodzaju odnieść się mogą, bo wątkiem ich nie jest powiastka—niewiele jest takich, którychby poprzednie nie obejmowały zbiory, inne nie należą do pieśni ludu—oczekujemy dalszych,

z których zapewne da się wyciągać charakterystyka pieśni wielkopolan.

Dzieje kościoła wyznania helweckiego w Litwie przez Józefa Łukaszewicza Tom 1 8 str. 414 Poznań r. 1842.

Jest to gruntowny i zajmujący obraz z historyi krajowéj, przedstawiający z sumiennością dziejopisa dalekiego od wszelkiéj stronności, los i koleje przez które kościoł helwecki w Litwie przechodził. Dotychczasowe prace Węgierskiego i Lubienieckiego o reformacyi P. Łukasiewicz obszerniejszym wykładem, gruntowniejszem rozwinięciem, pilniejszem i pracowitszém badaniem, przedstawieniem wiernem przyczyn i skutków wzbogacając, wielką piśmiennictwu krajowemu zrobił przysługę. —Przy obszernych wiadomościach, czerpał on materyały w jedynych i najobfitszych do tego przedmiotu źrodłach, jakiemi są: Biblioteka publiczna Raczyńskich w Poznaniu, zbiór polskich druków hr. Działyńskiego i archiwum Braci czeskich w Leśnie. — Za ukończeniem 2 tomu tego dzieła posiadać będziemy wielki skarb podnoszący widok historyi i oświecenia krajowego..

X. Hugona Kołłątaja, rozbiór krytyczny zasad historyi rodu ludzkiego wydał Ferd. Koisiewicz Tom I. 8 str. 405. *Kraków roku* 1842.

Szczęśliwem przeznaczeniem, prace X. Hugona Kołłątaja po upływie 30 lat od zgonu tego znakomitego męża, dostały się przecie w ręce P. Fer. Koisiewicza Profes. Uniwers. Krakowskiego, który zamierzył je drukiem ogłosić.— W trzech oddziałach wydanie to obejmować będzie wszystkie pisma mianowicie: |w I. Badania historyczne w II. listy — w III. Pisma rozmaite.

Oddział I składający się z III tomów na które prenumerata wynosi Złp. 30, wychodzi z autografu, który sam autor r. 1805 w Słucku na Wołyniu wedle postrzeżeń Jana Sniadeckiego poprawił i do druku przygotował. Mówić o ważności téj publikacyi, uważamy za rzecz zbyteczną.

Michała Wiszniewskiego historya literatury polskiéj Tom IV 8 str. 482 nakładem Autora w drukarni Uniwersyteckiéj w Krakowie r. 1842.

W ośmiu rozdziałach, przebiega autor w tym tomie historyą XV wieku mówiąc najobszerniéj o Astrologii i Akademii krakowskiéj — treść rozdziałów jest następująca: Kronikarstwo polskie XV wieku od Janka archidyakona gnieznieńskiego do Miechowity.— Biografia i Heraldyka.—Podroże do ziemi ś. Jeografia ogólna: *liber beneficiorum* i pierwsza chorografia polski przez Długosza.—Fizyka scholastyczna, Magia, Alchimia, Astrologia, Kalendarze krokowskie piętnastego wieku, *Iudicium cracoviense* i Matematyka

czysta do Kopernika:—Medycyna. Pierwszy Zielnik polski. Sławni polscy lekarze. Woda odmładzająca królowéj Elżbiety siostry Kazimierza wielkiego.— O bibliotekach krakowskiéj, poznańskiéj, Dominikanów krakowskich, Mechowitów, i płockiéj: szkoły parafialne, katedralne i klasztorne, bractwo literackie w Żarnowcu.—Historya Akademii krakowskiéj od jéj odnowienia wr. 1400 do Zygmunta starego.

Charaktery rozumów ludzkich skreślił Michał Wiszniewski wydanie drugie przejrzane i pomnożone 12 *str.* 303 w *drukarni Uniwersyteckiéj w Krakowie r.* 1842.

Niewymieniamy treści rozdziałów, jako książki już znanéj i sprawiedliwie wysoko cenionéj—a kiedy pierwsze jéj wydanie z r. 1838 dawno wyczerpanem zostało, czytająca powszechność z wdzięcznością przyjmie obecne powtórzenie, bo książki tego rodzaju nie prędko starzeją i na upowszechnienie ze wszech miar zasługują.

Mieszkania i postępowanie uczniów Krakowskich w miastach dawniejszych napisał Józef Muczkowski Professor bibliografii i bibliotekarz nakładem i czcionkami Józefa Czecha 8 *str* 158 *Kraków r.* 1842.

Przegląd téj ważnéj pracy zamieszczony jest na str. 35.

Zasady myśli i uczuć moich, przez Bochwica. Nakł. druk Teofila Glucksberga 8 str. X, 149. Wilno r. 1842.

Po kilkoletniéj przerwie szanowny autor „*Obrazu myśli mojéj* przejęty głęboko tą prawdą, iż każdy człowiek obowiązany jest urzeczywistnić sposobem zewnętrznym wewnętrznie w nim z rozrządzeń Opatrzności zaszczepione idee,“ występuje powtórnie z wyznaniem zasad swoich, zasad nieprzelotnych i zmiennych, lecz roznostronnym namysłem i wpływem uczuć z idei rozmaitych, stałych i niewzruszonych. To szlachetne pojęcie przeznaczenia i obowiązków człowieka przewodniczyło autorowi w całém dziele. Na téj postępując drodze dojdziemy bezwątpienia i my do filozofii narodowéj, któréj od tak dawna żądamy. Niezgadzamy sięwprawdzie z autorem ażeby filozofia Niemiecka wpływem swém u nas wstrzymała postęp rodowistych idei, zaprzeczylibyśmy bowiem najistniejszą zasadę każdéj filozofii—ogólność; mamy raczéj to mocne przekonanie iż jedynie ze stania najrożnorodniejszych żywiołów, najprzeciwniejszych systemów oczyści i otworzy nam się droga do prawdy, i że dla tego niemożemy obojętnie patrzeć na tak ważne działanie jakie filozofia niemiecka wywiera.

Z prawdziwą wdzięcznością przyjmujemy tę mowę szanownego autora pracę, którą głęboka i silna wiara zaleca, i która nie jeden umysł na fałszywe skierowany manowce, na drogę prawdy powróci. Polegając to pismo każdemu kto nie szuka w książkach jedynie chwilowéj rozrywki.

SPIS RZECZY ZAWARTYCH W TOMIE III.

Stronnica

SPROSTOWANIE ZNACZNIEJSZYCH POMYŁEK:

St.	*wiersz*	*jest*	*popraw*
7	16	*J. K.*	*M. Sk.*
34	1	bliskości	w blizkich
103	5	swym	swém
105	11	milczą	milkną
201	14	n łuku	pod łukiem
204	7	r. 1353	r. 1453
205	23	Tatarów	Tatarów i Kozaków
210	1. 46	Łukowski	Łukawski
213	13. 18	detta	detto
—	28	Nicpotrzebne	Niepodobne
212	25	Laterzy,	Laterny
245	20	Transubstaniatio	Transubstantiatio
216	10	jedynemu	jednego
217	41	w Gnieznie	Wyraźnie
222	12	może	moje
223	23	zażądane	na żądanie
224	12	paufera	pacifera
225	12	731	1731
299	1	filozefii	filozofii
299	6	istności	istotności
310	21	nim	niém
314	8	wypływu	wypływa
316	24	uprowadzonéj	wprowadzonéj
316	25	mając	mającéj
371	2	Sobiewskiego	Sobieskiego